

MARI JUNGSTEDT

SŁODKIE
LATO

Przełożyła Ewa Wojaczek
Tytuł oryginału *I DENNA LJUVA SOMMARTID*



Ewie Jungstedt, mojej najukochańszej siostrze

Z dziennika latarnika, wyspa Gotska Sandön,
sierpień 1864 roku

W nocy z 24 na 25 o godzinie dziesiątej na południowo-wschodnim wybrzeżu wyspy osiadł na mieliźnie rosyjski okręt „Wsadnik” ze stu czterdziestoosobową załogą. Trzech oficerów i dwunastu marynarzy utopiło się, a resztę załogi uratowano. Sztorm, silny, wschodni wiatr i deszcz.

Poniedziałek, 10 lipca

Kiedy skończyła się noc i nastał ranek, jakiś samochód jechał samotnie na północ główną drogą, która przecinała wyspę Fårö. Deszcz przestał padać. Ciężkie chmury nadal wisiały na niebie niczym szara powłoka. Ptaki od trzeciej nad ranem zaczęły swoje urzędowanie, a poranna zorza roztaczała się nad polami i łąkami. W lekkiej mgie połyskiwały krzaki jałowca, pokrzywione karłowate sosny i kamienne ogrodzenia gospodarstw. Tu i ówdzie stały jakby bezładnie porozrzucane domy rolników zbudowane z gotlandzkiego wapienia i pojedyncze korpusy wiatraków wskazujących kierunek wiatru, od dawna już pozbawione skrzydeł. Na pastwiskach widać było stadka czarnych owiec. Owce bez pośpiechu podnosiły się z ziemi jedna po drugiej i zaczynały gryźć wątlą trawę, która porastała tę jałową ziemię.

Na kempingu w Sudersand na północy wyspy Fårö panował jeszcze spokój, chociaż kemping był pełen turystów, jak to bywa w samym środku lata. Rozciągał się on wzdłuż trzykilometrowej plaży pokrytej drobnym, miękkim piaskiem. Przyczepy kempingowe i namioty stały w równiutkich rzędach, tworząc dobrze przemyślany system. Zdobiące ich przedsonki szwedzkie flagi zwisały mokre z masztów. Tu i ówdzie porozstawiane były grille na węgiel, a także nieposprzątane jeszcze po wczorajszej kolacji plastikowe stoły z kieliszkami do wina. Przemoczone po nocnym deszczu ręczniki kąpielowe wisiały przyczepione klamerkami do prowizorycznie rozciągniętych linek do suszenia ubrań. Składane leżaki w paski o żywych barwach, gumowe materace, zabawki do kąpeli. Jakiś rower.

Na środku pola namiotowego stał niski, drewniany budynek z wieloma drzwiami wiodącymi do kuchni, pralni, toalet i pryszniców. Dobrze zorganizowane miejsce letniego wypoczynku oddalone o rzut beretem od morza.

W jednej z zaparkowanych na brzegu tego pola przyczep kempingowych obudził się Peter Bovide. Otworzył oczy dokładnie o godzinie piątej. Z przyzwyczajenia na budziku stojącym na półce obok łóżka sprawdził, która jest godzina.

Ciągle to samo. W jego życiu nie było miejsca na dłuższe spanie nocą.

Leżał nadal w łóżku i wpatrywał się przez chwilę w sufit, lecz dość szybko zrozumiał,

że nie będzie w stanie zasnąć ponownie. Tego ranka również. Te wszystkie lata pracy na budowie wyryły się głęboko w jego życiu, a nawyk wstawania wczesnym rankiem trudno mu było wykorzystać. Choć właściwie nie przeszkadzało mu to. Rozkoszował się tą wolną chwilą, którą miał tylko dla siebie, zanim obudzą się Vendela i dzieci. Wykorzystywał ten czas zwykle na przebiegnięcie rundki, a po niej na kilka ćwiczeń wzmacniających mięśnie.

W nocy budził się i przez dłuższe chwile wsłuchiwał w deszcz bębniący o blaszany dach przyczepy. Spał przez to niespokojnie. Teraz zdawało się, że deszcz ustał, a przez cienkie bawełniane firanki wdzierały się nagle promienie porannego słońca.

Popatrzył na swoją śpiącą żonę. Kołdra zsunęła się z niej, a ona sama leżała na boku wyciągnięta na całą długość. Miała metr osiemdziesiąt wzrostu i była trochę wyższa od niego. Uważał, że wygląda seksownie. Powiódł wzrokiem po jej szczupłych nogach, krągłych biodrach, mógł też dostrzec zarys jej małego biustu. Czuł, jak niemalże dostaje erekcji, ale wiedział, że nie była to właściwa pora na seks. Każde z ich dzieci spało na swoim małym posłaniu. Pięcioletni William miał otwartą buzię i uroczo wyciągnięte nad głową ramiona, jak gdyby był panem całego świata. Skulona w pozycji embrionalnej trzyletnia Mikaela trzymała w ramionach misia.

Mieli przed sobą cztery tygodnie wypoczynku bez całej masy przymusów i wymagań. Pierwszą część urlopu mieli spędzić tu, na Fårö, a potem jeszcze czekały ich dwa tygodnie na Majorce. Ostatnio firmie dobrze się powodziło.

– Nie śpisz już? – za plecami usłyszał wysoki głos Vendeli, która powoli wypowiadała poszczególne słowa, kiedy akurat zamierzał otworzyć drzwi.

– Tak, kochanie. Wychodzę pobiegać.

– Poczekaj, chodź tutaj.

Leżała nadal na boku z wyciągniętymi do niego ramionami. Wcisnął głowę pomiędzy jej rozgrzane jeszcze od snu piersi i objął ją swoimi ramionami. W ich związku to ona była tą silniejszą, a on, mimo swojego krzepkiego wyglądu zewnętrznego, był tym delikatniejszym, który się załamywał. Nikt z ich otoczenia nie wiedział, jak było naprawdę. Ich znajomi nigdy nie widzieli, jak Peter Bovide płakał wtulony niczym dziecko w ramiona swojej żony, gdy dostawał kolejnych panicznych napadów lęku. Jak go uspokajała, pocieszała i pomagała mu znowu stanąć na nogi. Lęk pojawiał się falami, zawsze niespodziewanie, niechciany niczym nieproszony gość. Tłamsił go.

Za każdym razem, gdy czuł pierwsze symptomy zbliżającego się napadu lęku, próbował je zdławić, nie dopuścić ich do siebie i myśleć o czymś innym. Na ogół mu to nie wychodziło. Kiedy napad zaczynał się na dobre, to najczęściej już nie udawało się go

powstrzymać.

Od dość dawna nie czuł się aż tak źle. Wiedział jednak, że paniczny strach zaatakuje go ponownie. Czasami pojawiał się równocześnie z atakiem padaczki, która dręczyła go od młodości. Napady te zdarzały się obecnie rzadko, lecz strach przed nimi tkwił zawsze gdzieś w jego głowie. W głębi duszy Peter Bovide był bojaźliwym człowiekiem, choć sprawiał wrażenie pewnego siebie.

Gdy spotkał Vendelę, jego życie się waliło i diabli je brali. Alkohol coraz bardziej zaczął dominować w jego życiu i powodował, że zaniedbywał swoje obowiązki zawodowe oraz coraz bardziej tracił poczucie rzeczywistości. Nie miał żadnej stałej partnerki, nie udawało mu się nigdy nawiązać jakichś dłuższych, głębszych relacji. Ani nie miał odwagi, ani też nie chciał się do nikogo tak naprawdę zbliżyć. Ale w przypadku Vendeli było inaczej.

Gdy spotkali się przed sześciu laty na statku płynącym do Finlandii, zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Pochodziła z Botkyrka i pracowała jako krupier w jednym ze sztokholmskich kasyn. Pobrali się, gdy po zaledwie półrocznej znajomości zaszła w ciążę. Kupili stare gospodarstwo na wsi pod Slite. Budynek wymagał remontu, więc nie był drogi. A ponieważ Peter był stolarzem, to sam potrafił uporać się z większością koniecznych prac.

Mieli dwoje dzieci, które dzieliła różnica dwóch lat. Powodziło im się przyzwoicie. Od pięciu lat razem ze swoim dawnym kolegą z pracy Peter prowadził firmę budowlaną, której działalność tak rozwinęli, że po jakimś czasie mogli już zatrudnić kilku pracowników. Interesy szły coraz lepiej, mieli teraz nawet więcej zleceń, niż dawali radę zrealizować. I choć ostatnio pojawiły się kolejne niepokojące sprawy, to jednak nie zdołały go one załamać i umiał sobie z nimi poradzić.

Złe duchy prześladowały go już coraz rzadziej.

Vendela objęła go mocno.

– To nie do wiary, że będziemy mieli wolne aż tak długo – szepnęła, prawie przywierając ustami do jego szyi.

– Istotnie, to cudowna sprawa.

Przez chwilę leżeli, milcząc i wsłuchując się w miarowy oddech swoich dzieci. Wkrótce jednak dawne, znane mu dobrze uczucie niepokoju zaczęło ogarniać jego ciało.

– Wychodzę teraz.

– Okej.

Ponownie objęła go ramionami.

– Zaraz wrócę i zaparzę kawę.

Po wyjściu z zamkniętej przyczepy kempingowej poczuł się wolny. Od strony morza dochodził zapach wodorostów i słonej wody. Deszcz już nie padał. Zrobił głęboki wdech i stanął na skraju lasu, by się wysikać.

Codzienny poranny bieg był dla niego koniecznością. Nie czuł się jak człowiek, jeżeli nie mógł zacząć dnia od małej rundki. Od kiedy poznał Vendelę i ograniczył spożycie alkoholu, zaczął biegać. W zadziwiający sposób bieganie przynosiło taki sam efekt jak picie alkoholu. A on potrzebował pewnego rodzaju narkotyku, by nie dopuszczać do siebie uczucia strachu.

Ścieżka pod nogami była miękka. Po obu jej stronach rozciągały się piaszczyste wydmy pomiędzy porośniętymi trawą pagórkami. Szybko znalazł się na plaży. Morze było niespokojne, fale kołysały się to tu, to tam bez jakiegoś konkretnego celu. W oddali na ich grzbietach unosiła się gromada ptactwa morskiego.

Zaczął biec na północ wzdłuż wybrzeża. Chmury gnały po szarym jak ołów niebie, a po mokrym od nocnego deszczu piasku trudno było stąpać. Wkrótce był więc cały zlany potem. Na końcu cypla zawrócił. Gdy biegał, lepiej mu się myślało. To było tak, jakby zrobił sobie odpoczynek.

W drodze powrotnej dostrzegł z daleka jakąś postać, która szła w jego stronę, lecz nagle potknęła się i upadła na piasek. Leżała tak dalej i zdawała się nawet nie usiłować się podnieść. Podbiegł zaniepokojony.

– Co się stało?

Zwrócona w jego stronę twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu, a wzrok był chłodny i tępy. Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Czas zatrzymał się na kilka sekund, a on sam zamarł w bezruchu. Ścisnęło go w żołądku i ogarnęło go uczucie niepokoju. Głęboko, skrywane na samym dnie jego serca, coś zbudziło się do życia. Coś, co latami próbował pogrzebać. W końcu go dopadło.

Oczy, które były w niego wpatrzone, zmieniły wyraz i wyrażały teraz pogardę.

Nie zdołał wydobyć z siebie głosu. Odetchnął ciężko, gdyż odezwał się znowu dobrze mu już znany ból w piersiach. Robił wszystko, by się nie poddać.

Ciało stało się miękkie, wiotkie.

Naraz dostrzegł lufę pistoletu. Automatycznie uklęknął, a w jego głowie zapanowała kompletna cisza. Myśli przestały się kłębić.

Strzał padł w sam środek między oczami. Jego odgłos sprawił, że mewy poderwały się znad powierzchni wody z przeraźliwym wrzaskiem.

Podczas gdy reszta rodziny jeszcze spała, komisarz śledczy Anders Knutas krzątał się po obszernej kuchni swoich teściów w ich domu na wsi. Zamierzał ich zaskoczyć, podając na śniadanie swoją specjalność, czyli amerykańskie naleśniki z syropem klonowym. Smakowały prawie tak jak sockerkakor¹ a gdy były jeszcze ciepłe, to wręcz rozplływały się w ustach. Knutas nie był, co prawda, mistrzem kuchni, ale jego specjalnością były dwie potrawy: zapiekanka makaronowa oraz naleśniki.

Po wyrobieniu ciasta pozostawił je na jakiś czas w misce. Nalał filiżankę kawy i usiadł na schodach przed domem. Dom znajdował się na cyplu, na skraju małej osady położonej na wybrzeżu wyspy Fyn i otoczony był ze wszystkich stron przez morze. Od chwili ich przyjazdu codziennie dopisywała im tutaj piękna, słoneczna pogoda. Na początku Knutas nie był zbyt zadowolony, gdy Line zaproponowała, by spędzili całe dwa tygodnie w Danii. Najchętniej przeznaczylby urlop na leniuchowanie w ich własnym domku letniskowym w Lickershamn na północy Gotlandii, ale dał się przekonać Line. Jej rodziców wyjątkowo nie było w domu, gdyż wyjechali, więc mieli cały dom tylko dla siebie. Poza tym jego żonę zawsze ciągnęło do Danii, bo choć dobrze czuła się w Szwecji, to jednak jej serce pozostało w ojczyźnie.

Po tygodniu spędzonym na wyspie Fyn Knutas był wdzięczny żonie za to, że uparła się jednak przy swoim. Tak wypoczęty jak tu nie czuł się już bowiem od wielu lat. Mijały kolejne dni, a on ani razu nawet nie pomyślał o pracy. Do tego trafili na wyśmienitą pogodę, o wiele lepszą niż w Szwecji. Kapali się, łowili ryby i zajadali się skorupiakami, które tutaj o wiele bardziej im smakowały. Wieczorami przechadzali się po okolicy, siedzieli nad morzem i pili wino, a po zapadnięciu zmroku na werandzie grali w karty. Ich bliźniaki, Petra i Nils, czuły się tu wybornie. Podczas wszystkich swoich pobytów wakacyjnych u dziadków nawiązały wiele przyjaźni, więc znikwały prawie na całe dni. Niebawem miały skończyć szesnaście lat i

¹ Typowe szwedzkie słodkie bułeczki maślane w kształcie ślimaka, posypane gruboziarnistym cukrem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

niekoniecznie wolały spędzać czas z rodzicami.

Dobrze, że się tak akurat teraz złożyło, ponieważ Knutas i Line potrzebowali trochę czasu dla siebie. Knutas kochał swoją żonę, ale wiosną ich więzy małżeńskie mocno się rozluźniły. Był zmęczony, wręcz wykończony rozwiązywaniem kolejnego skomplikowanego morderstwa. Miał wyrzuty sumienia i jeszcze długo potem się tym zdręczał. Nie miał też już sił dla Line.

Line wyrzucała mu, że był nieobecny i nie interesował się nią, co oczywiście było prawdą. Oboje oczekiwali, że z pewnością ich miłość zacznie się rozpalać teraz gdy wreszcie mieli urlop, który spędzali razem. Jednak tak się niestety nie stało. Dreptali swoimi utartymi ścieżkami, ich pożycie małżeńskie nie było wiele warte, a żadnemu z nich nie za bardzo się chciało wziąć ster w swoje ręce i coś zmienić.

Knutas wcale nie uważał, że Line nie jest atrakcyjna. Absolutnie nie. Jej długie, rude włosy, piegowata skóra i pełne ciepła oczy były nadal równie piękne jak kiedyś. Tyle że stała się jakby meblem – pięknym, wygodnym fotelem, który od lat miało się w domu. Kimś spokojnym i zaufanym, miłym, ale już nie tak interesującym. Line pracowała jako położna w szpitalu w Visby i ta praca w pełni jej odpowiadała. Z równie wielkim entuzjazmem co zawsze opowiadała wciąż te same historie o matkach i ich wyrzeczeniach. Słyszał je już tysiąc razy. Przedtem było to dla niego nawet zabawne i interesujące, ale teraz tylko słuchał grzecznie, o czym opowiadała, podczas gdy myślał o czymś innym. Jego własne uczucia go niepokoiły. Być może akurat przeżywał tylko jakiś kryzys. Nie rozglądał się za innymi kobietami, w żadnym wypadku. Jego popęd seksualny zmałał do tego stopnia, że nawet nie chciało mu się czynić żadnych starań. Czasami zastanawiał się, czy to nie jest już oznaką starzenia się. Miał jednak przecież dopiero pięćdziesiąt dwa lata.

Wiosna była, ogólnie rzecz biorąc, ciężka. Było zimno i deszczowo. W pracy musiał zajmować się mnóstwem roboty papierkowej i innymi sprawami urzędowymi, czego nienawidził. Miał wrażenie, że nigdy się z tego nie wygrzebie. Był natomiast zadowolony, iż Karin Jacobsson, jego najlepsza koleżanka z pracy, została jego zastępcą. Pokazywała wielokrotnie, co naprawdę potrafi. Była tak energiczną kobietą, że w porównaniu z nią mógł się czuć jak najmniej efektywny, ociężały flegmatyk, jakiego można sobie tylko wyobrazić. Chociaż to mu nie przeszkadzało. Anders Knutas podziwiał Karin, czynił to zresztą od samego początku, kiedy tylko zaczęli razem pracować ponad piętnaście lat temu.

Niezadowolenie, które pojawiło się na twarzach kolegów Karin po ogłoszeniu jej nominacji, zaczęło powoli ustępować. Jedynie rzecznikowi prasowemu policji, Larsowi Norrby, nadal chyba trudno było pogodzić się z jej awansem, gdyż to właśnie on liczył na

objęcie stanowiska zastępcy. Knutas chciał czasami, by Norrby odszedł z policji w Visby, mimo iż wiele lat pracowali razem. Od kiedy Karin została zastępcą komendanta, stosunek Larsa do niej był najczęściej żenujący.

Knutas miał nadzieję, że Karin poradzi sobie sama w czasie jego urlopu. Gdy wyjeżdżał, wszystko wydawało się w porządku. Wprawdzie sezon turystyczny zaczął się już na dobre, ale to nie było dla nich niczym nadzwyczajnym, byli do tego przyzwyczajeni. Największy problem mieli z młodzieżą, która całymi tabunami przyplýwała promem ze Sztokholmu na wyspę, by zabawić się w Visby. Od tej chwili każdego lata zaczynało się pijaństwo, awantury, narkotyki, a także niestety zdarzało się wiele gwałtów. Była to przykra sytuacja, z którą Karin potrafiła sobie jednak dobrze radzić.

Za tydzień kończył mu się urlop i miał znów wrócić do pracy. Miał nadzieję, że podczas jego nieobecności nie wydarzyło się nic nieoczekiwanego.

W poniedziałek rano o godzinie dziewiątej czterdzieści dwie policja w Visby otrzymała zgłoszenie o popełnieniu przestępstwa. Dwaj mali chłopcy znaleźli zwłoki mężczyzny w wodzie niedaleko kąpieliska Sudersand na wyspie Fårö. Jeden z nich wręcz wpłynął wprost na ciało denata, które unosiło się na powierzchni wody w odległości około dwudziestu metrów od brzegu.

Gdy zastępca komisarza śledczego, Karin Jacobsson, dotarła wraz z inspektorem śledczym, Thomasem Wittbergiem, na miejsce zdarzenia, na plaży zgromadził się już tłum gapiów. Po całonocnym deszczu właśnie zza chmur wyłaniało się słońce. Technikowi kryminalistyki Erikowi Sohlmanowi udało się wezwać ludzi, którzy ogrodzili teren taśmą i rozstawili biały plastikowy namiot, aby osłonić ciało przed promieniami słonecznymi i wzrokiem gapiów. I właśnie przed owym namiotem Sohlman chwycił Karin za ramię.

– To jest bez wątpienia morderstwo. Nie chodzi o jeden strzał w czoło, że tak powiem. Możesz od razu zawiadomić grupę dochodzeniowo-śledczą, a resztę pokażę ci potem.

Karin wyjęła telefon, wezwała do Sudersand kilku policjantów i patrolę z psami tropiącymi oraz zarządziła kontrolę wszystkich samochodów na promie odpływającym z wyspy Fårö. Krzyknęła do policjantów zajmujących się zabezpieczaniem terenu taśmą:

– Musimy zabezpieczyć o wiele większy teren!

Karin i Sohlman podeszli do zwłok, które leżały przykryte bawełnianą płachtą w prowizorycznym namiocie.

– Czy jesteś gotowa?

Sohlman spojrział na bladą twarz swojej koleżanki. Karin źle znosiła oględziny zwłok. Z reguły na miejscu morderstwa robiło jej się niedobrze. Rzadko było inaczej. Gdy technik kryminalistyki unosił płachtę do góry, zasłaniała usta chusteczką do nosa.

Denat był jej rówieśnikiem. Miał dość charakterystyczny wygląd: głęboko osadzone, niespotykane jasne oczy, brwi niemal niewidoczne, wydatne kości policzkowe i lekki przodozgryz. Gdyby nie rana postrzałowa, jego twarz wyglądałaby na spokojną.

– Strzał oddano z odległości najwyżej kilku centymetrów, na co wskazuje kształt rany. Morderca znajdował się całkiem blisko denata, który nie miał żadnych szans.

– A skąd wiesz, że ofiara sama nie strzelała? – wybełkotała Karin zza chusteczki, walcząc z uczuciem mdłości.

– To jeszcze nie wszystko. Uwaga, trzymaj się teraz mocno.

Sohlman ostrożnie odchylił całą płachtę. Karin jęknęła, gdy zobaczyła, co się pod nią znajdowało. Na brzuchu mężczyzny widać było wiele śladów strzałów.

– Podziurawiony jak sito. Naliczyłem siedem strzałów w podbrzusze. To istne szaleństwo!

Karin odwróciła głowę w bok i z wymiotowała.

Johan Berg stał akurat na pastwisku i przeprowadzał wywiad z rolnikiem, który skarżył się na malejące dopłaty unijne, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy. Zapomniał go wyłączyć podczas wywiadu. Była to gafa, której jako reporter telewizyjny nie powinien nigdy popełnić. Ale stało się. Fotograf Pia Lilja podniosła oczy ku niebu, rozłożyła ramiona, zostawiła kamerę na statywie i poszła poklepać krowę po grzbiecie, podczas gdy Johan odebrał telefon. Dzwonił szef redakcji wiadomości lokalnych, Max Grenfors.

– Słyszałeś już o tym?

– Nie. A cóż się stało? Jestem właśnie w połowie wywiadu.

– Ach tak – odrzekł Grenfors niecierpliwie. – Na Fårö znaleźli jakieś zwłoki. A dokładnie przy kempingu w Sudersand. Wiesz chyba, gdzie to jest.

– No pewnie. Kiedy to się stało?

W trakcie rozmowy Johan wciąż spoglądał na rolnika, którego twarz spochmurniała z powodu przerwania wywiadu. Z pewnością najchętniej dalej ponarzekałby na brukselskich decydentów.

– Znaleźli go rano w morzu przy kąpielisku Sudersand.

– A skąd wiesz, że się nie utopił?

– Przekazuję ci tylko to, o czym przeczytałem w wiadomościach podanych przez Agencję Prasową. Według nich ciało leżało w wodzie, ale gość został kilkakrotnie postrzelony z broni palnej.

– O cholera!

– Zostaw tę sprawę, którą się teraz zajmujecie i postaraj się jak najszybciej wyruszyć w drogę. Zadzwoni do mnie, gdy będziesz już siedział w samochodzie, to podam ci po drodze najświeższe informacje.

Johan musiał więc szybko pożegnać się z rozczarowanym rolnikiem. Wyjaśnił mu, że dokończą wywiad innym razem.

Na szczęście byli akurat w Lärbo na północy Gotlandii, niedaleko Fårösund. Twarz Pii

Lilji rozjaśniła się z podniecenia, kiedy tak docisnęła gaz do deski, że aż opony piszczały na zakrętach. Jej czarne włosy sterczały jak zwykle na wszystkie strony. Obrysowane mocno kredką oczy były skoncentrowane na drodze.

– Wspaniale! – wykrzyknęła. – Nareszcie coś się dzieje.

– Wspaniale? – Johan spojrzał na nią ze zdumieniem. – Że zastrzelono człowieka?

– Ach, wiesz przecież, o co mi chodzi. No jasne, że nie dlatego. Ale ciekawszym zajęciem jest robienie reportażu o morderstwie niż wywiadu ze zgorzkniałym rolnikiem.

Pia uwielbiała, kiedy coś się działo. W rzeczy samej Gotlandia była zbyt mała dla kogoś tak żądnego sensacji jak Pia Lilja. Miała dwadzieścia pięć lat i ciągnęło ją w daleki świat. Najchętniej pojechałaby gdzieś z jakimś telewizyjnym korespondentem zagranicznym, by relacjonować działania wojenne czy walkę z głodem.

Jak dotąd postrzegana była jako zbyt młoda i niedoświadczona. Na razie więc musiała się zadowolić dokumentowaniem bardziej przyziemnych, codziennych wydarzeń, takich jak spór dotyczący wytyczenia nowej drogi w Burgsvik albo skargi uczniów na zbyt kiepskie jedzenie w szkolnej stołówce w Hemse. Śledziła też dramatyczne zmagania uczestników lokalnych zawodów w rzucaniu krążkiem.

O czymkolwiek byłby reportaż, Pia miała dar robienia interesujących i zróżnicowanych zdjęć. Zawsze dawała z siebie wszystko. Poza tym miała całą sieć wprost nieziemskich kontaktów. Była najmłodsza z siódemki rodzeństwa i miała liczną, rozsianą praktycznie po całej wyspie rodzinę. Dzięki temu właśnie, jak też dzięki swej towarzyskiej naturze znała tu co drugą osobę.

W drodze na przystań promową w Fårösund Johan jednym uchem słuchał Grenforsa, a drugim lokalnego radia, jednocześnie robiąc w pośpiechu notatki. Tę wiadomość Agencja Prasowa podała dziesięć minut wcześniej. Media zawsze były raczej bardzo ostrożne, gdy w grę wchodziło domniemane samobójstwo, ale tym razem trafiono na świadka, któremu denat mignął przed oczami i który na własne oczy widział zarówno ranę postrzałową w głowie ofiary, jak i ślady po pociskach w brzuchu zamordowanego. Każdy by się domyślił, że denat nie mógł sobie sam zadać takich ran. Świadka namierzył jakiś lokalny dziennikarz radiowy z Radia Gotland, który całkiem przypadkiem znalazł się na Fårö i miał ze sobą niezbędny sprzęt. Policja potwierdziła, że istnieje podejrzenie morderstwa.

Rejs promem na wyspę Fårö trwał zaledwie kilka minut. Chmury na niebie rozstąpiły się, a blask słońca odbijał się w wodzie. Droga na północ w kierunku Sudersand wiodła przez surowy krajobraz tej wyspy. Po drodze Johan i Pia mijali tylko rowerzystów, przyczepy kempingowe oraz samochody z całymi rodzinami spędzającymi tu urlop.

Kiedy dojechali do skrzyżowania dróg koło Sudersand i skręcili w prawo w kierunku kempingu, w głowie Johana mignęła twarz Emmy. Gdyby bowiem skręcić tutaj w lewo, można by z kolei dojechać do plaży Norsta Auren, gdzie mieszkali jej rodzice.

Emma Winarve była wielką miłością Johana. A przynajmniej była nią kiedyś. Wiele pięknych dni spędzili podczas nieobecności jej rodziców w tym nadmorskim domu, tam na plaży między Skärsande a latarnią, najdalej na północ wysuniętym skrawkiem Fårö. Najpiękniejsze miejsce na świecie. Teraz nic już ich ze sobą nie łączyło.

Ocknął się z tych myśli, kiedy dotarli na kemping w Sudersand. Policja ogrodziła cały teren wokół kempingu. Wszędzie było widać policjantów, ale nigdzie nie było osoby odpowiedzialnej za kontakt z dziennikarzami. Ani Karin Jacobsson, ani rzecznik prasowy policji Lars Norrby nie odpowiadali, gdy dzwonił do nich na komórkę, a Knutas przebywał z rodziną na urlopie w Danii.

– Typowe. – Johan patrzył tępym wzrokiem w stronę kempingu, kiedy tak stali przy policyjnej taśmie. – No i co teraz zrobimy?

– Mam pomysł – powiedziała Pia, kiedy skończyła ostatnie panoramiczne ujęcie. – Chodź.

Wskoczyli z powrotem do samochodu. Pia wróciła do skrzyżowania, jadąc na wschód w kierunku Sudersand, a potem dalej w stronę skupiska domków letniskowych. Gdy dojechała do małej dróżki, nie szerszej niż ścieżka, którą pędzi się krowy na wypas, skręciła w nią, a samochód od razu zaczął podskakiwać na nierównej drodze wiodącej pomiędzy leśnymi krzakami przez łąkę porośniętą wysokimi kwiatami i trawą.

Johan obawiał się, że mogą gdzieś na niej utknąć, ale Pii jakoś udawało się jednak jechać dalej. Kiedy zatrzymała się w końcu przy ogromnych zaroślach, które uniemożliwiały im dalszą jazdę, mógł już usłyszeć szum fal morskich. Było wpół do czwartej. Mieli jeszcze bitą godzinę. Johan poklepał Pię po ramieniu.

– Jesteś cholernie dobra.

Zejsście na plażę zajęło im dwie minuty. Z jednej strony widać było cypel, który stanowił naturalną granicę zatoki Sudersandsviken, a po drugiej stronie znajdował się kemping. Na brzegu plaży rozstawiono mały namiot, wokół którego zgromadziła się grupka ludzi. Nagle w powietrzu dał się słyszeć warkot. To nadlatywał policyjny helikopter ze Sztokholmu, prawdopodobnie z lekarzem sądowym na pokładzie.

Pia natychmiast zaczęła filmować. Mimo iż Johan wiedział, że znajduje się na terenie zabezpieczonym przez policję, podszedł do pilota, kiedy ten wylądował. Na dwoje babka wróżyła – uda mu się albo nie uda. Z helikoptera wysiadł jakiś człowiek i pospieszył w

kierunku namiotu. Był to zapewne lekarz sądowy.

– Jesteśmy z Telewizji Szwedzkiej – zawołał do pilota. – Czy przywieziono tu lekarza sądowego?

– Tak jest. Przylecieliśmy prosto z lądowiska sztokholmskiej kliniki Karolińska.

– A kiedy wracacie?

– Powiedzieli, że startujemy za pół godziny. Nie możemy dłużej przetrzymać śmigłowca, bo musi lecieć dalej do Berga.

– W porządku.

Johan pomachał pilotowi w dziękczynnym geście. Miał to, o co mu chodziło. Teraz musi spróbować skontaktować się z policją. Dostrzegł technika kryminalistyki, Erika Sohlmana, który odszedł na bok po filiżankę kawy.

– Cześć, Eriku. Cóż takiego się stało?

Sohlman odpowiedział Johanowi kiwnięciem głowy. Ponieważ Johan od dłuższego już czasu relacjonował wydarzenia kryminalne na wyspie i istotnie w kilku przypadkach udało mu się pomóc policji, nawet narażając życie własne i swojej córki, toteż Sohlman niejako poczuwał się do tego, że powinien mu się zrewanżować. Zwlekał z odpowiedzią, zdawał się walczyć z samym sobą. Wreszcie podszedł bliżej.

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że znaleziono martwego mężczyznę. Podejrzewamy, że został zamordowany. Lekarz sądowy dokonuje właśnie pierwszych oględzin denata, a następnie ciało zostanie przewiezione najpierw do kostnicy w Visby, a potem promem do Instytutu Medycyny Sądowej w Solna.

– Rozumiem, ale...

– Więcej nie mogę niestety powiedzieć. Znajdujecie się na terenie objętym blokadą policyjną, więc muszę was prosić, żebyście go opuścili.

Johan i Pia odwrócili się i poszli w stronę samochodu. Oboje byli bardzo zadowoleni. Powinni nawet jeszcze zdążyć zasięgnąć języka na temat tego zdarzenia na kempingu.

Będzie z tego dobry materiał.

Późnym popołudniem grupa dochodzeniowo-śledcza zebrała się na naradzie w komendzie. Oprócz Karin Jacobsson, Thomasa Wittberga i Erika Sohlmana obecny był też rzecznik prasowy policji Lars Norrby i prokurator Birger Smittenberg.

Karin rozpoczęła od powitania wszystkich obecnych.

– Wygląda na to, że trafiło się nam kolejne niezwykle brutalne morderstwo. Można by je wręcz określić jako egzekucję. Ofiara już została zidentyfikowana na plaży przez żonę. Jest to Peter Bovide, urodzony w 1966 roku, żonaty, dwoje dzieci, zamieszkały w Slite. Spędzał urlop z rodziną na kempingu w Sudersand od zeszłej soboty. Innymi słowy, był tam zaledwie trzy dni. Wczoraj rano, według słów jego żony, już o szóstej wyszedł pobiegać. Najwyraźniej nie było to nic nadzwyczajnego. Każdy dzień rozpoczynał zwykle od małej rundki. Wydaje się, że ofiara wiodła spokojne życie rodzinne. Peter oraz Vendela Bovide byli małżeństwem od sześciu lat, mają dwójkę dzieci, pięcioletniego chłopca i trzyletnią dziewczynkę. Przesłuchaliśmy żonę, jednak bardzo krótko, gdyż po identyfikacji ciała doznała tak ciężkiego szoku, że trzeba ją było zabrać do szpitala, gdzie zostanie na noc. Mam nadzieję, że będę mogła porozmawiać z nią jutro rano.

Karin zrobiła krótką przerwę i rzuciła okiem na swoje papiery, zanim zaczęła mówić dalej.

– Około godziny wpół do dziesiątej ciało zostało dostrzeżone przez dwóch chłopców ze Sztokholmu. Obaj mają po trzynaście lat, a ich rodzice wynajmują w wiosce domek. Grali w piłkę niedaleko plaży, a na tym odludziu znaleźli się, gdy postanowili się wykąpać w morzu. Wówczas kawałek od brzegu odkryli w wodzie ciało. Zawołali innych i wiele osób spośród znajdujących się na plaży faktycznie pośpieszyło im z pomocą. Człowiek, który wezwał policję, jest ojcem jednego z tych chłopców. Jego zgłoszenie telefoniczne zostało zapisane na centrali za kwadrans dziesiąta. Pierwszy patrol pojawił się na miejscu czterdzieści pięć minut później.

– Od jak dawna denat już nie żył? – zapytał prokurator Smittenberg.

– Od kilku godzin, ale maksymalnie tak od około pięciu, sześciu – odpowiedział Erik Sohlman.

– No właśnie – potwierdziła Karin. – Nie było więc żadnego powodu, by zarządzić blokadę dróg czy też wstrzymać rejsy. Oczywiście mimo to kontrolowano każdego, kto w ciągu całego dnia opuszczał wyspę promem. Kontrola ta potrwa aż do wieczora. Czy ktoś z obecnych znał ofiarę?

Wszyscy zgromadzeni przy stole pokręcili przecząco głowami.

– Co zatem wiemy o Peterze Bovide?

Karin sama przystąpiła do odpowiedzi.

– Figuruje, co prawda, w rejestrze skazanych, ale za drobną sprawę. Dopuścił się rękoczynów jeszcze w latach osiemdziesiątych, kiedy miał dwadzieścia lat. Klótnia w „Burmeisterze” w naszym mieście. Ochroniarze nie chcieli go wpuścić na dyskotekę, więc przyłożył jednemu z nich. A ponieważ nie był wcześniej karany, dlatego musiał tylko zapłacić grzywnę. Od tego czasu nie ma nic. Pracował jako robotnik budowlany, a ostatnio prowadził firmę budowlaną do spółki z kolegą. Firma nazywa się „Slite Bygg” i zatrudnia na stałe sześciu pracowników. Jego wspólnik nazywa się Johnny Ekwall i ma być przesłuchany wieczorem. I to jest w skrócie chyba wszystko, co obecnie mamy do powiedzenia o ofierze. Jeśli chodzi o samo morderstwo, to niestety nie ustaliliśmy zbyt wiele, na czym moglibyśmy się oprzeć podczas dalszego śledztwa. Pytaliśmy ludzi w okolicy, ale nie ma żadnych świadków, którzy by cokolwiek widzieli. Słyszano natomiast strzały. Kilka osób mieszkających w pobliżu miejsca zbrodni usłyszało najpierw jeden huk, a potem kilka odgłosów, które ich zdaniem były strzałami z pistoletu. Twierdzą, że te hałasy obudziły ich około szóstej rano. Myśleli, że są to jakieś ćwiczenia w strzelaniu albo że ktoś nielegalnie poluje na dzikie króliki. Najwyraźniej jest to często spotykane zjawisko w tej okolicy. Obecnie przesłuchiwanie są turyści oraz pracownicy kempingu i okolicznych restauracji. Niektórzy opuścili kemping w ciągu dnia, ale i tych próbujemy odszukać. Ponieważ musimy przeprowadzić ogromną liczbę przesłuchań, skontaktowałam się z Centralnym Biurem Śledczym. Martin Kihlgård i kilku jego kolegów przyjadą do nas już jutro rano.

– Dobrze – zgodził się rzecznik prasowy Lars Norrby. – Zdaje się, że będą nam potrzebni.

Karin rzuciła mu przelotne spojrzenie. Nie wiadomo, czy był to ironiczny komentarz, czy też zostało powiedziane w dobrej intencji. Od sporu w sprawie mianowania zastępcy Knutasa minęło zaledwie pół roku. Kiedy ten starszy od niej kolega zrozumiał, że to ona zostanie wybrana na to stanowisko, głośno zaprotestował i w pracy wiele czasu poświęcał na

obgadywanie zarówno Knutasa, jak i Karin. Poza tym podejrzewali, że jest źródłem przecieków do prasy. W rezultacie odsunięto go od pracy w grupie dochodzeniowo-śledczej. Obecnie występował wyłącznie w roli rzecznika prasowego. Ponieważ było to ich pierwsze spotkanie, trzeba go było jednak jakoś poinformować o pracach zespołu.

Karin chciała wierzyć, że nie żywi już do niej urazy, ale pewna tego nie była. Z kolei mina Norrby'ego nie zdradzała uczuć, jakie skrywał w głębi swojego serca. Karin czuła wewnętrznie, że teraz, kiedy Knutas wyjechał, ci, którzy nadal byli przeciwko niej, mieli całkowicie wolną rękę.

Cieszyła się, że Martin Kihlgård przyjedzie pomóc im w dochodzeniu. Karin polubiła komisarza ze sztokholmskiego Centralnego Biura Śledczego praktycznie od pierwszej chwili, kiedy poznali się w trakcie polowania na seryjnego mordercę kilka lat temu.

Zwróciła się do Sohlmana:

– Eriku, czy poprowadzisz dalej spotkanie?

– Oczywiście.

Usiadł przy komputerze i dał znak Karin, aby zgasiła światło. W oddali, na białym ekranie na przeciwległej ścianie pokoju ukazała się mapa kempingu oraz zatoki Sudersand viken. Trasa, jaką przypuszczalnie przebiegł Peter Bovide, oznaczona była czerwoną linią.

– Widzicie tutaj okolicę. Sam kemping rozciąga się w całej jej górnej części. Przyczepa rodziny Bovide stała na obrzeżu pola namiotowego. Z drugiej strony płotu jest ścieżka prowadząca do nadmorskiej restauracji i do skupiska domków letniskowych. Peter Bovide nie wybrał tej drogi, ale zbiegł w dół prosto na plażę, potem odbił w lewo i pobiegł wzdłuż wybrzeża na północ. Na cyplu zawrócił i w drodze powrotnej spotkał mordercę, zaledwie kilometr od kempingu.

– Na jakiej podstawie można to stwierdzić? – spytał Birger Smittenberg.

Był prokuratorem generalnym we władzach samorządowych na Gotlandii i współpracował z grupą dochodzeniowo-śledczą przy tak wielu sprawach, że czuł się już wręcz jak jeden z jej członków. Ciągłe mówił z wyraźnym akcentem sztokholmskim, mimo że ożenił się z rodowitą mieszkanką Gotlandii i osiadł na wyspie ponad dwadzieścia lat temu.

– Zidentyfikowaliśmy ślady butów Petera Bovide. Są zarówno na ścieżce wiodącej z przyczepy nad morze, jak i na plaży. Nietrudno było prześledzić trasę, jaką się poruszał.

– Czy znaleźliście odciski obuwia sprawcy? – zapytała Karin.

– Jest kilka różnych śladów w okolicy, gdzie znaleziono ciało. Najciekawsze z nich to ślady obuwia sportowego w rozmiarze czterdzieści jeden. Pracujemy nad tym. Poza tym jak na razie nic innego nie znaleźliśmy.

– Żadnego naboju ani łuski?

– Nie, ale kilka pocisków powinno tkwić nadal w ciele ofiary. Oddano do niego co najmniej osiem strzałów. Lekarz sądowy był tutaj i widział ciało na miejscu zbrodni, tak więc to, o czym mówię, to są jego i moje pierwsze spostrzeżenia. Innymi słowy, możemy się mylić, wobec czego należy przyjąć to z pewną rezerwą. Mam nadzieję, że obdukcja nastąpi jutro, a już wieczorem otrzymamy jej wstępny wynik.

– Dobrze – powiedziała Karin. – Jak w tej chwili możesz określić obrażenia?

– Jeśli chodzi o strzał w czoło, to widzimy, że pocisk przeszedł przez kość czaszkową, przebił się do mózgu i utkwiał tam. Sądząc po wyglądzie rany, strzał został oddany z bardzo małej odległości. Sprawca albo przyłożył broń do czoła ofiary, albo wylot lufy znajdował się najwyżej kilka centymetrów od głowy denata.

– Po czym można to rozpoznać? – zapytał z zainteresowaniem Thomas Wittberg.

– Strzał z bliskiej odległości poznajemy po formie rany wlotowej w głowie ofiary. Jest ona dość spora i ma kształt gwiazdy. Jak widać na zdjęciu, jest postrzępiona dookoła. Dzieje się tak dlatego, że w przypadku strzału z bliska pocisk przenika w głąb ciała wraz z otaczającą go mgiełką gorącego gazu. Gaz zbiera się następnie pod skórą niczym pęcherz, który pęka, gdy pocisk wchodzi w ciało – mniej więcej tak jak pryszcz – i wtedy powstają takie rany mające gwiazdzistą formę. Poza tym widać ślady sadzy wokół rany wlotowej, a jej resztki są również jeszcze gdzie indziej na czole.

– Mimo że leżał w wodzie przez kilka godzin? – zapytał Wittberg.

– Tak. Tworzy się wtedy coś na kształt tatuażu.

– Coś okropnego! – jęknęła Karin.

Nie pojmowała, jak Sohlman może tak beznamytnym głosem opowiadać o obrażeniach ofiary.

– Strzał w czoło wystarczyłby już, aby go zabić, gdyż padł z bardzo bliskiej odległości – ciągnął Sohlman. – Dlatego dziwi to, co się u licha stało potem.

Kolejne zdjęcie ukazywało rany postrzałowe na brzuchu.

– Jeżeli strzał w czoło padł na początku, to potem morderca musiał chyba wpaść w jakiś szal. Najwyraźniej wystrzelał cały magazynek, oddając siedem strzałów w brzuch, i to również z bliska.

– Co to oznacza? – zamruczała Karin. – Po co to zrobił?

– Pierwsza rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, to po prostu wściekłość, amok – powiedział Wittberg. – Ten ktoś musiał być cholernie wkurzony na ofiarę.

– Tak – przyznała Karin. – Wygląda to na działanie pod wpływem silnych emocji.

Morderca i ofiara mogli się wcześniej znać.

– Nieprofesjonalna robota. Tak bym powiedział – wtrącił Sohlman. – Jeżeli chce się kogoś zabić, to nie strzela się ileś razy w brzuch. Wtedy zawsze jest szansa, że ofiara jednak przeżyje, jeśli pocisk nie trafi w aortę albo w serce. Profesjonalista strzeliłby jeszcze raz w głowę, gdyby nie był całkiem pewien, czy ofiara zmarła od razu.

– A więc był to jakiś amator. Ktoś, kto nigdy przedtem nikogo nie zabił – powiedziała Karin. – A jednocześnie dokonano tego z zachowaniem niesłychanie zimnej krwi. Chodzi mi o to, że nie każdy jest w stanie postrzelić człowieka tak od przodu, prosto w czoło z małej odległości.

– Ale dlaczego miałyby najpierw dostać strzał w głowę, a dopiero potem w brzuch? – zapytał Wittberg. – Odwrotna kolejność wydaje się chyba bardziej logiczna, prawda? Strzela się w brzuch, a następnie na koniec dla wszelkiej pewności oddaje się strzał w głowę.

– Tak, ale pomyślałem właśnie – powiedział Sohlman – że dopóki nie poznamy wyników obdukcji, to tak naprawdę niczego nie wiemy. Lekarz sądowy będzie, chyba w stanie określić, w jakiej kolejności padły strzały.

– Czy możesz powiedzieć coś na temat broni? – z zainteresowaniem zapytała Karin.

– Jedynie to, że mamy do czynienia z pistoletem małego kalibru. Niczego więcej nie będę wiedział, zanim nie obejrzymy pocisków.

– Pozostaje pytanie, skąd sprawca mógł wiedzieć, że Peter Bovide wyruszy tak wcześnie – zamruczał Wittberg. – To znaczy, czy wszystko z góry zaplanował.

– Najprawdopodobniej było to jednak zaplanowane – powiedział Norrby i założył jedną swoją długą nogę na drugą. – Mówiłeś, że jak długo byli na tym kempingu?

– Trzy dni.

– Sprawca śledził oczywiście Petera Bovide na kempingu i widział, jakie miał nawyki.

– Najwyraźniej biegał każdego ranka o tej samej porze. Zawsze. Przez cały rok.

Karin sięgnęła po termos z kawą, który stał na stole.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego sprawca zdecydował się dokonać morderstwa tak blisko kempingu, gdzie aż roi się od ludzi. Czy nie wydaje się to dość idiotyczne?

– Może dlatego, że też mieszkał na tym kempingu – odrzekł Wittberg. – Mógł to być człowiek, którego Peter Bovide dopiero co poznał.

– Albo sprawca celowo nie chciał zabić Petera Bovide w jego najbliższym otoczeniu – powiedział Smittenberg. – Jakiś sąsiad, kolega z pracy czy ktoś inny, kto był powiązany z Peterem Bovide w Slite. Być może zamordował go na Fårö dlatego, aby odwrócić od siebie podejrzania.

– To nie jest wcale takie głupie – powiedziała Karin. – Sposób jego działania pozwala sądzić, że był to jakiś szaleniec, którego poniosło. Musimy zrobić wszystko, żeby go złapać i to możliwie jak najszybciej. Jedną z dróg dotarcia do sprawcy jest odnalezienie broni. Mógł ją porzucić gdzieś w pobliżu. Szukamy jej przy użyciu wykrywaczy metalu, ale pomagają nam też policyjni nurkowie patrolujący wybrzeże. Przeszukują teraz rejon, w którym znaleziono zwłoki.

Pomyślała sobie, iż musi dopilnować, aby Państwowe Laboratorium Kryminalistyki zajęło się przede wszystkim zbadaniem pocisków i ustaleniem rodzaju broni, której użyto. Zwróciła się do Sohlmana:

– Eriku, czy możesz dopilnować, żeby w laboratorium przyspieszono nieco badania? Nie możemy wykluczyć, że mamy do czynienia z chorym psychicznie sprawcą. A w takim wypadku według czarnego scenariusza morderstwo to pobudziło tylko jego apetyt i można przypuszczać, że znowu zaatakuje.

Wspólnik Petera Bovide, Johnny Ekwall, był blady i wstrząśnięty, gdy pojawił się na przesłuchaniu w komendzie tego wieczora, kiedy popełniono morderstwo. Jego muskularne ciało było skulone, a on sam najwyraźniej nie potrafił powstrzymać się od łez. Usiadł ciężko na krześle na wprost Karin, która znajdowała się po drugiej stronie stołu w ciasnym pokoju przesłuchań. Było od niego okropnie czuć potem. Karin pokręciła nosem, ale pomyślała sobie, że powinna mu to chyba wybaczyć w dniu, kiedy właśnie zamordowano jego kolegę.

– Rozumiem, że trudno jest zjawiać się tu w takim celu – rozpoczęła, okazując mu współczucie. – Niestety, jest to jednak konieczne. Musimy jak najszybciej zebrać wszelkie informacje o Peterze Bovide, aby schwycić jego zabójcę.

Włączyła magnetofon i nagrała rutynowe pytania. Następnie wyciągnęła się na krześle i przyjrzała się człowiekowi siedzącemu naprzeciwko niej. Wiedziała, że ma pięćdziesiąt dwa lata, ale jej zdaniem wyglądał na starszego. Miał rzadkie włosy, a na jego twarzy rysowały się liczne, głębokie zmarszczki.

– Od jak dawna byli panowie współwłaścicielami firmy?

– Od pięciu lat. Peter marzył od dawna, żeby rozwinąć własną działalność. I właśnie dopiero teraz firmie zaczęło się tak naprawdę dobrze powodzić. A niech to diabli!

Spuścił głowę i wpatrywał się w stół.

– W jaki sposób dzieliliście się pracą?

– Peter zajmuje się kwestiami administracyjnymi i finansowymi, a dodatkowo załatwianiem zleceń. Ja zajmuję się stroną praktyczną, a więc znajdowaniem ludzi do pracy na budowie i tym podobnym. Pilnuję, żeby wszystko grało. Ja również więcej niż Peter pracuję jako budowlaniec, spędzam sporo czasu na budowach, ile się tylko da. Peter raczej siedzi w biurze. Można by rzec, że on jest mózgiem, a ja sercem firmy.

Karin uniosła brwi, kiedy usłyszała to porównanie. Od razu poczuła sympatię do tego człowieka, który mówił o Peterze Bovide tak, jakby jego kolega nadal żył.

– W jaki sposób się poznaliście?

– To było na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy w przemyśle budowlanym źle się działo. Dorabialiśmy wtedy obaj jako robotnicy portowi, pracując przy załadunku i rozładunku statków w Slite. Potem spotykaliśmy się dość często na tych samych budowach i bardzo się zaprzyjaźniliśmy.

– A dlaczego chciał pan założyć firmę razem z Peterem?

– Przez całe życie pracowałem dla innych, więc pomyślałem sobie, że czas już zacząć żyć na własny rachunek. Na budowach Peter zawsze motywował innych do pracy, to on przekonywał ludzi, żeby pracowali wydajniej i dzięki temu więcej zarabiali w systemie akordowym. Dlatego polegałem na nim. Jeśli miałem już z kimś otwierać własną firmę, to właśnie z nim. Poza tym miałem odłożonych trochę pieniędzy, które starczyły na rozkręcenie firmy.

– Czy jest pan żonaty? Czy ma pan dzieci?

– Nie.

– Czy może pan opisać Petera? Jaki on był?

– Wszyscy go lubili. Był spokojnym i takim uporządkowanym człowiekiem. Do tego pracowity jak mrówka. Taki właśnie był. Bez przerwy pracował.

– A jak mu się układało w małżeństwie?

– Vendela i dzieciaki były dla niego wszystkim. Był jednym z niewielu znanych mi mężczyzn, u których wszystko grało z żoną. Pracował dużo, ale po skończeniu roboty zawsze szybko wracał do domu.

Johnny Ekwall westchnął ciężko i przetarł oczy. Karin odczekała jakiś czas, zanim zadała kolejne pytanie.

– A w firmie, jak pan powiedział, wszystko było w porządku?

– Tak. Na początku było ciężko, ale w ostatnich latach bez przerwy wpływały jakieś zlecenia. Ludzie budują się teraz jak wariaci. Otrzymaliśmy też kilka większych zleceń, dzięki którym zarobiliśmy sporo pieniędzy. Jest coraz lepiej. Nawet myśleliśmy, czy nie zatrudnić jeszcze kilku ludzi. A tu nagle coś takiego. Co za cholerna niesprawiedliwość!

– Czy wie pan, kto mógłby Peterowi źle życzyć?

– Pojęcia nie mam.

– Czy zauważył pan ostatnio jakąś zmianę? Jakąś nową osobę, która by się z nim kontaktowała albo coś innego? Proszę się dobrze zastanowić, bo wszystko może mieć duże znaczenie. Nawet najmniejszy szczegół.

Johnny Ekwall zawahał się, zanim odpowiedział.

– Tak, była jedna rzecz. Otóż Peter mówił mi, że czuje czasem, jakby ktoś go

szpiegował. I to właśnie teraz, w ostatnim czasie, na krótko przed tym, nim go zabito.

Karin drgnęła.

– Co to znaczy szpiegował?

– No... że ktoś za nim chodzi. Po prostu go śledzi.

– Kiedy to było?

– Gdy raz siedzieliśmy w firmie i mieliśmy jak zwykle przerwę na kawę, wstał nagle, podszedł do okna i wyjrzał przez nie. Zapytałem, co się dzieje, a on powiedział, że wydawało mu się, iż usłyszał jakiś dźwięk i że mignął mu jakiś cień.

– A czy pan widział coś?

– Nie. Zdarzyło się to jeszcze jeden raz, gdy byliśmy na zakupach w Slite. Wtedy też kilka razy odwracał się i mówił, że miał wrażenie, że ktoś za nim szedł.

– Kiedy to się zaczęło?

– Kilka tygodni temu, chyba na początku czerwca.

– A czy wcześniej też się tak zachowywał?

– Nie. Ale w ostatnim czasie odbierał dziwne telefony.

– To znaczy?

– To znaczy, że ktoś dzwonił, a potem odkładał słuchawkę.

– Czy pan również odbierał takie telefony?

– Nie. Wiem tylko, że kilka razy zdarzyło się to Peterowi.

– A co mówiła osoba, która dzwoniła?

– Chyba nikt nic nie mówił. Może to tylko po prostu jakieś łobuzy dzwoniły dla żartu.

– O jakiej porze dnia zdarzały się telefony?

– Wydaje mi się, że o różnych porach.

– A czy wie pan, czy dzwoniło do niego również do domu?

– Nic o tym nie wspominał.

– A czy jeszcze jakaś inna osoba w firmie odbierała takie telefony?

– Nie.

– Czy pańskim zdaniem mogło to mieć jakiś związek w pracą?

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Nie wiem nawet, czy naprawdę ktoś go śledził, czy mu się tylko tak wydawało. Był trochę słaby psychicznie, to trzeba otwarcie powiedzieć.

– Słaby? Co ma pan na myśli?

– Czasem miewał depresję i wtedy nie odzywał się prawie przez cały dzień. Jakby zamykał się w sobie. Od razu było widać, że ma chandrę.

– Czy wie pan, z jakiego powodu tak się działo?

- Nie.
- Czy rozmawialiście o tym?
- Nie. Kiedyś raz czy drugi próbowałem go pytać, ale zauważyłem, że nie chce o tym mówić, więc dałem spokój.
- Na ile orientuje się pan w kwestiach rachunkowości waszej firmy?
- Praktycznie wcale. Jak już mówiłem, rachunkami zajmował się Peter. Ja się na tym nie znam.

Johan i Pia pracowali, żeby ukończyć na czas reportaż do pierwszego wieczornego wydania wiadomości. Siedzieli w pokoju redakcji wiadomości lokalnych w siedzibie radia i telewizji przy ulicy Östra Hansegatan, znajdującej się tuż przy murach miejskich. Wiadomości lokalne już od kilku lat obejmowały swoim zasięgiem Gotlandię, ale na wyspie nie było stałej siedziby redakcji. Johan musiał przyzwyczać się do ciągłego kursowania między Sztokholmem a Visby. Było to uciążliwe nie tylko ze względów zawodowych, ale również z uwagi na życie prywatne. Jego związek z Emmą Winarve już i bez tego nie był łatwy. Tak było zresztą od samego początku. Kiedy się poznali, była mężatką i miała dwójkę małych dzieci. Od razu zakochali się w sobie i tak zaczął się ich namiętny romans utrzymywany w wielkiej tajemnicy. Kiedy Emma zaszła w ciążę i miała urodzić dziecko Johana, rozwiodła się. Urodziła się im córka Elin, która skończyła właśnie rok. Emma miała zbyt wielki mętlik w głowie po rozwodzie i dlatego nie chciała od razu zamieszkać z Johanem, co bardzo go raniło.

Po jakimś czasie mógł się już jednak przeprowadzić do willi Emmy w Roma.

Sielanka rodzinna okazała się krótkotrwała. Zaraz potem znaleźli się w samym centrum dramatycznych wydarzeń, kiedy porwano ich córkę. Morderca, który wodził policję za nos, a do którego sprawy Johan zbytnio się zbliżył, robiąc reportaże dla Telewizji Szwedzkiej, w ukryciu przetrzymywał Elin przez kilka pełnych grozy godzin. Emma oskarżyła Johana o narażenie życia ich dziecka, mimo że w głębi duszy wiedziała, że nie zrobił tego specjalnie. Kiedy Elin doszła wreszcie do siebie po tym zajściu, Emma zerwała zaręczyny. Od tego czasu upłynęło już wiele miesięcy, a mimo to ich wzajemne relacje były nadal chłodne. Spotykali się tylko wtedy, gdy Elin trzeba było skądś odebrać lub gdzieś odstawić.

Z powodu tych wszystkich komplikacji Johan przez całą wiosnę kursował tam i z powrotem pomiędzy Sztokholmem a Gotlandią, starając się przebywać z Elin tak często, jak tylko mógł.

Telewizja Szwedzka wynajęła dla niego mieszkanie przy ulicy Adelsgatan w centrum miasta, więc nie musiał mieszkać w hotelu. Wprawdzie mieszkanie było trochę ruderowate, ale za to w samym centrum.

Johan ciężko przeżywał rozłąkę z bliskimi mu osobami. Jego ciało aż rwało się do Emmy, a serce bolało go z tęsknoty za Elin. Czuł w sobie jakąś ogromną pustkę, czarną czeluść. Teraz zupełnie nie wiedział, co ma ze sobą począć. Najlepiej chyba było pogodzić się z tą sytuacją. Zamierzał dochodzić swoich praw, aby mógł spędzać z córką co najmniej tyle czasu, ile Emma. Jego własna matka odwiodła go jednak od tego pomysłu i rzeczywiście zmieniła jego sposób myślenia.

– Nie wszystko naraz – pocieszała go. – Po kolei. Wnoszenie roszczeń w samym środku tego chaosu jeszcze tylko pogorszy całą sytuację. – Emma z czasem zapewne ochłonie i opamięta się – tłumaczyła mu. A on chciał w to wierzyć.

Jego sytuację można było określić tylko jednym słowem: katastrofa. Ale dramatyczne porwanie Elin na przedwiośniu odbiło się mocno również na samym Johanie. Nie był teraz w stanie zajmować się rozwiązywaniem sporów z Emmą i na razie cieszył się każdym dniem, w którym mógł zobaczyć Elin.

Było już ciemno, kiedy Karin wolnym krokiem wracała z komendy do domu. Przebiegła ulicę Norra Hansegatan i szła dalej główną ulicą koło centrum handlowego Östercentrum. Sklepy były już pozamykane. Tego ciepłego lipcowego wieczora na dworze przy stoliku McDonalda siedziała jedynie grupa rozkrzyczanych wyrostków. Mijała młodzież, która ciągnęła w stronę murów miejskich i piętrzącego się w ich obrębie centrum miasta. Zbliżała się północ, a Karin nadal nie udało się skontaktować z Knutasem. Teraz było już za późno, żeby do niego dzwonić. Wysłała mu więc krótkiego esemesa: „Morderstwo na Fårö. Zastrzelono mężczyznę, typowa egzekucja. Zadzwoń, kiedy będziesz miał czas”.

Mijała akurat budkę z grillem Aliego koło bramy Österport, kiedy zadzwonił telefon.

– Cześć, tu Anders. Żartujesz?

– Dobrze by było.

Nie mogła się powstrzymać i uśmiechnęła się, kiedy usłyszała zdumienie w jego głosie. Zrozumiała, że bardzo by chciał być teraz tu, na miejscu.

– Próbowałam dzwonić do ciebie kilka razy.

– No tak, telefon komórkowy ładował się i był wyłączony. Potem zapomniałem go ze sobą zabrać. No wiesz, jestem w końcu na urlopie – przekomarzał się. – Ale opowiadaj, co się stało.

Karin streściła Knutasowi pokrótce przebieg wydarzeń, przechodząc przez bramę Österport w murach okalających Visby i idąc dalej w kierunku ulicy Hästgatan.

Knajpki, które mijała, były pełne ludzi korzystających z uroków ciepłego wieczoru. Z barów i restauracji dochodziły dźwięki muzyki. Rozrywek w lecie było w Visby zawsze aż nadto, a teraz był akurat szczyt sezonu.

Kiedy skończyła swoją relację, zdążyła już dojść do ulicy Mellangatan.

– A niech to diabli! – powiedział Knutas. – Co teraz zrobicie?

– Rozmawiałam z Martinem Kihlgårdem. Razem z kilkoma swoimi kolegami z Centralnego Biura Śledczego ma przyjechać do nas jutro rano.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza. Karin doszła tymczasem do furtki swego domu. Dręczyły ją trochę wyrzuty sumienia. Po trosze dlatego, że Knutas przebywał na w pełni zasłużonym urlopie, którego naprawdę potrzebował. Ale i dlatego, że było już późno i teraz powinien on raczej więcej uwagi poświęcić swojej żonie niż gadać z nią o sprawach zawodowych.

– Słuchaj – powiedziała. – Teraz wiesz już w każdym razie, co się stało. Ale jesteś na urlopie. Poradzimy sobie z tym, Andersie.

– Tego jestem pewien, ale w razie czego śmiało dzwoń. Wiesz, że mi nie przeszkadzasz.

– Dzięki. Dobranoc.

– Dobranoc. Pozdrów ode mnie całą resztę.

– Dobrze.

Kiedy Karin kładła się spać tego wieczora, czuła się o wiele bardziej samotna, niż jak to było już od dłuższego czasu.

Hamburg,
22 czerwca 1985 roku

Siedziała w kuchni i z nadzieją patrzyła na drugą stronę ulicy Friedenstrasse. Stojący naprzeciwko dom był jasno otynkowany i miał sześć kondygnacji. Od dawna nie musiała już liczyć rzędów okien, żeby wiedzieć, gdzie on mieszkał. Gotthard Westenfelder – z rozkoszą wypowiedziała na głos to nazwisko. Nigdy wcześniej w swym dwudziestoletnim życiu nie była aż tak zakochana. Spotkali się na uniwersytecie, na którym właśnie ukończyła pierwszy rok studiów. Oboje mieli zostać w przyszłości nauczycielami i byli w tej samej grupie. Już pierwszego dnia poczuła, że on ma w sobie coś nadzwyczajnego. I to nie tylko, gdy chodzi o wygląd, choć i tak dobrze prezentował się jako blondyn o zielonych oczach. Dopiero po tygodniu po raz pierwszy ze sobą rozmawiali. Zapytał ją, czy wie, gdzie można znaleźć jedną z książek, która należała do kanonu lektur na ich kierunku studiów. Zrozumiała od razu, że jego pytanie nie dotyczyło wyłącznie tej książki. Następnego dnia poszli na kawę, a potem do kina. I wtedy ją pocałował. Od tej pory minęły dwa tygodnie, a ona była już tak w nim zakochana, że nie potrafiła myśleć o niczym innym. Nawet kiedy się z nim nie spotykała, to i tak dosłownie wszędzie widziała jego twarz.

Teraz ślęczała nad książkami i próbowała skoncentrować się na ostatnim egzaminie przed letnimi wakacjami, lecz jej wzrok wciąż odrywał się od tekstu i wędrował w stronę jego mieszkania. Niestety jednak okno jego sypialni wychodziło na drugą stronę.

Vera spojrzała na podręcznik, ale litery znów zaczęły się jej rozmywać przed oczami, składały się w słowa i rozdzielały, żyjąc najwyraźniej własnym życiem. Westchnęła, spojrzała po raz ostatni przez okno na ulicę i poszła do toalety.

Zatrzymała się przed lustrem i przyjrzała się swojej twarzy. Była całkiem zadowolona ze swego wyglądu, mimo że uważała, iż jej siostra Tanja była ładniejsza. Tanja miała urodę po matce, podczas gdy Vera odziedziczyła rysy po ojcu, z pochodzenia Rosjaninie. Ich rodzice, Oleg i Sabine, poznali się w Berlinie Zachodnim i mieszkali tam kilka lat. Potem cała rodzina przeprowadziła się do Hamburga, gdzie ojciec znalazł pracę jako biolog w pewnej dużej firmie, a matka pracowała jako nauczycielka w gimnazjum.

Vera przejechała palcem po swoim czole, a następnie po kościach policzkowych i

szczęce. Miała duże, szare oczy oraz czarne rzęsy i brwi.

Jej rozmyślania przerwało pukanie do drzwi piętro niżej i głos siostry.

– Cześć!

Vera powróciła na swoje miejsce przy kuchennym stole.

– Ale jestem głodna!

Tanja otworzyła drzwi lodówki i zaczęła wyciągać kolejne porcje jedzenia: ser, salami, zrobioną przez matkę zapiekankę z mielonego mięsa, która pozostała jeszcze z wczorajszego obiadu.

– Nie jadłaś nic przez cały dzień? – zapytała Vera, obserwując rosnącą na stole górę jedzenia.

– Nie zdążyłam.

Tanja nie dokończyła swoich czynności i uśmiechnęła się tajemniczo do siostry, mrugając okiem.

– No powiedz, o co chodzi – westchnęła Vera. – Kto to taki tym razem?

Młodsza siostra była bardzo urodziwa i umiała to wykorzystać. Tak dla sportu podrywała jednego faceta za drugim.

– Nie chciałabyś wiedzieć – powiedziała, triumfując. Klapnęła na krzesło naprzeciw siostry i zaczęła smarować chleb masłem orzechowym.

– No powiedz już! – nalegała Vera. – Nie wygadam się.

Tanja pochyliła się ku niej z konspiracyjną miną.

– Ale przysięgnij!

– Dobra, przysięgam.

– Peter.

– Jaki znów Peter?

– Peter Hartmann, mój nauczyciel filozofii.

– Zupełnie ci odbiło, czy co? Zwariowałaś chyba! Nauczyciel? Jak do tego doszło?

– No wiesz, zostałam dzisiaj po lekcjach, żeby podpytać go trochę o to, co będzie na jutrzejszym teście. Kiedy tak tam staliśmy i rozmawialiśmy, poczułam nagle, że coś między nami zaiskrzyło. A on chyba też to poczuł, bo pogładził mnie po ramieniu i zapytał, czy nie poszlibyśmy na kawę. A potem...

Przerwała, bo otworzyły się drzwi. Ojciec zawsze wracał w piątki wcześniej z pracy. Nie mogło być mowy o opowiadaniu mu o swoich miłościach. Zwłaszcza gdy dotyczyło to nauczyciela.

– Cześć, dziewczyny – zawołał radośnie ojciec. Stał w drzwiach do kuchni i

uśmiechnął się. W rękę trzymał jakąś kopertę.

– Co to jest, tato? – zapytała Tanja. – Czy wydarzyło się coś fajnego?

Oleg popukał kopertą o framugę.

– Chyba można tak powiedzieć – odpowiedział triumfalnie. Wszedł do środka, pocałował każdą z córek po kolei i usiadł przy stole obok Tanji.

– Chociaż wolałbym chyba poczekać, aż mama wróci do domu.

– Nie – zaprotestowały obie. – Powiedz, co to jest?

– Dobra.

Posprzątał jedzenie ze stołu, by mieć cały blat do dyspozycji.

Oleg otworzył ową dużą kopertę i wyjął jakąś broszurę oraz zdjęcia.

Unióś broszurę do góry i pokazał dziewczętom. Vera pochyliła się do przodu, żeby móc lepiej widzieć.

Na zdjęciach było widać piaszczystą plażę z kilkoma żdźbłami trawy na pierwszym planie. Niebo miało chabrowy kolor. Wyglądało to na jakąś wspaniałą plażę gdzieś na Wyspach Kanaryjskich. Potem przeczytały napis: Gotska Sandön.

– Czy to znaczy, że tam pojedziemy? – spytała podniecona Tanja.

Nic nie odpowiedziawszy, pokazywał im zdjęcia jedno po drugim. Zachód słońca nad połyskującym morzem, długie i szerokie, piaszczyste i kamieniste plaże, opustoszały las, olbrzymie gromady egzotycznych ptaków, jar i pulchniutkie szare foki wygrzewające się w słońcu na skałach.

– Tak – westchnął. – Nareszcie.

– Ale tam nie mogą przyjeżdżać cudzoziemcy – wtrąciła Vera. – Sam przecież mówiłeś, że to jest teren wojskowy.

– Tak, ale tym razem dostałem pozwolenie od władz gminnych na Gotlandii, ponieważ jest tam pochowany mój pradziadek.

– Rany, tato! To wspaniale!

Tanja uścisnęła go mocno. Vera patrzyła na ojca. Oleg mówił o wyspie Gotska Sandön, odkąd tylko pamiętała. Pracował jako biolog, był członkiem stowarzyszenia ornitologicznego i – jej zdaniem – niewiarygodnym wprost miłośnikiem natury. Wyspa Gotska Sandön była rezerwatem przyrody, a on opowiadał im niezliczoną ilość razy o jej bogatej roślinności i żyjącym tam ptactwie. Niewiele wiedziała o tej wyspie oprócz tego, że leżała w Szwecji niedaleko wyspy zwanej Gotlandią.

– A czy my też możemy z tobą pojechać?

– Ależ oczywiście. Nic jeszcze mamie nie mówiłem, chcę jej zrobić niespodziankę.

– Och, jak fajnie – ucieszyła się Tanja. – Kiedy pojedziemy?

– Za jakieś trzy tygodnie. Wyruszymy do Szwecji szesnastego lipca i przenocujemy w Sztokholmie. To miasto jest ponoć bardzo ładne. Stamtąd polecimy do Visby na Gotlandii, gdzie też będziemy mieli jeden nocleg. Potem popłyniemy statkiem na wyspę Gotska Sandön i tam spędzimy cały tydzień.

– A gdzie będziemy mieszkać? – zapytała Tanja. – Czy są tam jakieś hotele?

– Nie – zaśmiał się Oleg. – To jest rezerwat przyrody, więc jest tam tylko kilka małych domków wypoczynkowych. Reszta wyspy nie jest w ogóle zamieszkana. Nie ma tam stałych mieszkańców.

Vera wzruszyła się, widząc, jak szczęśliwy jest jej ojciec. O tej podróży marzył przez całe życie. I właśnie teraz jego marzenie miało się wreszcie ziścić.

Wtorek, 11 lipca

Karin obudziła się, zanim zadzwonił budzik i sięgnęła po niego do nocnego stolika. Za pięć siódma. Poleżała jeszcze chwilę i ponownie analizowała w myślach wczorajsze wydarzenia. Przed oczami ukazał jej się obraz okaleczonego ciała Petera Bovide.

Obiektywnie patrząc, można stwierdzić, że jego życie nie było jakieś nadzwyczajne. Peter Bovide był najzwyczajszym ojcem dwójki małych dzieci, który wraz z kolegą prowadził niedużą firmę budowlaną. Odpowiedzi udzielane przez Johnny'ego Ekwalla wydawały się szczere. Karin była ciekawa, jakie będą rezultaty śledztwa przeprowadzonego przez policję zarówno w domu Petera Bovide, jak i w pomieszczeniach należących do jego firmy. Wczorajszego wieczora badania te trwały jeszcze do późnych godzin nocnych.

Wstała z łóżka. Podobnie jak Knutas była rannym ptaszkiem. Zastanawiała się, jakie oboje mają jeszcze inne wspólne cechy. W jaki sposób on poprowadziłby dochodzenie? Zrozumiała, że będzie musiała jednak dzisiaj znowu do niego zadzwonić.

Otworzyła okno. Ponieważ mieszkała na najwyższym piętrze, ponad dachami domów widziała morze. Gdzieś w oddali widać było prom wypływający z portu w Visby.

Deski podłogowe zatrzęszczały pod jej nogami, kiedy weszła do kuchni. Papuga Vincent nie spała już i na powitanie powiedziała jej po angielsku dzień dobry. Była jedyną znaną jej dwujęzyczną papugą. Karin dostała ją od przyjaciółki, która kilka lat temu wróciła z Australii do ojczyzny.

Zaparzyła herbatę i zrobiła kilka kanapek. Wyjęła gazetę ze skrzynki pocztowej i włączyła radio. Morderstwo Petera Bovide było oczywiście tematem numer jeden we wszystkich serwisach informacyjnych. Z ulgą stwierdziła, że wiadomości te nie zawierały żadnych sensacji oprócz informacji zdobytych już przez policję. Przeczytawszy dokładnie wszystko, co napisano o morderstwie, przejrzała szybko resztę artykułów w gazecie. Jej uwagę przykuła pewna informacja zamieszczona w gotlandzkich gazetach.

Rosyjskie dostawy węgla drogą morską do cementowni w Slite miały podwoić się jesienią. Statki miały zawijać do portu raz w tygodniu, a nie jak kiedyś co czternaście dni. Spowodowane to było wzrostem produkcji cementu. Węgiel wykorzystywany był jako paliwo w tamtejszych piecach. A cementownia w Slite należała do największych w kraju.

Nalała sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty. Coś ją w tym artykule zaniepokoiło, ale nie potrafiła powiedzieć co. Przeczytała go raz jeszcze, tym razem dokładniej. Nie odkryła nic nadzwyczajnego.

Może w takim razie wpadnie na to jeszcze później.

Telefon zadzwonił, zanim jeszcze Karin zdążyła przekroczyć próg swojego pokoju służbowego. Od razu rozpoznała podniecony głos kierowniczkę biura obsługi ruchu turystycznego. O cokolwiek by chodziło, Sonja Hederström zawsze mówiła tak, jakby się właśnie paliło. Już samo brzmienie jej głosu nawet u najspokojniejszej osoby mogłoby spowodować wzrost ciśnienia i migotanie serca.

– Halo, mówi Sonja Hederström. Urywają się nam telefony od zaniepokojonych właścicieli kempingów i od turystów. Ludzie są chyba przekonani, że to okropne morderstwo ma związek z faktem, że ten mężczyzna mieszkał na kempingu!

Jak zwykle kierowniczkę biura obsługi ruchu turystycznego zakładała, że osoba, do której dzwoni, ma zawsze czas, żeby z nią porozmawiać. Nawet nie zapytała, czy nie przeszkadza, mimo że policja była teraz całkowicie pochłonięta dochodzeniem. Karin ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć jej czegoś, czym mogłaby ją urazić.

– Ach tak?

– Tak. Trwa to już od wczorajszego przedpołudnia i jest coraz gorzej. A teraz zaczęło się także wycofywanie wcześniejszych rezerwacji. Niech pani tylko pomyśli! Ludzie nie mają odwagi przyjeżdżać tu po czymś takim. A jeśli morderca znów zaatakuje jakiś obiekt turystyczny?

Szczyt sezonu turystycznego trwał na Gotlandii bardzo krótko, bo od nocy świętojańskiej do pierwszych dni sierpnia. Na wyspę zamieszkaną przez zaledwie sześćdziesiąt tysięcy stałych mieszkańców przyjeżdżało wtedy trzysta, a nawet czterysta tysięcy turystów. Dochody z turystyki miały oczywiście nieocenioną wartość. W pewnym sensie Karin rozumiała więc niepokój Sonji Hederström.

– Może pani przekazać osobom dzwoniącym, iż nic nie wskazuje na to, aby to morderstwo miało coś wspólnego z karawaniem jako takim czy też z samym kempingiem. Z drugiej jednak strony wykluczyć tego nie możemy, gdyż dopiero rozpoczęliśmy dochodzenie.

– Jediną rzeczą, która może uspokoić ludzi, jest schwytanie zabójcy. Jak daleko jesteście od ujęcia go?

– Nie można jeszcze nic powiedzieć. Morderstwo tak naprawdę zdarzyło się wczoraj.

– Ale czy rzeczywiście nie macie pojęcia, kto to może być? Przecież muszą być jakieś ślady na miejscu przestępstwa i pewnie sporo ludzi coś widziało. Przecież on został zastrzelony, a więc strzały było pewnie słychać z daleka, a Sudersand miał pełne obłożenie. Teraz wielu turystów przerwało urlop i wyjechało stamtąd. Nikt nie odważy się przyjechać tam teraz. Czy rozumie pani, co to będzie za katastrofa dla właściciela kempingu?

No świetnie. Sonja Hederström najwyraźniej chciała też pouczać policję, w jaki sposób powinna poprowadzić dochodzenie w sprawie morderstwa.

– Teraz akurat nie współczuję najbardziej właścicielowi kempingu – odrzekła sucho Karin. – Mamy oczywiście i ślady, i świadków. I to właśnie na tym muszę się teraz skoncentrować, zamiast marnować czas na niepotrzebne rozmowy telefoniczne.

– Nie musi być pani taka nieuprzejma – powiedziała Sonja Hederström urażona. – Peter Bovide był stałym gościem na kempingu. Nie dziwi zatem, że fama głosi, iż mordercą jest ktoś, kto nienawidzi ludzi uprawiających karawaning albo coś w tym stylu. Chcę tylko uzyskać informacje, które mogłyby uspokoić ludzi i zmniejszyć ich obawy, przynajmniej choć trochę. Będę chyba musiała jednak zwrócić się do Andersa, kiedy wróci z urlopu.

Głos kierowniczkii biura obsługi ruchu turystycznego aż drżał z oburzenia. Nacisnęła przycisk i natychmiast zakończyła rozmowę. Po prostu odłożyła słuchawkę.

W Karin tak się zagotowało, że aż poczerwieniała na twarzy. Wyszła na korytarz, aby napić się wody. Zwykle jej to pomagało, kiedy była zdenerwowana.

Kiedy kubek był już pusty, na korytarzu pojawił się Thomas Wittberg. Był jak zwykle bardziej opalony niż inni, ubrany w wytarte dżinsy i biały podkoszulek podkreślający opaleniznę. Jego kręcone, jasne włosy były jeszcze dłuższe niż zwykle i zwisały mu aż do oczu, które ledwo było widać.

– Hej, co słychać? Wyglądasz jak gradowa chmura.

– Nawet nie pytaj – wysyczała i okazując mu swoją nieprzychylność, odwróciła się do niego plecami, napełniając wodą z automatu jeszcze jeden plastikowy kubek.

– To jest aż tak źle? Ja mam w każdym razie kilka nowości. Może one pomogą?

Kilka minut później siedzieli w pokoju Karin. Thomas usiadł przy biurku naprzeciwko niej.

– Rozmawiałem właśnie z człowiekiem, który wczoraj rano obsługiwał prom na Fårö. Powiedział mi, że podczas pierwszego rejsu o czwartej rano dostrzegł tylko trzy samochody

na pokładzie. Facet umiła sobie czas, przyglądając się pasażerom podczas przeprawy i dlatego dobrze pamięta, kto siedział w tych samochodach. Jeżeli sprawcy nie było na Fårö już wcześniej, to musiał przy płynąć tym promem o czwartej. Przedtem, w nocy prom nie kursował, a następny, dopiero o piątej, przy płynąłby już za późno.

– No i?

– W pierwszym samochodzie siedziała młoda para, która wyglądała tak, jakby całą noc bawiła się w Visby. Drugi samochód prowadziła kobieta w ciąży, a trzeci jakiś mężczyzna, który przewoził konia.

– A czy pamięta, jakie to były samochody?

– To jest właśnie niewiarygodne. Pamięta i kolory, i marki, a nawet fragmenty numerów rejestracyjnych. Zwykle bowiem zapamiętuje przynajmniej litery.

– Co za oryginał! Powinien pracować w policji kryminalnej – zaśmiała się Karin i zapomniała o swojej wcześniejszej złości. – Jak on się nazywa?

– Bo Karlström, sześćdziesiąt lat, z Fårösund.

– Dobrze, dajcie go tu jak najszybciej. Być może rzeczywiście widział sprawcę. I spróbujcie odnaleźć tych ludzi. Musimy się dowiedzieć, po co jechali na Fårö tak wczesnym rankiem.

Kiedy Emma Winarve wjeżdżała samochodem na miejsce parkingowe koło biblioteki w Almedalen, jedna jej część chciała najchętniej zawrócić i pojechać z powrotem do domu. Spojrzała na odbicie swojej twarzy w lusterku. Bładość jej skóry prześwitywała pod opalenizną, widać też było worki pod oczami. A niech tam! Zostawi tylko Elin na chwilę z Johanem, a sama pójdzie do dentysty. Nie ma czym się podniecać.

Wysiadła i podniosła klapę bagażnika. Wyjęła z niego, choć nie bez pewnych trudności, wózek, rozłożyła go, położyła na spód torbę z pieluszkami dla Elin, butelkę z wodą do picia i zwierzaka-przytulankę. Podniosła córkę, cmoknęła ją w kark, a następnie posadziła w wózku i włożyła jej smoczek do buzi. Poprawiła swoją cienką bawełnianą spódnicę oraz włosy, które związała w koński ogon. Były już dłuższe i sięgały aż do karku. Ruszyła ku Almedalen. Ten piękny park rozpościerał się tuż za murami miejskimi i stanowił pewnego rodzaju oazę zieleni między miastem a portem.

Słońce prażyło i zrobiło się już ciepło. W parku o tak wczesnej porze było jeszcze dość mało ludzi. Jakaś starsza kobieta siedziała na ławce i rzucała okruszki chleba kaczkom pływającym w stawie. Również kilka młodych mam, które lubią wczesnie wstawać, rozsiadło się z dziećmi na kocach rozłożonych na trawie. Oprócz nich widać było tylko turystów zmierzających w stronę jachtów w porcie lub też wybierających się nad morze i niosących do samochodów torby plażowe.

Latem wszystko wyglądało tak sielankowo. Ludzie wydawali się weseli i odprężeni, kiedy tak spacerowali, rozmawiając ze sobą i śmiejąc się. Wszystko to sprawiało, że czuła się jeszcze bardziej samotna i przegrana. Czy wszystkim innym ludziom żyło się rzeczywiście dużo łatwiej? Czy to z nią było coś nie w porządku, co nie pozwalało jej ułożyć sobie życia?

Umówili się przed wejściem do „Packhuskällaren” na ulicy Strandvägen, ale już zbliżając się do murów, dostrzegła sylwetkę Johana w świetle bramy. On jej jeszcze nie zauważył, patrzył w inną stronę. Nic na to nie mogła poradzić, ale nadal wydawał jej się atrakcyjny. Miał ciemne włosy, silne ramiona i lekki zarost. Ubrany w szorty na swoich

długich, nieco krzywych nogach nosił oczywiście obuwie sportowe. Johan nigdy nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do ubioru.

Przez kilka chwil udawała, że nic się między nimi nie wydarzyło, że spotkali się tylko po to, by pospacerować po parku ze swoim dzieckiem. Że wszystko jest w porządku.

Już jej się to prawie udało, kiedy on odwrócił głowę i spojrzał na nią. Aż jej się ciepło zrobiło z wrażenia, kiedy zobaczyła, jak się ucieszył na jej widok.

Pomachał ręką i ruszył w jej stronę.

– Cześć!

– Cześć! – odpowiedziała bez emocji, jakby z przymusu.

Objął Elin i pocałował Emmę lekko w policzek, zanim zdążyła odchylić głowę.

– Czy masz czas, żeby się trochę z nami przejść?

Oczywiście, że miała. Wizytę u dentysty miała dopiero za pół godziny.

– Jak się czujesz? – zapytał Johan, kiedy przejął od niej wózek.

– Dziękuję, w porządku.

Przez chwilę szli w ciszy.

– Paskudna sprawa z tym morderstwem. Czy wiesz coś więcej na ten temat, niż napisali w gazetach?

– I co podali w radiu i w telewizji – zażartował. – Nie, niewiele.

– Dzwonił ojciec i powiedział, że są zaniepokojeni, że to się stało tak blisko nich.

– To zrozumiałe, chyba nic w tym dziwnego. Chociaż nie wydaje mi się, żeby mieli powody do obaw. Mordercy prawdopodobnie nie ma już na wyspie.

Dom rodziców Emmy leżał nieco na odludziu, na najdalej na północ wysuniętym cyplu wyspy Fårö.

– To jesteś teraz z pewnością bardzo zajęty?

Przyjrzała się profilowi jego twarzy.

– Bez obaw. Musimy oczywiście dokończyć dzisiaj temat, ale zdążymy. Chyba uda ci się wrócić do jedenastej?

Emma dostrzegła isierkę niepokoju w piwnych oczach Johana, co ją zirytowało. Że też ta jego praca jest zawsze taka ważna.

– Oczywiście, przypuszczalnie nawet jeszcze wcześniej.

– Aha, no to wszystko gra.

Emma wydobyla paczkę papierosów z torebki i zapaliła.

– Nie rzuciłaś palenia?

– Owszem, ale znowu zaczęłam – syknęła.

Nie chciała, aby jej odpowiedź zabrzmiała aż tak ostro, ale teraz było już za późno. Unikała patrzenia na niego.

– Nie musisz się złościć, bo nie miał to być żaden wyrzut z mojej strony.

Nie dało się nie słyszeć pewnej rezygnacji w jego głosie, która ją tylko jeszcze bardziej wkurzała. Jakby wystarczyło tylko zapalić papierosa, żeby wszystko zaczęło się walić. Tak kiepsko układało się między nimi. Po prostu nie mogli się ze sobą spotykać, bo po pięciu minutach wszystko się już psuło.

Zdążyli dojść do ścieżki nad morzem. Niewielkie fale rozbijały się o białe kamyczki na plaży miarowym, spokojnym rytmem. Od czasu do czasu mijał ich jakiś rowerzysta jadący w stronę miasta.

W pewnym momencie Emma zapragnęła po prostu stamtąd zniknąć. Nagle zatrzymała się.

– Muszę już iść.

– Już teraz?

Johan spojrzał na zegarek.

– Tak. – Zacisnęła usta. – Idź dalej sam. Elin dobrze zrobi spacer nad morzem na tym lekkim wietrze. Czyli widzimy się za piętnaście jedenasta koło biblioteki?

– Dobrze. W takim razie prosto stamtąd pójde do redakcji. Potem pewnie znów będę musiał pojechać z Pią na Fårö.

– Okej.

A więc on myślami jest już zupełnie gdzie indziej – pomyślała. Odeszła na bok i oddaliła się pośpiesznym krokiem.

Kiedy zniknęła mu już z pola widzenia, w jej oczach pojawiły się łzy.

Następnego dnia po morderstwie Vendela Bovide wciąż jeszcze leżała w szpitalu w Visby. Karin zgłosiła się w rejestracji. Poproszono ją, by usiadła i poczekała, a następnie została wpuszczona do pokoju pacjentki. Widok młodej wdowy sprawił, że Karin poczuła się nieswojo. Kobieta siedziała oparta o wezłowie łóżka. Za jej plecami leżało kilka poduszek. Oczy miała zamknięte, a jej twarz była niemal przezroczysta. Matowe włosy zwisały beładnie, nocna koszula była za duża, a ręce położyła złączone na kołdrze. Jej ból dawał się wyczuć w całym pokoju.

Karin powitała ją, ale nie usłyszała odpowiedzi. Rozejrzała się po pokoju, niezdecydowana, co ma dalej robić. W jednym z kątów stało krzesło. Ostrożnie przysunęła je i do łóżka i usiadła na nim.

– Gdzie są dzieci? – zapytała Vendela Bovide słabym głosem.

– U dziadków.

– Gdzie?

– No... mieszkają chyba w Slite?

Karin obróciła się na krześle niepewnie i zastanawiała się, czy nie zawołać pielęgniarki. Kobieta w łóżku wyglądała na niezupełnie przytomną. Minęła niecała doba od chwili, kiedy dowiedziała się, że jej mąż został zamordowany.

Wyraz jej twarzy przerażał Karin. W ciągu całej swojej dotychczasowej pracy w policji rozmawiała z wieloma osobami, których najbliżsi doświadczyli jakichś nieszczęść, ale nigdy jeszcze nie widziała kogoś, kto do tego stopnia powstrzymywał uczucie rozpacz i zasklepił się w niej, jak robiła to ta kobieta. Jej rozpacz była tak ogromna, że aż utrudniała jej oddychanie.

W tej sytuacji Karin chciała albo czym prędzej stamtąd wyjść, albo przytulić tę kobietę i ją pocieszyć. Samo tylko siedzenie na krześle wydawało jej się absurdalne.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczęła. – Nazywam się Karin Jacobsson i jestem odpowiedzialna za śledztwo. Rozmawialiśmy już wczoraj przez telefon.

Vendela Bovide skinęła lekko głową w niemal niezauważalny sposób.

– Chciałabym najpierw wyrazić moje współczucie z powodu śmierci pani męża. Czy jest pani w stanie udzielić mi odpowiedzi na kilka pytań?

Cisza.

– Czy wie pani, o której godzinie pani mąż wyszedł wczoraj rano pobiegać?

– Było pięć minut po wpół do szóstej.

– Na jakiej podstawie może to pani tak dokładnie określić?

– Spojrzałam za zegar, kiedy wychodził.

– Zatem pani też już nie spała. Czy rozmawiała pani z mężem, zanim wyszedł?

– Tak.

– Jakie sprawiał wrażenie?

– Był taki jak zwykle.

– To znaczy?

– Zadowolony. Miał zrobić śniadanie, gdy wróci. I zaparzyć kawę. To były jego ostatnie słowa.

– Czy często biegał rano?

– Codziennie to robił przez cały rok.

– Mniej więcej o tej samej porze?

– Tak.

– Zarówno w dni robocze, jak i świąteczne?

– Codziennie. Był człowiekiem, który lubił rutynę.

– A to dlaczego?

– Bo inaczej nie czuł się pewnie.

– Czy wie pani dlaczego?

– Nie, nie mówił mi o tym.

– Ale coś go niepokoiło?

– Tak sędzę.

Vendela urwała i zwróciła głowę w stronę okna.

– Co to mogło być?

– Nie wiem. Może firma.

– Czemu miałby się o nią niepokoić?

– Chyba nie jest łatwo prowadzić firmę...

– Według jego wspólnika, Johnny’ego Ekwalla, pani mąż miał wrażenie, że ktoś go śledzi. Co pani wiadomo na ten temat?

Jedna brew lekko się poruszyła.

– Nic. Ktoś miałby go śledzić? Nie, nic takiego nie mówił.

– Czy jest pani pewna?

– Tak.

– Wygląda na to, że odbierał czasem w firmie jakieś głuche telefony. Czy wie pani coś o tym?

– Nie, o tym też nigdy nie mówił.

– Czy dzwoniły do państwa jakieś osoby, które się nie przedstawiały?

– Nie. Zdarzył się może kiedyś jakiś taki głupi telefon dla żartu, ale to było już dawno temu.

Vendela chwytiała nerwowo rękami koldrę.

Albo mówiła prawdę, albo też z jakiegoś powodu nie chciała uwierzyć, że jej mężowi wydawało się, iż ktoś go śledzi. Prawdopodobnie chodziło o to drugie, ale Karin zdecydowała się poczekać na razie z pytaniami dotyczącymi tego rzekomego śledzenia.

– Jaka była kondycja firmy?

– Dobra. Tak przynajmniej mówił.

– Okej. Ale nie miała pani wglądu w dokumentację firmy dotyczącą zleceń czy też finansów?

– Nie.

Karin zrobiła małą przerwę i spojrzała do swojego notatnika, który trzymała na kolanach.

– Czy sytuacja finansowa państwa rodziny też świadczyła o tym, że firmie dobrze się powodziło?

– Tak, ponieważ mogliśmy wyjechać na urlop. Zwykle bywaliśmy na kempingach, ale nigdy nie było nas stać, żeby wyjechać za granicę. Teraz po powrocie z Fårö mieliśmy pojechać na Majorkę. Mąż zarezerwował nam czterogwiazdkowy hotel. Moim zdaniem był za drogi, ale on twierdził, że możemy sobie na to pozwolić. Uważał, że się nam to należy po tej całej harówce związanej z rozkręcaniem firmy. Kiedy nasze dzieci były jeszcze niemowlętami, było mi bardzo ciężko. On pracował wtedy niemal bez przerwy.

Vendela zaszlochła, wyciągnęła chusteczkę z pudełka na stoliku i głośno wydmuchała nos.

– A dlaczego jeździli państwo akurat na kemping w Sudersand?

– Tak robiliśmy od paru lat, podczas każdego urlopu. Peter uwielbiał ten kemping. Znał też właściciela, który rezerwował dla nas zawsze to samo miejsce.

– Czy byli państwo powiązani z tym właścicielem jeszcze w jakiś inny sposób?

– Nie, praktycznie nie. Mats, czyli ten właściciel, przez całe lato pracuje na kempingu, a po sezonie zamyka go i od razu jedzie z żoną gdzieś nad Morze Czarne, w jej rodzinne strony.

Karin skrętnie robiła notatki i przez chwilę zastanawiała się nad tym, co właśnie powiedziała Vendela Bovide. Udzielała zdumiewająco jasnych odpowiedzi, zważywszy na stan, w jakim znajdowała się jeszcze kilka minut wcześniej.

– Czy kiedy Peter wyszedł wczoraj rano z przyczepy, to widziała go pani po raz ostami?

– Tak.

– A co pani robiła po jego wyjściu?

– Nie mogłam już zasnąć, więc zaparzyłam sobie kawę. Siedziałam w przyczepie, bo padało przez całą noc. Piłam więc kawę i rozwiązywałam krzyżówki.

– A potem?

– Tak minęło chyba kilka godzin, potem dzieci się obudziły.

– Która to była godzina?

– Chyba gdzieś ósma.

– Czy nie zastanawiała się pani, czemu mąż nie wraca?

– Owszem, ale czasem zostawał jeszcze na plaży, żeby porobić trochę ćwiczeń na wzmocnienie mięśni i pokąpać się. Nie dziwiło mnie więc to aż tak bardzo, tym bardziej że dość szybko pojawiło się też słońce na niebie.

– A kiedy zaczęła się pani niepokoić, że mąż nie wraca?

– Jadłam z dziećmi śniadanie. Maluchy oglądały w telewizji program dla dzieci. Kiedy posprzątałam i posłałam łóżka, zrobiło się wpół do dziesiątej. Wtedy zaczęłam się zastanawiać, gdzie on tak długo zabawił.

– Czy zaniepokoiła się pani?

– Nie od razu. Ale około dziesiątej zesłam z dziećmi na plażę, na której było już mnóstwo ludzi. A potem zadzwoniła policja.

Vendela Bovide cały czas próbowała się opanowywać, ale teraz nie dała już rady i w ciągu kilku sekund wybuchnęła głośnym płaczem.

Karin dotknęła ręką jej ramienia. Vendela wyrwała się niczym oparzona.

– Niech mnie pani nie dotyka! – Parsknęła tak mocno, że aż opluła się śliną. – Tylko on może mnie dotykać. Słyszysz pani, co mówię?

Karin się wzdrygnęła. Zupełnie nie spodziewała się takiej reakcji z jej strony.

Odsunęła swoje krzesło tak daleko, jak tylko się dało, i przez chwilę siedziała bez słowa. Pozostało jej jeszcze kilka pytań, na które chciała uzyskać odpowiedź. Miała cichą nadzieję, że wdowa nie straciła całkowitej kontroli i się opanuje.

Płacz powoli cichł już do tego stopnia, że Karin ponownie odważyła się coś powiedzieć.

– Czy wie pani coś o tym, żeby mąż miał jakichś wrogów? To znaczy, czy ktoś mu groził albo czy jakaś osoba szczególnie źle mu życzyła?

Twarz kobiety spochmurniała.

– Nie, chyba nie.

– Chyba nie?

– Nie sędzę. Peter był bardzo hojnym człowiekiem, wszyscy go lubili. Był uprzejmy i pomagał innym, bardzo rzadko się z kimś kłócił. Nienawidził konfliktów. Tak samo było w stosunkach między nami. Prawie nigdy się nie sprzecaliśmy.

Głos Vendeli Bovide słabł coraz bardziej i Karin czuła wyraźnie, że czas kończyć rozmowę. Szczupłe ciało kobiety coraz bardziej zapadało się w pościeli.

– A jak Peter się właściwie czuł? Czy był szczęśliwy?

Odpowiedź nie padła natychmiast. Wyglądało na to, że Vendela poważnie się nad nią zastanawia. Tak jakby pierwszy raz słyszała to pytanie i było ono dla niej zaskoczeniem.

– Wydaje mi się, że był na tyle szczęśliwy, na ile potrafił.

– Wiem, że nie jest to dla pani łatwe – powiedziała Karin ze współczuciem – ale muszę niestety zadać te wszystkie pytania po to, aby jak najszybciej ująć mordercę. Czy ostatnio nie przydarzyło się państwu nic nadzwyczajnego?

– Nie.

– Może pojawiła się jakaś nowa osoba, którą państwo poznali? Albo którą tylko Peter poznał?

Vendela Bovide sprawiała wrażenie, jakby się zastanawiała. Jednak i tym razem odpowiedź była przecząca.

– Pani też pracuje, prawda?

– Tak, w co drugą sobotę w salonie kosmetycznym w Visby.

– Jak nazywa się ten salon?

– „Sofias Nail and Beauty”.

Karin zapisała nazwę salonu w swoim notatniku.

– I nigdzie więcej?

Zanim Vendela Bovide ponownie otworzyła usta, zawahała się krótko.

– Czasem pracuję jako krupier w „Casino Cosmopol” w Sztokholmie.

– Aha. A jak często?

– Raz w miesiącu. Wyjeżdżam wtedy w piątek po południu, pracuję przez weekend i wracam w niedzielę po południu. Moja mama i siostra mieszkają w Sztokholmie, więc nocuję zawsze u siostry w południowej części miasta.

– Aha.

– Teściowa pomaga mi wtedy przy dzieciach.

– Rozumiem.

Trzeba było kończyć rozmowę. Karin podziękowała za pomoc i wyszła z pokoju.

Vendela Bovide zapadła się już całkiem w pościeli i patrzyła nieobecny wzrokiem przez okno. Chyba nie pamiętała już nawet, że ktoś w ogóle u niej był.

Kiedy Johan oddał Elin Emmie po jej wizycie u dentysty, wracał z portu, idąc w górę krętymi uliczkami miasta i wychodząc za murami po drugiej stronie. Siedziba radia i telewizji, w której znajdowała się również redakcja wiadomości lokalnych, mieściła się w południowo-wschodniej części miasta, niedaleko murów miejskich.

Nie dostrzegał nawet mijających go ludzi. Przed oczami miał ciągle obraz Emmy. Minął kawiarnię „Cafe Vinäger” na ulicy Hästgatan, gdzie pierwszy raz ją pocałował. Był to przelotny pocałunek, ale jego wspomnienie tkwiło nadal głęboko w jego pamięci. Wówczas żadne z nich nie było w stanie przewidzieć, co się stanie potem. Ale gdyby nawet wszystko to wtedy wiedział, to czy narażałby się na to? Oczywiście, że tak. Choćby nawet tylko ze względu na Elin.

Skręcił w uliczkę koło bramy Söderport i kupił w budce lody. Przed nim stała w kolejce dwójka dzieci w wieku Sary i Filipa. To dzieci Emmy z jej pierwszego związku. Przez ostatnie dwa lata udało mu się nawiązać z nimi całkiem dobry kontakt. Czy jego starania były daremne? No i najważniejsza osoba ze wszystkich – Elin. Kochał ją. Czy miała dorastać, widując go tylko co drugi tydzień? Ta myśl nie dawała mu spokoju.

Że też musi być aż tak ciężko! Emma nadal była taka nieprzystępna, jakby odgradzona od niego niewidzialnym murem. Nie dało się z nią rozmawiać. Johanowi nie udało się niczego wskórać, mimo że wypróbował już wszystkie możliwe sposoby. Był i ugodowy, i pozytywnie nastawiony, i słodki, i nie wnosił roszczeń, a nawet odgrywał rolę męczennika narzekającego na to, że nic już jej nie obchodzi. Wreszcie sam spróbował się zdystansować i był obojętny wobec niej. Nic nie pomagało. Czyżby faktycznie już nic do niego nie czuła? Kiedy wiosną zerwała zaręczyny, wyjechała z Elin do swoich rodziców na wyspę Fårö i nie chciała się z nim spotykać. Życie Johana legło w gruzach. Po raz pierwszy popadł wtedy w stan podobny do depresji i stracił jakąkolwiek chęć do życia. Dopiero lekarz z przychodni zakładowej pomógł mu uporać się z tym kryzysem. Teraz nie wiedział nawet, czy byłby w stanie spróbować raz jeszcze.

Zatrzymał się przed siedzibą radia i telewizji i zapalił papierosa. Musiał rozwiać te myśli. Może powinien raczej trzymać się przez jakiś czas z dala od Emmy i skoncentrować się na pracy? Sprawa tego morderstwa zaabsorbuje go całkowicie przynajmniej przez kilka najbliższych dni.

Wszedł do budynku, przywitał się z recepcjonistką i poszedł schodami na górę do redakcji wiadomości lokalnych.

Zastał w niej Pię Lilję. W skupieniu wpatrywała się w monitor swojego komputera.

– Cześć! – rzuciła na powitanie i zażyła szczyptę tabaki, nie podnosząc nawet wzroku.

Włosy miała upięte w pewnego rodzaju rozczapierzony koczek przypominający chyba najbardziej ptasie gniazdo. Miała jak zwykle ostry makijaż, a w jej nosie połyskiwał jakiś jaskrawoczerwony kamyk. Szminka na jej wargach miała ten sam odcień co kamyk.

– No, co tam słyhać? Ale masz fajne włosy! Johan pociągnął zaczepnie za jeden ze sterzących sztywno kosmyków. Na cóż by się one mogły przydać – może na stojak do długopisów?

– Ha, ha, bardzo śmieszne – mruknęła, choć kąciki ust zdradzały, że się lekko uśmiecha.

– Fajne są. Naprawdę.

Pia miała swój styl i sposób bycia, i to mu się właśnie podobało.

– Czy pojawiło się coś nowego?

Zajrzał jej przez ramię.

– Raczej nie. Ale spójrz tutaj, zamieścili nasze zdjęcia na pierwszej stronie.

Zdjęcie helikoptera policyjnego na plaży zajmowało całą pierwszą stronę popołudniówek.

– Powinni ci za nie zapłacić.

– E tam. Cieszy mnie już nawet to, że je opublikowali. A tak w ogóle, to dzwonił Grenfors. Chciał, żebyś się odezwał.

– Dlaczego po prostu nie zadzwoni do mnie na komórkę? – parsknął Johan. Redaktor naczelny nie należał raczej do jego ulubieńców.

Pia odwróciła wreszcie wzrok od komputera i spojrzała na niego.

– Bo jest wyłączona. Ja też próbowałam.

– A niech to diabli!

Wygrzebał telefon komórkowy z kieszeni dzinsów i podłączył do ładowarki.

– Okej. Co dziś robimy?

– Miejmy nadzieję, że dowiemy się nieco więcej, kim był zamordowany i jak doszło

do tego zabójstwa. Policja zaplanowała konferencję prasową na godzinę piętnastą. Myślę, że przedtem najlepiej byłoby podskoczyć jeszcze do Sudersand. Wybadać, jaki panuje tam nastrój dzień po zdarzeniu – no wiesz, coś w tym stylu. Pogadać trochę z ludźmi, i to nie tylko z turystami z kempingu, ale i z tymi, którzy tam pracują. Ofiara przebywała tam ponoć z rodziną od kilku dni. Być może kogoś poznali. Myślę, że powinno się znaleźć parę osób, które mogą nam coś powiedzieć. Ale najpierw zadzwoń do Maxa i zapytaj, czego chce.

– No pewnie.

W głosie redaktora naczelnego słychać było zdenerwowanie.

– Dobrze, że dzwonisz. Czego się dowiedzieliście?

– Od wczoraj nie mamy żadnych nowych informacji. Dopiero co przyszedłem do redakcji. Nawet nie zdążyłem sprawdzić jeszcze doniesień Agencji Prasowej.

– Byłem na spotkaniu z przedstawicielami redakcji ogólnokrajowej i wszyscy oczekują, że dziś też dostaną od was jakiś materiał. Najlepiej jeszcze przed obiadem.

– Wybacz, ale to śmieszne! Nie ma na to żadnych szans.

– Ale chyba możecie przeprowadzić przynajmniej jakiś szybki wywiad z policją? Wtedy będą mieli chociaż to.

Johan ze złości aż poczerwieniał na twarzy. Wkurzało go strasznie, że reporterzy wiadomości lokalnych zawsze muszą spełniać prośby wielce ważnej redakcji ogólnokrajowej i zaopatrywać ją we wszelkie możliwe materiały kosztem własnej pracy.

– Jak twoim zdaniem mamy zatem z tym wszystkim zdążyć? Pojechać na Fårö, zrobić zdjęcia typu „dzień po zdarzeniu”, przeprowadzić wywiady i jeszcze spróbować uzyskać trochę interesujących nas informacji? Poza tym policja organizuje konferencję prasową o trzeciej. Jak mamy na niej być, robiąc jednocześnie jakieś gówniane materiały dla redakcji ogólnokrajowej? Mogą chyba podesłać tu własnego reportera.

– Nie denerwuj się, tylko cię zapytałem. Pogadam z nimi. Już nawet zastanawiali się, czy nie wysłać tam kogoś swojego. Będzie więc chyba najlepiej, jak zrobią to od razu. Niech najlepiej przyślą również swojego fotografa. Wiem doskonale, że dla was byłoby to zbyt dużym obciążeniem. Odezwę się jeszcze.

Johan odłożył słuchawkę i spojrzał wściekły na Pię, która poklepała go po plecach.

– Uspokój się – powiedziała, chcąc go pocieszyć. – No chodź, jedziemy już.

Na kempingu w Sudersand na wyspie Fårö życie toczyło się praktycznie tak, jak gdyby wczoraj nie doszło do żadnego morderstwa. Tak to przynajmniej wyglądało na pierwszy rzut oka. Turyści kręcili się pomiędzy recepcją, ścieżką prowadzącą nad morze oraz kafejką. Nie było widać ani żadnych policjantów, ani taśmy ogradzającej miejsce zdarzenia.

W recepcji za biurkiem siedziała starsza siwowłosa kobieta.

– Dzień dobry – przywitała ich mechanicznie. – Czym mogę służyć?

Johan przedstawił ich oboje, co sprawiło, że owa kobieta z zainteresowaniem uniosła do góry brwi.

– Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o tym człowieku, którego wczoraj zastrzelono – powiedział Johan. – Kim był i jak długo tu przebywał?

– Policja mówiła, że nie wolno mi udzielać żadnych informacji dziennikarzom.

Kobieta demonstracyjnie zamknęła usta i wpatrywała się w nich podejrzliwie.

– Rozumiemy to i szanujemy. Ale może opowie nam pani na przykład o tym, jakie reakcje zaobserwowała pani w ciągu dnia. Pia i ja zdziwiliśmy się, kiedy tu przyjechaliśmy, bo nic nie wskazuje na to, że stało się coś złego. Wszyscy tutaj sprawiają wrażenie jak najzupełniej spokojnych. Skądinąd może i dobrze byłoby chyba pokazać w telewizji, jak wygląda tutejsza rzeczywistość dzień po tragedii. Na przykład to, że kemping funkcjonuje jak zwykle. Czy ktoś odwołał już rezerwację?

– Właściwie niewiele osób.

– Ale może jednak mogłaby nam pani o tym opowiedzieć, podczas gdy my będziemy kręcili film? Przecież zależy państwu chyba na tym, żeby pokazać widzom, że wszystko jest u państwa w porządku.

Johanowi było trochę wstyd, że musiał zastosować taką zawołowaną groźbę, ale z drugiej strony nie czuł ani odrobiny sympatii do tej oschłej kobiety po drugiej stronie biurka.

Widział, że przez kilka sekund walczyła ze sobą.

– Nie – powiedziała i zacisnęła usta. – Nic z tego. Mogą państwo już sobie iść. I

proszę nie zapomnieć zabrać kamery.

W chwili, gdy kończyła wypowiadać to zdanie, jakiś mężczyzna przekroczył próg pomieszczenia, w którym się znajdowali. Był wysoki, chudy i miał potargane włosy. Ramieniem przytrzymał kilka kartonów papierosów. Przedstawił się jako Mats Nilsson, właściciel kempingu.

– Miło mi – powiedział Johan, nie zwracając już uwagi na skwaszoną recepcjonistkę. – Jesteśmy z redakcji wiadomości lokalnych. Czy miałby pan dla nas chwilkę czasu?

– Tak, myślę, że nie będzie problemu.

– Czy możemy wyjść na chwilę i porozmawiać?

– Chętnie. I tak chciałem zapalić.

Na zewnątrz przedstawili mu sprawę, z którą przyszli, a po kilku minutach rozmowy twarz właściciela kempingu nagle pojaśniała.

– No jasne! Teraz już wiem, kim pan jest – wykrzyknął i dał Johanowi kuksańca w brzuch. – Znam pana z telewizji.

– Tak?

– A czy wie pan, że obaj zaliczyliśmy tę samą babkę?

Mats Nilsson zaczął się szyderczo śmiać, obnażając swoje poźółkłe od nikotyny zęby. Johan patrzył na niego, nie rozumiejąc zupełnie, o co mu chodzi.

– No, chyba jest pan z Emmą, nie? Emmą Winarve – tak czy nie?

– Noo... – zaczął Johan z wahaniem.

– No, mają państwo przecież nawet dziecko, nie? Czytałem o tym w gazecie. Ja byłem z Emmą w dziewiątej klasie, ona chodziła do równoległej klasy. Niezła była z niej wtedy laska, dużo lepsza niż teraz. Chociaż trochę jej brakowało... No, wie pan, o co mi chodzi.

Wskazał na swoją klatkę piersiową.

Johan zastanawiał się, czy dobrze słyszy. Ze spojrzeń Pii wnioskował, że niewiele brakowało, a powiedziałyby coś do słuchu temu niesympatycznemu człowiekowi. On sam też musiał się mocno hamować, bo chciał facetowi po prostu przyłożyć. Podjął błyskawiczną decyzję o wyborze najodpowiedniejszej w tej sytuacji taktyki i postanowił, że z uwagi na przygotowywany materiał pokusi się jednak o pochlebstwo. Nawet jeżeli będzie go to sporo kosztowało.

– No, pewnie. To świetnie. Czyli mamy ze sobą coś wspólnego.

Udało mu się wymusić na swojej twarzy uśmiech. Mats Nilsson najwyraźniej nie wyczuł sarkazmu w jego głosie. Johan skorzystał z okazji, by zmienić temat.

– Jaka atmosfera panuje po wczorajszym morderstwie tego chłopaka?

Właściciel kempingu spochmurniał.

– Jaki tam z niego chłopak! Peter miał ponad czterdzieści lat. Cholernie paskudna sprawa.

Johan nastawił uszu. Policja nawet jeszcze nie podała tożsamości ofiary. Teraz trzeba było ostrożnie iść dalej tym tropem.

– Czy znał go pan?

– Tak, dość dobrze. Przyjeżdżał tu wraz z żoną przez kilka lat z rzędu. W końcu człowiek poznaje przecież stałych bywalców własnego kempingu. A niech to szlag trafi! Po prostu wyszedł i ktoś go zastrzelił. Pytanie tylko dlaczego.

– Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym nakręciła panów rozmowę? – zapytała Pia.

– W porządku.

– Powiedział pan, że miał na imię Peter. A nazwisko?

– Bovide.

– Jak długo przebywali na pana kempingu, zanim to się stało?

– Zaledwie przez weekend. Przyjechali w piątek wieczorem i mieli tu zostać dwa tygodnie. Zawsze tak robili. I zawsze chcieli to samo miejsce. Już przy wyjeździe rezerwowali je na kolejny rok.

– A gdzie to jest?

Kiwnął głową w kierunku kempingu.

– Pięćdziesiątka trójka. Wie pan, szło się tam aż do samego końca, ale zarazem było najbliżej na plażę. Miejsce jest oznakowane, ale teraz policja je zabezpieczyła, więc nie można się tam dostać. Trafiło im się to miejsce za pierwszym razem, kiedy przyjechali tu latem. Spodobało im się i od tej pory nie chcieli już ustawiać swojej przyczepy gdzie indziej. Chociaż tam nawet nie ma prądu. No więc, wie pan, musieli przyjeżdżać z butlą gazową, ale tak też da się wytrzymać.

– Czy to znaczy, że był żonaty i miał dzieci?

– Oczywiście. Jego żona ma na imię Vendela. Mają dwoje dzieci: małą dziewczynkę i chłopca.

– A ile lat mają dzieci?

– Nie są jeszcze takie duże. Tak około trzech i pięciu lat. Nie wiem, cholera. Ja sam nie mam dzieci, więc trudno mi określić ich wiek.

– Skąd pochodzili?

– Ze Slite, więc nie musieli jechać zbyt daleko, że tak powiem.

– Czy wie pan, czym on się zajmował?

– No pewnie. Był stolarzem i miał własną firmę budowlaną. Był świetnym fachowcem. No i wie pan, pomagał też innym. Wykonał tu dla mnie niejedną robotę ciesielską, więc i ja udzielałem mu sporej zniżki przy wykupie miejsca i pilnowałem, żeby dostał zawsze swoje ulubione miejsce. Trzeba się w końcu jakoś zrewanżować. Wiem też, że oferował swoją pomoc również i innym osobom na moim kempingu, jak coś było nie tak. Znał się prawie na wszystkim.

– A jak nazywa się ta jego firma?

– „Slite Bygg”.

– Jakim był człowiekiem?

– Równy był z niego gość, bez dwóch zdań. Tyle tylko, że miał trochę dziwne zwyczaje.

– Co na przykład?

– No, na przykład to, że codziennie biegał. Na dodatek jeszcze tak wcześnie rano. Sam go nieraz widywałem, jak musiałem wyjątkowo zjawić się tu bardzo wcześnie, na przykład z powodu dostawy chleba itp. Już przed szóstą można było zobaczyć, jak gania.

Johana tak zainteresowały informacje, którymi wprost zalewał go ten człowiek, iż prawie zapomniał, że ma przeprowadzić wywiad. Ocknął się w końcu i zmienił sposób rozmowy.

– Jaka była pana reakcja, kiedy dowiedział się pan o morderstwie?

– No, wie pan, byłem zaszokowany. Że w ogóle kogoś tutaj zamordowano. Na domiar złego kogoś, kogo się znało. A do tego jeszcze w jaki sposób. Wystrzelano do niego cały magazynek. Normalnie jak w jakimś filmie akcji. U nas, na naszym małym kempingu.

– W jaki sposób to morderstwo wpłynęło na inne osoby na pana kempingu?

– Oczywiście wszystkich to zaniepokoiło. Po tym zdarzeniu recepcja musiała być otwarta przez całą dobę. Całe tłumy przychodziły tu i zadawały pytania.

– O co pytali?

– Co się stało, jak do tego doszło i czy złapano już mordercę. Myślą, że ja wszystko wiem. Mam być chyba i biurem informacyjnym, i bawić się w psychologa czy detektywa. A ja przecież sam nie wiem zbyt wiele na ten temat. Ale nie sądzę, że zrobił to ktoś z kempingu.

– A dlaczego nie?

– A kto miałby to niby być? Tu zatrzymują się całkiem zwyczajni ludzie, którzy przyjechali tylko na urlop i chcą mieć święty spokój. Kto z nich chodziłby z pistoletem po okolicy po to, aby zacząć zabijać ludzi? Sam pan chyba widzi, że to mało prawdopodobne.

W tym momencie w głosie mężczyzny Johan wyczuł jakby prośbę o potwierdzenie jego słów. Skinął więc potakująco głową, aby zachęcić go do kontynuacji wypowiedzi.

– Zapewne jednak zastanawiał się pan nad tym trochę. Czy w ostatnim okresie zdarzyło się tu coś tajemniczego, coś co mogłoby mieć związek z tym morderstwem?

– Nie, nic takiego się nie wydarzyło. Wszystko przebiegało dokładnie tak jak zwykle. Co prawda, pogoda była trochę kiepska, ale wydaje mi się, że większość ludzi była chyba w miarę zadowolona. Nie było żadnych awantur ani innych takich rzeczy.

– I nie było żadnej obcej osoby zachowującej się w dziwny sposób?

Mats Nilsson ze smutkiem pokręcił przecząco głową. Johan odniósł wrażenie, że tak naprawdę chyba dopiero teraz ten człowiek zdał sobie sprawę z tego, co wydarzyło się w pobliżu jego spokojnego kempingu.

– Czy dużo osób odwołało rezerwację po tym morderstwie?

– Sporo osób wyjechało natychmiast, gdy dowiedzieli się, co się tu wydarzyło. Poza tym jakieś dwadzieścia, może trzydzieści osób zadzwoniło i odwołało rezerwację. Choć właściwie wiele osób, głównie nasi stali bywalcy, pozostało. Dobrych osiemdziesiąt procent naszych klientów to nasi stali bywalcy. No, wie pan, sporo ludzi przyjeżdża tu co rok. Większość z ich to mieszkańcy Gotlandii, i dobrze wiedzą, że jest to tylko incydent jednorazowy.

– A na ile pan sam jest tego pewien?

– No, tak do końca to chyba nigdy człowiek nie może być pewien. Ale jakoś trudno mi sobie wyobrazić, żebyśmy tu mieli seryjnego mordercę, który poluje akurat na osoby wypoczywające na kempingu i włączące się po wyspie. A jak pan sądzi?

Johan nie odpowiedział na to pytanie.

Kiedy Karin powróciła na komendę z wizyty u Vendeli Bovide, Thomas Wittberg zdążył już ustalić miejsce pobytu pasażerów, którzy dzień wcześniej przyплыnęli pierwszym porannym promem na wyspę Fårö.

Mężczyzna obsługujący prom zapamiętał tak duże fragmenty numerów rejestracyjnych, że można było odnaleźć właścicieli tych pojazdów.

– Łatwiej było ich znaleźć, niż się spodziewałem – powiedział do Karin zadowolony Thomas, kiedy usiedli naprzeciw siebie w jej pokoju.

Odgarnął swoją jasną grzywkę z czoła i zaczął czytać sporządzone notatki.

– Weźmy na początek tę parę młodych ludzi. Pochodzą z Göteborga i od tygodnia spędzają urlop na Fårö. Pojechali do Visby zabawić się i wracali właśnie na wyspę. Dlatego jechali tak wcześnie. Wynajmują domek u jednego rolnika i mają być przesłuchani niebawem, o trzynastej. Po południu wracają statkiem do domu.

– Aha. No, to się jeszcze okaże. Zobaczymy, co zdecydujemy i czy pozwolimy im stąd wyjechać.

– Ta samotna kobieta jest mężatką i mieszka w Kyllaj.

– Przez cały rok? Myślałam, że tam bywają tylko wczasowicze.

– Nie, mieszkają tam rzeczywiście na stałe, ale wydaje mi się, że nikt inny tam chyba nie mieszka. No, może jeszcze tylko jakaś jedna rodzina.

Karin była w Kyllaj tylko raz w życiu na jakiejś letniej imprezie. Miała wtedy trzynaście lat i tam na plaży pierwszy raz została pocałowana. Było to cudowne wspomnienie, a ta maleńka nadmorska miejscowość zajmowała szczególne miejsce w jej sercu.

Przerwała te rozmyślenia.

– Czy ona też się u nas stawi?

– Nie, jest w ciąży i to dość zaawansowanej, jak można wnioskować. Prosiła o przesłuchanie jej przez telefon, ale wyjaśniłem jej, że nie jest to możliwe, gdyż musimy spotkać się z nią osobiście. Najwyraźniej ciężko jej się poruszać, wspominała coś o

rozwiązaniu.

– Jeśli jest w zaawansowanej ciąży, to raczej nie będzie nas za bardzo interesować, ale mogła oczywiście coś widzieć. Chętnie pojedę do Kyllaj. Nie byłam tam od czasu, kiedy miałam trzynaście lat. Ale dzisiaj już nie zdążę. Zadzwoń do niej i zapytaj, czy zwróciła uwagę na coś niezwykłego. Na razie powinno nam to wystarczyć. A swoją drogą, to co też ona robiła na promie na Fårö o czwartej rano?

– Powiedziała, że teraz, kiedy jest w ciąży i jest tak ciepło, nie bardzo może nocą spać, więc wykorzystuje okazję, wsiada w samochód i poznaje okolice w tych godzinach, kiedy na drogach jest jeszcze mały ruch. Mieszka tu od niedawna. A jasno jest praktycznie przez całą dobę.

– Trochę to dziwne, ale tyle już się człowiek nasłuchał o tych wszystkich najdziwniejszych pomysłach, które wpadają do głowy kobietom w ciąży. A co z tym trzecim samochodem, tym z koniem?

– Należy do jednego z rolników mieszkających na wyspie. Jego syn pojechał na kontynent, kupił tam konia i przyплыł nocnym statkiem z Nynäshamn. Rodzina ta od wielu lat prowadzi gospodarstwo na Fårö.

– Niech to diabli! – Karin zakręciła się na krześle. – Miałam nadzieję, że ten prom wniesie coś do naszego śledztwa. No, ale naturalnie to byłoby zbyt proste. Jak często spotyka się tak spostrzegawczych i obdarzonych tak fenomenalną pamięcią ludzi jak ten facet z promu?

– No, nie wszystko jest jeszcze całkiem stracone. Czekają nas przecież nadal przesłuchania pasażerów.

– Tak, tylko że morderca Petera Bovide najprawdopodobniej jednak znajdował się już na Fårö tamtego ranka, kiedy popełniono morderstwo. To znaczy sędzę, że nocował tam. Nie jest wcale wykluczone, że nadal jest jeszcze na wyspie. Sprawdzaj więc wszystkie promy przez najbliższych kilka dni.

Karin skończyła właśnie rozmawiać z Urzędem Kontroli Skarbowej, do którego zwrócono się z prośbą o sprawdzenie firmy Petera Bovide, kiedy usłyszała głosy na korytarzu. Przyjechali koledzy z Centralnego Biura Śledczego. Zrobiło jej się ciepłej na sercu, kiedy pośród śmiechu i przejawów zadowolenia rozpoznała donośny głos Martina Kihlgårda. Jego pojawienie się na komendzie znacznie poprawiło ogólny nastrój. Każdy z pracowników chciał zamienić z nim parę słów, gdy tylko go zobaczył. Martin Kihlgård miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył dobrze ponad sto kilo. Nieuczesane włosy sterczały mu w jakiś dziwny sposób we wszystkich możliwych kierunkach. Oczy miał okrągłe i ciemne jak węgielki. Miało się wrażenie, że bardzo wnikliwie przygląda się swojemu rozmówcy.

– Cześć, Karin – zawołał przyjaźnie, gdy tylko zobaczył swoją znacznie niższą koleżankę. Miała ze trzydzieści centymetrów mniej i ważyła połowę tego co on. Tonęła więc w jego objęciach.

– Cześć. Fajnie, że jesteś.

Karin odwzajemniła jego niedźwiedzi uścisk, tak jak mogła. Za plecami rosnącego komisarza mignęli jej pozostali koledzy ze Sztokholmu.

Wkrótce w pokoju konferencyjnym zebrała się cała ekipa dochodzeniowo-śledcza. Podano kawę, napoje chłodzące i półmisek z owocami. Karin specjalnie zarządziła, aby tym razem podać do kawy coś zdrowszego niż bułki cynamonowe i ciastka francuskie typu gniazdko, które na ogół znajdowały się na talerzu. Rozbawiło ją zawiedzione spojrzenie Martina Kihlgårda.

– Słyszałem, że Knutte jest na urlopie – powiedział Kihlgård, kiedy usiedli.

– Tak – odrzekła Karin. – Jest w Danii z rodziną. Jak wiesz, jego żona stamtąd pochodzi.

– Tak, wiem. Line. Niesamowicie fajna z niej babka. Ależ ona ma poczucie humoru! Zabawni oni są, ci Duńczycy.

– O, tak.

Karin przez krótką chwilę poczuła się zirytowana. Nie wiedziała, co było tego powodem. Ale też to uczucie minęło równie szybko, jak się pojawiło.

– A kiedy wraca?

– Za tydzień.

– Ojej.

Kihlgård przejechał wzrokiem po stole. Prawdopodobnie szuka słodyczy – pomyślała Karin. Był największym żarłokiem i łakomczuchem, jakiego znała.

Poprosiła swoich współpracowników, aby się pokrótce przedstawili, a następnie oddała głos Thomasowi Wittbergowi.

– Thomasie, podsumowałeś wyniki przesłuchań. Czego się już dowiedzieliśmy?

– Morderstwo zdarzyło się wczoraj rano, tuż po godzinie szóstej. Jesteśmy w stanie określić to tak dokładnie, gdyż pewna para mieszkająca w domku niedaleko miejsca zbrodni usłyszała strzały, kiedy słuchała wiadomości w radiu. Oboje usłyszeli co najmniej pięć albo sześć strzałów. Nie zaalarmowali nikogo, gdyż byli przekonani, że ktoś poluje na króliki. Zdarza się to często w tej okolicy. To znaczy takie nielegalne polowanie na króliki – zwrócił się ku kolegom ze Sztokholmu. – W tej spokojnej okolicy na Fårö morderstwo jest ostatnią rzeczą, której można by się spodziewać.

– Tak czy inaczej powinni byli zadzwonić na policję – zaprotestował Kihlgård. – Polowania na króliki są przecież nielegalne!

– Oczywiście – przyznał Wittberg. – Ale mieszkańcy wyspy są do tego tak przyzwyczajeni, że nie zwracają już w ogóle na to uwagi.

– Tak, w każdym razie możemy bez problemu przyjąć podaną przez świadków godzinę jako czas popełnienia morderstwa – rzekł Sohlman. – Peter Bovide zginął prawdopodobnie już od pierwszego strzału wycelowanego w czoło. Tak więc w chwili znalezienia zwłok nie żył już od trzech i pół godziny.

Wstał i rozwinął biały ekran na końcu pokoju. Zgasił światło i włączył komputer. Natychmiast ukazała się dokładna mapa zatoki Sudersandsviken i kempingu.

– Jeżeli wyszedł ze swojej przyczepy tuż po wpół do szóstej, to powinien dotrzeć na miejsce zbrodni najpóźniej za pięć, dziesięć szósta. Na przebiegnięcie na drugi koniec plaży potrzeba chyba tak z piętnaście albo dwadzieścia minut.

Sohlman pokazał długopisem drogę, jaką przebiegł Peter Bovide. W pokoju panowała cisza jak makiem zasiał.

– Gdzieś tu, na samym brzegu plaży, musiał więc spotkać swego oprawcę. Kiedy badaliśmy to miejsce, na piasku nadal były widoczne ślady obuwia. Zarówno na podstawie

śladów krwi pozostawionych na piasku, jak też ze sposobu ułożenia ciała po upadku można przypuszczać, że najpierw strzelano w czoło. Kiedy ofiara upadła, sprawca podszedł kilka kroków bliżej i dalej strzelał. Oddał co najmniej siedem strzałów w brzuch ofiary. Później fale zabrały ciało denata spory kawałek od brzegu – jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów. Wczoraj rano był wiatr od lądu, a więc nie ma w tym nic dziwnego.

Sohlman przejechał palcami po włosach, tak jak to zazwyczaj robił, i ciągnął dalej.

– Znaleźliśmy na plaży dwie łuski, ale niestety żadnych pocisków. Najprawdopodobniej tkwią one nadal w ciele ofiary, które poddawane jest właśnie obdukcji. Musimy więc poczekać jeszcze trochę na wstępne wyniki.

– Tak, miejmy nadzieję, że nadejdą już dziś wieczorem – powiedziała Karin. – Proponuję, abyśmy zastanowili się teraz krótko nad domniemanym motywem tego morderstwa. Jakie waszym zdaniem sprawca mógłby mieć powody? Chciałabym, żeby każdy z was wyraził swoje zdanie na ten temat. Puśćcie wodze fantazji.

Zgromadzeni wokół stołu koledzy Karin, którzy współpracowali z Knutasem od wielu lat, spojrzeli na nią ze zdumieniem. Nie byli przyzwyczajeni do tego, żeby zachęcano ich do rozważania możliwych scenariuszy zamiast zajmować się faktami. Knutas nie cierpiał spekulacji. Thomas Wittberg zgłosił się jako pierwszy.

– Jeżeli zastrzelono go tuż po szóstej, a powinien dobiec do tego miejsca, gdzie go znaleziono, już jakieś pięć czy dziesięć minut przed szóstą, to pojawia się pytanie, co takiego Peter Bovide robił w ostatnich minutach swego życia.

– Może podczas biegu coś go zabolęło i musiał się zatrzymać. Albo po prostu zbyt zmęczył i musiał dojsć do siebie – zaproponowała rozwiązanie Karin.

– Dlaczego miałyby to jednak nastąpić zaledwie po kilku kilometrach? – zaproponował Wittberg. – Biegał przecież codziennie od lat. Być może rozmawiał z mordercą, zanim tamten go zabił.

– Na mój gust jest to chyba bardziej prawdopodobne wyjaśnienie – wtrącił Kihlgård. – Całkiem możliwe, że ofiara i sprawca się znali.

– Ale mogło i tak się zdarzyć, że natrafił na jakiegoś uzbrojonego szaleńca, który po prostu postanowił kogoś zabić – kontynuowała Karin. – Kogokolwiek.

– Musimy sobie jednak zadać też pytanie – powiedział Kihlgård – jak w ogóle do tego doszło, że stolarz i ojciec malutkich dzieci ze Slite został z zimną krwią zamordowany na kempingu, gdy jak co dzień robił małą rundkę. Wydaje się to wprost nieprawdopodobne. A już tym bardziej na tak małej i spokojnej wysepce jak Fårö.

– Oj, nie przesadzaj! – zaprotestował Wittberg. – Nie pamiętasz, jak uganiał się

jak wariaci za mordercą na Fårö kilka lat temu? Emmę Winarve na pewno pamiętasz. Byłeś nią bez reszty zachwycony.

– Jasne, że pamiętam – powiedział Kihlgård, a jego twarz pojaśniała. – A swoją drogą, czy ona nadal jest z tym upartym dziennikarzem?

– Nie mam pojęcia – Wittberg rozłożył ręce. – Urodziło im się dziecko i tak dalej, ale potem ponoć zaczęło się między nimi psuć.

– Halo, panowie! – przerwała Karin. – Trzymajmy się tematu. Potem możecie sobie plotkować do woli.

Z powagą spojrzała na kolegów zgromadzonych wokół stołu.

– Jak twierdzi wspólnik Petera Bovide, Peter miał ostatnio wrażenie, że ktoś go śledzi. Johnny Ekwall nie potrafił powiedzieć, o co dokładnie chodziło, ale Peter miał mu wielokrotnie o tym wspominać. Odbierał też anonimowe telefony w biurze. Nikt się po prostu nie odzywał, ale dla niego było to nie do zniesienia, jeśli dobrze zrozumiałam.

– Kiedy to się zaczęło? – zapytał Kihlgård.

– Kilka tygodni temu.

– I nigdy przedtem mu nie grożono?

– O ile wiem, to nie.

– Jeżeli wrażenie, że ktoś go śledzi, pojawiło się równocześnie z anonimowymi telefonami, to coś w tym może być – ciągnął Kihlgård. – To przemawiałoby oczywiście za teorią, że sprawca polował właśnie na niego. Musimy sprawdzić, czy jest jeszcze ktoś, kto mógłby potwierdzić te informacje. Mogę zająć się tym tropem.

– Dobrze – zgodziła się Karin. – Dziwi mnie jednak fakt, że jego żona zaprzecza, jakoby cokolwiek na ten temat wiedziała. A ich wzajemne relacje wydawały się przecież dobre.

– Być może nie chciał jej niepokoić – wtrącił Wittberg. – Może zajmował się jakimiś brudnymi interesami i chciał ją trzymać z daleka od tych spraw.

– Oczywiście mogło być i tak – powiedziała Karin. – A może skoncentrujmy się właśnie na jego żonie. Pracuje w kasynie w Sztokholmie. A w tej branży, jak wiadomo, aż roi się od typów spod ciemnej gwiazdy.

– Czy myślisz, że to miałyby być jakaś zemsta wymierzona w nią? – zapytał Kihlgård.

– Tak, albo w nich oboje. Być może jego żona jest kolejna na liście – czy ja wiem. Będziemy musieli poprosić ludzi ze Sztokholmu, aby przesłuchali jej kolegów z kasyna.

– Czy Peter Bovide nie był przypadkiem kiedyś skazany za rękoczynny? – wtrącił Wittberg. – Wprawdzie było to już dawno temu i zdarzyło się tylko raz, ale nigdy nie

wiadomo. Sprawdzę to.

Karin skinęła głową zamyślona i zapisała coś w notatniku.

– Jak długo byli na kempingu? Kilka dni? – ciągnął Wittberg. – I on zawsze wychodził rano mniej więcej o tej samej porze, żeby przebiec swoją stałą trasę?

– Tak – powiedziała Karin. – Potwierdziła to jego żona, kiedy przesłuchiwałam ją dziś jeszcze przed naszym spotkaniem.

– Najbardziej logiczne wydaje się zatem, że sprawca obserwował, co on robi, by poznać jego zwyczaje. Potwierdzałoby to również słowa jego współnika, że Bovide miał wrażenie, iż ktoś go śledzi. Morderca wybrał oczywiście najlepszą porę i miejsce, żeby go zabić, to znaczy odludną plażę o szóstej rano, kiedy wszyscy jeszcze śpią.

– Innymi słowy, morderca prawdopodobnie przebywał na kempingu przynajmniej przez weekend, a może nawet tam mieszkał – powiedział Kihlgård.

– Będziemy musieli mieć to ciągle na uwadze – zauważyła Karin. – Jeśli się przyjrzeć okolicy, to trzeba zejść spory kawałek w dół, żeby dostać się na plażę.

Erik Sohlman wstał i wskazał na mapę.

– Wszystko świadczy o tym, że sprawca przemieszczał się pieszo. Trwają przesłuchania świadków. Miejmy nadzieję, że ktoś go jednak zauważył, nawet jeśli pora była jeszcze wczesna. O tej porze roku ludzie kręcą się przecież po okolicy przez całą dobę.

Karin zwróciła się ku Sohlmanowi.

– Czy wiemy coś o broni?

– Tyle tylko, że był to najprawdopodobniej pistolet, sądząc po ranach i znalezionych łuskach. Musimy poczekać na wyniki badań laboratoryjnych.

– Dziś po południu mamy kilka ważnych przesłuchań – ciągnęła Karin. – Thomas?

Wittberg relacjonował, co dostrzegł człowiek obsługujący poranny prom. Tymczasem Karin zauważyła, że Kihlgård zaczął się wiercić.

– Ciekawa sprawa – powiedział, kiedy Wittberg skończył. – Czy nie czas na obiad?

Chociaż raz szefostwo redakcji szybko zareagowało na prośbę Johana. We wtorek po południu, kiedy on i Pia wracali do pracy, zadzwonił telefon. Johan zeszywniał, kiedy rozpoznał głos w słuchawce. Dzwoniła Madeleine Haga, reporterka z wiadomości ogólnokrajowych. Wraz z fotografem Peterem Bylundem dotarła właśnie na Gotlandię i zamieszkała w hotelu „Strand”.

Uzgodnili, że spotkają się w redakcji.

Johan znał Madeleine od paru ładnych lat. Kiedyś, dawno temu coś tam nawet zaczęło się między nimi kroić, ale skończyło się, zanim jeszcze zdążyło się na dobre rozpocząć. Potem oddelegowano go na Gotlandię, gdzie poznał Emmę. Od tego czasu nie było w jego życiu żadnej innej kobiety.

Kiedy Madeleine przekroczyła próg redakcji wiadomości lokalnych przy ulicy Östra Hansegatan w Visby, nie mogła nie zrobić na nim wrażenia. Niedawno wróciła z urlopu w Hiszpanii i była pięknie opalona. Niewysoka, ciemnowłosa, ubrana w dżinsową spódnicę oraz podkoszulek z nieco chyba za dużym jak na reportera dekoltem. Jej duże, brązowe oczy promieniały blaskiem.

– Cześć! – powiedziała wesoło.

Wstał od komputera i uścisnął ją. Poczul od niej jakiś delikatny, cytrynowy zapach.

– Witaj!

Zaraz za nią pojawił się fotograf Peter Bylund. Padli sobie w objęcia.

– Co za niespodzianka – powiedział Johan. – Znowu do nas trafiłeś. A jak tam było w Rosji?

Kilka lat temu Peter Bylund pracował tu razem z Johanem w czasie wakacji. Było to owego lata, kiedy Johan poznał Emmę. Peter też się wtedy w niej podkochiwał.

– Fajnie. Moskwa jest teraz oczywiście zupełnie inna niż dziesięć lat temu, kiedy byłem tam ostatnio. Całkiem inne miasto.

– To jak długo tam byłeś?

– Zleciały już prawie dwa lata. Aż wierzyć się nie chce, ale tak właśnie jest.

– Poopowiadasz jeszcze potem. W każdym razie to super, że jesteś z nami.

– A co u ciebie i Emmy? Słyszałem, że macie dziecko, no i w ogóle.

– Tak, mamy córkę Elin. Właśnie skończyła roczek. Jest najwspanialszym dzieckiem na świecie.

– No to świetnie, że zostałeś ojcem. Tego bym się kiedyś po tobie nie spodziewał.

Peter walnął go po plecach.

Twarz Johana spochmurniała.

– Nie jest niestety zbyt dobrze. Powiedziałbym nawet, że całkiem beznadziejnie.

– Hm. No dobra, to nie gadajmy o tym teraz.

Madeleine patrzyła na niego z zainteresowaniem, nic nie mówiąc. Peter jeszcze raz poklepał go po plecach.

– To co teraz robimy?

Pia wyszła z toalety. Przywitała się dwójką kolegów i zasiadła do komputera.

– Ładujemy materiały. Chcecie zobaczyć?

– Oczywiście – przytaknął Peter, którego twarz pojaśniała na widok Pii. Usiadł obok niej. Johan i Madeleine zajęli natomiast miejsca z drugiej strony

– Dzisiaj nie zdążymy pewnie zrobić nic sensownego, ale jeżeli tylko chcesz, to mogę przygotować jakiś krótki materiał dla wiadomości ogólnokrajowych – zaoferowała się Madeleine.

Johan się zawahał. Właściwie dzięki temu znacznie by go odciążyła. Był bardzo zestresowany i niczego innego tak bardzo nie pragnął, jak skończyć tę pracę jak najszybciej. Z drugiej strony nie lubił tak po prostu przekazywać zebranego przez siebie materiału innemu reporterowi. Tyle że na Madeleine mógł spokojnie polegać.

– W porządku.

Grenfors powinien być zadowolony. Johan raz jeszcze rzucił okiem na swoich dopiero co przybyłych kolegów. Naprawdę lubił ich oboje.

Cieszył się, że przyjechali.

Hamburg,
15 lipca 1985 roku

Do odlotu samolotu do Szwecji zostało jeszcze pięć godzin. Wstali wcześnie, żeby się spakować. Vera podejrzewała, że ojciec prawie nie zmrużył oka. Już o szóstej rano słyszała, jak urzęduje w kuchni. Na jej łóżku leżały poukładane schludnie w równych rzędach wieszaki z ubraniami, które niebawem miała spakować.

– Tylko pamiętajcie, że nie będziecie wcale potrzebowały zbyt wielu ubrań. A już na pewno niczego wytwornego – zawołał Oleg z kuchni. – Będziemy przebywać na wolnym powietrzu, z dala od cywilizacji!

Vera spojrzała na swoje posegregowane ubrania: majtki, biustonosze, bikini, szorty, podkoszulki, kilka spódnic i sukienek, dżinsy i jeden grubszy sweter.

Chyba wystarczy – pomyślała i zaczęła pakować swoje rzeczy do plecaka.

– Co ze sobą zabierasz?

Tanja wsadziła głowę do pokoju swojej starszej siostry. Włosy upięła w niechlujny kok, była czerwona na twarzy, a oczy aż jej się świeciły. Była co najmniej tak samo podekscytowana tą podróżą jak ich ojciec. Miała dziewiętnaście lat i nigdy jeszcze nie była za granicą.

– Te rzeczy.

Vera wskazała ręką na łóżko. Tanja zlustrowała leżące na nim ubrania, zajrzała do plecaka, wydając z niego niektóre rzeczy.

– I nic innego?

– A co niby jeszcze?

– No, a nie pójdziemy ani razu potańczyć? Ty i ja? W Sztokholmie albo przynajmniej w Visby?

Dała swej siostrze kuksańca.

– Chcę się trochę zabawić z tymi eleganckimi Szwedami. Nie możemy sobie przecież tego odpuścić, skoro już tam jedziemy. Oni są podobno najprzystojniejsi na świecie, jak sama chyba wiesz.

– Czy ty naprawdę w to wierzysz?

– O Boże, nie widziałaś zdjęć? Szwedzkie dziewczyny słyną z tego na świecie, dlaczego więc faceci mieliby wyglądać gorzej?

– Masz rację – zaśmiała się Vera i otworzyła szafę. – Coś eleganckiego należałoby oczywiście mieć ze sobą. No pewnie, że pójdziemy się gdzieś zabawić. Więc się przyda.

Tydzień wcześniej Gotthard definitywnie z nią skończył. Na wakacjach w Portugalii poznał inną. Na domiar złego właśnie jakąś Szwedkę.

Jakoś zawsze miała pecha do chłopaków. Odwrotnie niż jej młodsza siostra. Nie wiedziała tylko właściwie dlaczego. Były do siebie dość podobne. Najbardziej różniło je jednak usposobienie. Vera była poważniejsza, bardziej refleksyjna. Nie miała w sobie takiej spontaniczności jak jej siostra. Czasem żałowała, że nie jest taka jak ona: bardziej otwarta, pogodna i towarzyska. Szczególnie gdy widziała, jak Tanja skupia na sobie całą uwagę innych osób, nawet rodziców. Choć nie było to związane tylko i wyłącznie z jej osobowością. Vera bardzo dobrze знаła przyczynę, ale mimo wszystko ją to bolało. W wieku trzynastu lat Tanja zachorowała na białaczkę i długo jej stan był bardzo poważny. Rodzice byli zszokowani i zrozpaczeni, więc poświęcali Tanji cały swój wolny czas. A Vera musiała sobie radzić sama. Sama musiała nieść również ciężar swojego z troskania i niepokoju o siostrę.

Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Tanja została poddana intensywnej terapii, po której jej organizm pozbył się komórek rakowych. Powoli, ale zdecydowanie odyskiwała swoją dawną formę, a nawet stała się jeszcze silniejsza i bardziej energiczna niż kiedyś. Vera cieszyła się oczywiście niesłychanie, że Tanja żyje, jakkolwiek po ustąpieniu choroby miłość i troska rodziców o młodszą siostrę jeszcze przybrały na sile.

Zdarzało się, że ojciec siedział, rozmawiał i żartował tylko z Tanją, podczas gdy Vera również przebywała w tym samym pokoju. Ojciec potrafił wtedy nagle spojrzeć na Verę tak, jakby dopiero co ją zauważył i był zaskoczony jej obecnością. Czasem wyglądał przy tym na zawstydzonego, tak jakby sam się na czymś przyłapał. Było to jeszcze bardziej niemiłe.

Co dziwne, Vera nie miała żalu do siostry za to nierówne traktowanie ich. Już nie. Gorzej było, kiedy były młodsze i kiedy nie szczędziła siostrze złośliwych docinków i komentarzy, żeby się choć trochę na niej odegrać. Teraz, kiedy były już praktycznie dorosłe, pogodziła się z sytuacją. Tak przynajmniej sądziła. I tak nie mogłaby przecież nigdy konkurować z Tanją o względy innych mężczyzn czy choćby rodziców. Lepiej więc było dać sobie z tym spokój i zająć się własną osobą. Przestać się porównywać z siostrą, bo to ją samą tylko deprymowało.

Teraz obserwowała Tanję, której zapał i podekscytowanie czekającą je podróżą nawet i jej zaczął się udzielać. Vera naprawdę kochała swą siostrę. To nie ona była winna temu, że

było tak, a nie inaczej.

– Ale i tak przecież tylko ty przyciągasz do siebie wszystkich chłopaków – powiedziała, wzdychając, kiedy Tanja pokazywała wszystkie swoje topy, jeden lepszy od drugiego.

– Wcale nie. Przecież ty też jesteś super. Chodź, zapakujemy jakieś eleganckie ciuchy. Nieważne, co tam tata sądzi.

– Okej.

Oleg biegał po mieszkaniu, pogwizdywał i tańczył po pokoju, pakując walizki. Złapał Sabine i zatańczył z nią, że aż się głośno roześmiała. Vera nigdy w życiu nie widziała, żeby ojciec aż tak się cieszył. Jeszcze gdy były małe, ciągle mówił o wyspie Gotska Sandön, jakże tam musi być pięknie, o wszystkich tych niezwykłych ptakach, fokach, roślinach. O swoim pradziadku, który zginął podczas katastrofy okrętu gdzieś na morzu, niedaleko wybrzeża zwanego Franska Bukten. O tym, że jest on tam pochowany i że uratowano trzy działa okrętowe, które do dziś jeszcze stoją na wyspie. Od kiedy uzyskał pozwolenie na wyjazd, mówił niemal wyłącznie o tym.

– Taksówka przyjechała! – zawołała mama z kuchni.

Po raz ostatni rozejrzeli się po mieszkaniu, po czym wyszli i zamknęli za sobą drzwi.

Karin Jacobsson i Martin Kihlgård wymknęli się na szybki obiad do pizzerii za rogiem. Liczyli się z tym, że będą musieli pracować przez cały wieczór. Ponieważ nie widzieli się od dawna, byli zadowoleni, że znaleźli chwilę tylko dla siebie. Przez ostatnie lata pracowali razem przy wielu sprawach i dobrze się czuli w swoim towarzystwie.

Czekając, aż kelner przyniesie im posiłek, snuli rozważania na temat motywu zamordowania Petera Bovide.

Podczas rozmowy Kihlgård pałaszował polaną sosem sałatkę zmieszaną z kawałkami chleba, która serwowana jest tu do pizzy.

– Jednym z ewentualnych motywów jest naturalnie zazdrość, na przykład jakiś trójkąt małżeński. Czy Peter Bovide był wierny swojej żonie? A może związał się jeszcze z kimś na boku?

– Sposób dokonania morderstwa wskazywałby raczej na zemstę – powiedziała Karin.
– No bo inaczej po co ktoś miałby celować ileś tam razy w czyjś brzuch, zupełnie zresztą niepotrzebnie? Przecież już pierwszy strzał okazał się śmiertelny.

– Skąd wiesz? – zamruczał Kihlgård w przerwie pomiędzy kęsami.

– Gdy wychodziliśmy, zadzwonił akurat lekarz sądowy.

– Ach tak. I co powiedział?

– Ustalił czas morderstwa. Peter Bovide zmarł około godziny szóstej rano od pierwszego strzału. Znaleźli siedem pocisków w brzuchu i jeden w głowie. Wysłali je już do laboratorium, które obiecało pospieszyć się z tą ekspertyzą. Zapewnili mnie, że jutro rano powinnam dowiedzieć się czegoś więcej o amunicji i – miejmy nadzieję – o broni, z której strzelano. Ponadto lekarz sądowy powiedział, że strzelano do ofiary z góry, ale pod kątem. Tak więc Peter Bovide musiał prawdopodobnie siedzieć albo klęczeć, kiedy strzelono mu w czoło.

– Ach tak?

– Tak, no chyba żeby sprawca, strzelając, stał na drabinie, co jest jednak mało

prawdopodobne. Kiedy oddawano strzały w brzuch ofiary, leżała już na ziemi. Tak więc zgadza się teoria Sohlmana, jeśli chodzi o kolejność. Najpierw strzelano w czoło, a gdy ofiara padła na ziemię, wystrzelano jeszcze resztę naboju, celując w brzuch.

Kihlgård wyglądał na zamyślonego.

– Czy to nie jest dziwne? Dlaczego miałby siedzieć? Przecież wyszedł, żeby pobiegać.

– Może zaczęli rozmawiać i usiedli na piasku. Bo ja wiem? – Karin wzruszyła ramionami. – Nie mogę sobie jakoś wyobrazić, żeby zamordowano go tak całkiem przypadkowo. Może nawet było to umówione spotkanie.

Podano im zamówione dania, więc jedli je przez chwilę w ciszy.

– Musimy już więc wykluczyć, że jakiś wariat strzelał na oślep – powiedział Kihlgård po namyśle.

– Ale czy naprawdę myślisz, że morderca mieszkał na kempingu? – zapytała Karin z powątpiewaniem w głosie. – Czy nie było to trochę bezsensowne, żeby mordować kogoś, kto mieszka na tym samym kempingu? Morderca wiedział chyba, że będzie przesłuchiwany i dokładnie kontrolowany.

– Oczywiście, ale jeżeli morderstwo nie było zaplanowane czy też popełniono je w afekcie, to mogło i tak się zdarzyć. Chociaż mordercą mógł też być ktoś z domków letniskowych. Przecież znajdują się one nawet bliżej miejsca zbrodni niż kemping. Albo też była to jakaś osoba spoza okolicy.

– Oczywiście – zgodziła się Karin. Ciągle jeszcze walczyła z małymi kawałkami swojej capricciosy, którą spożywała w roztargnieniu. Kihlgård w tym samym czasie zjadł już prawie całą calzone, którą zamówił.

– Mimo wszystko uważam, że powinniśmy założyć, iż to morderstwo było celowe i zostało dobrze zaplanowane. A istotnymi klockami w tej układance są według mnie te głuche telefony do niego oraz jego wrażenie, że ktoś go śledzi.

Karin otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Kihlgård powstrzymał ją machnięciem ręki.

– Tak, tak, wiem. Uważano go za nieco zdeprymowanego i słabego psychicznie. Ale to nie wyklucza jednak, że ktoś mógł go śledzić, no nie? Musimy sobie zadać pytanie, kim był Peter Bovide. Czym się zajmował? Z kim się spotykał? Jak żył?

– Te zawołane groźby czy też cokolwiek to było innego mogą być związane z pracą na czarno – powiedziała Karin. – No przecież wiadomo że w branży budowlanej bardzo często zatrudnia się ludzi na czarno. Jestem cholernie ciekawa, jakie będą wyniki kontroli skarbowej w jego firmie. Najgorzej, że trwa to już tak długo.

Odsunęła od siebie talerz, mimo że nie zjadła nawet połowy pizzy.

– Jest jeszcze kwestia tego wcześniejszego zdarzenia, na którego podstawie możemy wnioskować, że jako młody facet był zawadiaką – powiedział Kihlgård. – Chodzi mi o tamte dawne rękoczyny. Coś takiego nie zdarza się chyba bez powodu. Motywu tego morderstwa należy być może poszukiwać w przeszłości. W każdym razie sposób dokonania zbrodni kojarzy mi się z mafią. Być może Peter Bovide był w młodości zamieszany w jakieś grubsze afery, a dopiero teraz go dopadli. Takie przypadki już się zdarzały.

Ukradkiem spoglądał na talerz Karin.

– Weź, jeżeli masz ochotę – zaproponowała.

– Wszak grzechem jest wyrzucać dobre jedzenie.

Szybko wymienili się talerzami.

Kiedy Karin chciała odeprzeć teorię Kihlgårda, akurat zadzwonił jej telefon komórkowy. To był Knutas.

– Aha, znowu dzwonisz? – zażartowała. – Nie wierzysz, że sama sobie poradzę z dochodzeniem, co? Odpoczywaj, Anders, jesteś w końcu na urlopie.

– Już nie.

– Co takiego?

– Właśnie wszedłem do budynku komendy. Tak, tak. Przyjechałem tu prosto z lotniska.

– Że co?

– Nie wytrzymałem. Po tym morderstwie i tak nie mogłem się już odprężyć, tym bardziej że byłem tak blisko domu. Równie dobrze mogę więc być tutaj. Moja rodzina pozostała jeszcze w Danii, a ja wsiadłem do pierwszego samolotu. No i jestem tu.

Kihlgård obserwował konsternację, jaka malowała się na twarzy Karin.

– Aha.

– Oj, słyszę, że nie jesteś chyba tym zachwycona – powiedział Knutas z rozgoryczeniem.

– Nie, no co ty! Cieszę się oczywiście, że jesteś z nami. Chyba mi wierzysz?

Emma podnosiła właśnie do ust kieliszek wina, kiedy ponad głowami innych osób zgromadzonych w „Donners Bar” dostrzegła Johana. No tak, to typowe. Że też on musiał zjawić się tutaj akurat wtedy, kiedy postanowiła raz się zabawić.

Wypiła kilka małych łyków i nie spuszczała go z oka. Nie dostrzegł jej, tylko z zadowoleniem konwersował z Pią Lilją i jeszcze jakimś facetem, który wydawał się jej znajomy. Nie mogła sobie tylko przypomnieć, skąd go zna. Tuż obok Johana stała jakaś nieznana kobieta. Jej wygląd, delikatnie mówiąc, Emmę wkurzał. Była jej przeciwieństwem: niewysoka, ciemnowłosa, tajemnicza, krągła. Niczym łaszący się kociak śmiała się i namiętnie poszturchiwała Johana, który przypuszczalnie także przekomarzał się z nią dla zabawy, tak jak to zwykł robić. Jego włosy wydawały się nadzwyczaj długie i kręcone. Był nieogolony i na tle opalonych turystów wyglądał blado. Czym on się właściwie zajmuje? – pomyślała ze złością. Nocnymi balangami i odsypianiem ich potem przez połowę dnia? Dlaczego się nie opalił? On, którego słońce tak łatwo chwyta? Nie pomyślała o tym, kiedy spotkali się wczoraj w Almedalen. Wówczas myślała tylko, że wciąż jest przystojny.

Obserwowała go poirytowana. Ojciec jej najmłodszego dziecka stał po drugiej stronie baru na świeżym powietrzu, z piwem w jednej ręce i papierosem w drugiej, beztrudnie flirtując, nie myśląc ani trochę o niej lub o Elin.

Co prawda, dzwonił do niej kilka razy na komórkę i zostawiał wiadomości. A ona nie miała dość sił, by odebrać telefon. Kiedy nie potrafiła poradzić sobie z jakąś sytuacją, wtedy uciekała. Emma miała tego świadomość, ale nie potrafiła się przełamać.

Jej związek z Johanem legł w gruzach i nie widziała żadnego wyjścia z tej sytuacji. On miał przez całe lato pracować na Gotlandii, a ona snuła plany, w jaki sposób mają dzielić Elin między sobą. O niczym więcej nie była w stanie myśleć.

Teraz musiała znaleźć jakiś sposób, żeby stąd wyjść i nie napatoczyć się na niego. Ledwo zdążyła o tym pomyśleć, gdy on właśnie ją dostrzegł. Zobaczyła, jak pomachał do niej ręką, ale odwróciła głowę, udając, że go nie widzi. Nie minęło nawet dziesięć sekund, a on

już podszedł do niej.

– Cześć, Emmo.

Zrobiło jej się ciepło z wrażenia, kiedy wypowiedział jej imię. Spojrzała w jego ciemnobrązowe oczy. Musi szybko odwrócić głowę, bo nie będzie mogła oderwać od niego oczu. Onieśmielał ją i całkowicie obezwładniał.

– Cześć – odpowiedziała spokojnie.

– Co tutaj robisz?

– A co ty tutaj robisz?

– Przyszliśmy prosto z pracy. Pia, ja, Peter i Madeleine, którzy pracują dla wiadomości ogólnokrajowych. No wiesz, chodzi o to morderstwo na Fårö.

– No jasne.

Skinęła sztywno głową. Niech mu będzie, że to koledzy z pracy.

– A jak się czuje Elin?

– Dobrze, bardzo dobrze – uśmiechnęła się jakby z przymusem. – Rodzice są dzisiaj u mnie i zostali z nią w domu.

To dobrze.

Johan skinął głową i spojrzał w kierunku znajomych.

Emma poczuła się nieswojo.

– Chyba musisz już wracać do swoich kumpli z pracy – powiedziała, akcentując zjadliwie ostatnie słowo.

Koleżanka, z którą przyszła, zniknęła gdzieś w tłumie. Szkoda że nie zabrała ze sobą jakiegoś faceta.

Zwrócił się w jej stronę.

– Słuchaj, dzwoniłem do ciebie dzisiaj kilka razy. Czemu nie odebrałaś?

Zadrżała przez ułamek sekundy, chciała wtulić się w jego ramiona i zapomnieć o całym bożym świecie. Zamiast tego odrzekła jednak:

– Miałam wszystkiego dość. Zresztą muszę już iść.

Udawała, że macha do kogoś przy wyjściu i ruszyła w drogę. Kątem oka zdążyła dostrzec jeszcze minę Johana. Kiedy, wychodząc już na ulicę, spojrzała jednak w stronę baru, zobaczyła, że znów tam stoi i rozmawia bez troski z tą czarną. Narastała w niej gorycz. Nie wiedząc właściwie dlaczego, poczuła się upokorzona. Nie rozumiała, z jakiego powodu aż tak bardzo się tym przejmuje.

Wyglądało na to, że to już koniec z Johanem. Definitywny.

Środa, 12 lipca

Na kolejnym zebraniu grupy dochodzeniowo-śledczej następnego dnia rano wszyscy powitali Knutasa z otwartymi ramionami. A on myślał tylko o Karin. Miał nadzieję, że nie weźmie mu za złe jego powrotu do pracy i że nie pomyśli sobie, że on jej nie ufa. Nie była taka serdeczna jak zwykle.

Na stole stała kawa i bułeczki cynamonowe z piekarni „Siesta”. Knutas spojrział w stronę Kihlgårda, przed którym leżały dwie bułeczki. To oczywiście on wziął drugą bułeczkę zamiast owoców.

Dopiero co rozpoczęli, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Erik Sohlman, machając jakimś dokumentem. Jego rude włosy były zmierzwione, a oczy aż mu się świeciły. Knutas znał już doskonale tę jego minę, którą Sohlman miewał, gdy oglądał mecze piłkarskie albo kiedy wygrywał AIK².

– Cześć! Przepraszam za spóźnienie, ale rozmawiałem właśnie z laboratorium i z lekarzem sądowym. Tym razem byli nadzwyczaj szybcy.

Momentalnie dał się wyczuć wzrost napięcia w pokoju. Wszyscy z zainteresowaniem popatrzyli na Sohlmana.

– Dostaliśmy odpowiedź z laboratorium w sprawie amunicji. To są rosyjskie naboje.

– Rosyjskie? – powtórzył Knutas ze zdumieniem.

– Otóż to. I to na tyle charakterystyczne, iż byli w stanie określić, z jakiej broni pochodzą. Jest to rosyjski pistolet wojskowy wyprodukowany w Tule. Ten model nazywa się Korowin. Pełen automat nietypowego kalibru 6,35 milimetra. Jest dość stary, rok produkcji 1926.

– Kto się posługuje starym, osiemdziesięcioletnim rosyjskim pistoletem wojskowym?

– wykrzyknął Wittberg. – Nie wygląda to na robotę profesjonalisty.

– Musimy sprawdzić wszystkie osoby, które mają pozwolenie na broń na Gotlandii, a może nawet w całej Szwecji – powiedział Knutas. – I ustalić, czy ktoś ma pozwolenie na taką właśnie broń. Jak ona wygląda? Czy masz ją na zdjęciu, Eriku?

² AIK – Allmänna Idrottsklubben (dosł. Powszechny Klub Sportowy).

– Nie, ale szybko załatwię zdjęcia. Jeśli mnie pamięć nie myli, to jest to dość mały pistolet podobny do browninga.

– Musimy sprawdzić, czy coś łączyło Petera Bovide z Rosjanami – ciągnął Knutas. – Kto mógł wwieźć rosyjski pistolet wojskowy, a przede wszystkim, jaki typ człowieka posługuje się taką bronią, gdy chce kogoś zamordować.

– Najlepiej byłoby oczywiście, gdybyśmy znaleźli ten pistolet, ale szansa na to maleje z każdym dniem. Nurkowie straży przybrzeżnej dzisiaj również będą prowadzić poszukiwania, ale potem dadzą sobie spokój. A nie sądzę, aby broń leżała gdzieś na plaży. Znalazłyby ją wówczas psy.

– Jakie osoby były zatrudnione w firmie Petera Bovide na zlecenie, oprócz stałych pracowników? – zapytał Wittberg. – Czy on zatrudniał ludzi na czarno?

– Tę sprawę powierzyłam Urzędowi Kontroli Skarbowej – powiedziała Karin. – Wszystko szczegółowo sprawdzają: rachunki, księgowość, pracowników, zlecenia. Dokładnie wszystko.

– Co druga firma budowlana zatrudnia sezonowych pracowników. W tej branży aż roi się od ludzi z republik nadbałtyckich i z Polski – ciągnął Wittberg. – A może i z Rosji.

– Tak, ale nikt nie mówi, że sprawca musiał być Rosjaninem, tylko że broń stamtąd pochodziła – zaoponowała Karin. – Na czarnym rynku krąży mnóstwo rosyjskiej broni.

Knutas zwrócił się ku Kihlgårdowi, który miał usta pełne jedzenia.

– Jak wygląda sprawdzanie życia osobistego Petera Bovide? – Kihlgård pogryzł wszystko starannie, zanim odpowiedział.

– Jeżeli chodzi o rodzinę, przyjaciół i najbliższy krąg jego znajomych, to przesłuchano już sporo osób. Na podsumowanie mogę jedynie powiedzieć, że do tej pory nie wynikło nic podejrzanego. Żaden z sąsiadów nie zauważył niczego szczególnego w życiu rodziny Bovide albo żeby małżonkowie Bovide kłócili się czy byli poróżnieni. Żadna z osób nie jest w stanie potwierdzić, że Peter Bovide czuł, iż ktoś go śledzi lub że odbierał w biurze głucho telefony. Informacje te pochodzą jak na razie tylko od jego wspólnika, Johnny'ego Ekwalla.

– No, a co na to inni pracownicy jego firmy? Na przykład ta Linda z biura? – zapytała Karin.

Kihlgård pokręcił przecząco głową.

– Odpowiada wymijająco. Twierdzi, że ktoś mógł do niego dzwonić, ale że brała to za głupie żarty. Nic nie wie natomiast o tym, jakoby Peter Bovide miał wrażenie, że ktoś go śledzi.

Kihlgård wypił duży łyk kawy i kontynuował:

– Według krewnych stanowili doskonałą parę, w której panowała zgoda; dom był zawsze posprzątany, dzieci zdrowe i czyste, zawsze byli ze sobą bardzo zgrani. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, są naprawdę zaszokowani tym, co się stało.

– Pomyślałem o innej rzeczy, która może mieć związek ze sprawą. Użyto rosyjskiego pistoletu, a do portu w Slite docierają rosyjskie dostawy węgla – wtrącił Wittberg. – Chodzi mi o to, że statki przyplývają kilka razy w miesiącu, a wszyscy przecież wiedzą, że sprzedaje się tam na lewo alkohol.

Karin przypomniała sobie notki w gazetach. Ta sama myśl przyszła i jej do głowy.

Knutas zgodził się z Wittbergiem. Statki dostarczające węgiel faktycznie stanowiły pewien problem. Policja dobrze wiedziała, że wwozi się na nich i sprzedaje nielegalnie alkohol, ale nie była w stanie kontrolować każdego ładunku. Można było jedynie przeprowadzać wyrywkowe kontrole.

– To brzmi logicznie – powiedział Kihlgård. – Jest to pewien trop, który powinniśmy sprawdzić.

– Czy ktoś może wie, kiedy przyplýnie następny transport? – zapytał Knutas. – I kto ze szwedzkiej strony odpowiada za wyładunek?

– Kapitan portu w firmie „Cementa” – odpowiedział Wittberg. – Bo do nich właśnie wędruje ten węgiel. Używają go jako paliwa w piecach.

– Okej – stwierdził Knutas. – Zadzwoń do niego po poradzie.

– Czekaj! – powstrzymał go Kihlgård. – Jeden z sąsiadów wspominał coś o tej „Cemencie”.

Szybko przewertował swoje notatki.

– O, mam to. Niejaki Arne Nilsson, sąsiad Petera Bovide, zeznał, że nie tak dawno Peter świętował czterdzieste urodziny. Była to dość mocno zakrapiana impreza. Coś mówił o wódce... że ponoć wódka lała się strumieniami i że nie był to nasz zwykły alkohol ze sklepu monopolowego, tylko o wiele mocniejsza wódka importowana bezpośrednio z Rosji. Pewnie trafiła do Petera z jednego z tych rosyjskich statków, które przywożą węgiel do „Cementy”.

– Nie jest to jednak raczej nic niezwykłego, że ludzie kupują alkohol na czarno – zaoponował Erik Sohlman. – Czemu miałyby to mieć jakiś związek z morderstwem?

– Ale warto to przynajmniej sprawdzić – powiedział Knutas. – Dowiem się, kiedy ma przyplýnąć kolejny statek.

Kiedy Johan się obudził, najpierw nie wiedział, gdzie się znajduje. Patrzył przymrużonymi oczami na sufit pomalowany na żółtawy kolor, którego nie rozpoznawał. Ostrożnie obrócił się w łóżku, bardziej miękkim i szerokim niż jego własne. W pierwszym ułamku sekundy pomyślał, że leży w sypialni u Emmy w Roma. Zdążył nawet doznać już euforii, która przeszła jego ciało, gdy uświadomił sobie jednak, że wczorajszego wieczora z nią nie spędził i że zza okna dobiegało o wiele więcej głośniejszych dźwięków niż w cichej dzielnicy willowej w Roma. Powoli zaczęło mu się przypominać, co wczoraj robił. O, do licha! Byli w „Donners Brunn”, a potem poszli do ogródka piwnego w „Vinäger”, gdzie spotkali grupkę kolegów z lokalnej redakcji. Świątowali przez całą noc i doskonale się bawili. Wieczór skończył się tym, że on i Madeleine siedzieli i obściskiwali się przed ruinami kościoła Sankta Karin, zamiast pójść każde w swoją stronę. Potem odprowadził ją do hotelu. O nie, pomyślał. Nie, nie!

Obrócił się na drugi bok i zobaczył czarne pasmo włosów wystające spod pościeli.

Cholera! Uprawiali seks. Spał ze swoją koleżanką z pracy. A niech to wszyscy diabli. Jak nisko upadł! Chciał o tym jak najszybciej zapomnieć. Wyślizgnął się z łóżka tak cicho, jak tylko potrafił, i poszedł do toalety. Odkręcił ostrożnie kran, aby nie było słychać strumienia płynącej wody. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Miał żółtobłądą twarz. Zobaczył swoje przekrwione oczy, w których widać było oznaki przemęczenia i lekki smutek. Czyje odbicie widział w tym lustrze? Dostrzegł kilka kolejnych zmarszczek koło oczu i na szyi. Nową fałdę, której przedtem tam nie było. Jego twarz zmieniła się, postarzała. W ustach poczuł jakiś okropny smak. Mignęła mu przed oczami twarz Emmy. Jak mógł być tak głupi? Czuł się brudny i chciało mu się rzygać z powodu pogardy dla samego siebie. Pysznic weźmie w domu. Musi stąd zniknąć, jak najszybciej uciec. Wkradł się po cichu do pokoju i pobierał swoje ubrania, panicznie obawiając się, że Madeleine się obudzi.

Bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

Kolejna dostawa węgla do portu w Slite miała być dopiero za tydzień. Knutas odłożył więc na razie ten temat na bok i postanowił pojechać do rodziców Petera Bovide, mimo iż byli już przesłuchiwani. Chciał jednak spotkać się z nimi osobiście.

Miło było wyjść z komendy i pobyć trochę samemu. Postanowił pojechać własnym samochodem, starym mercedesem bez klimatyzacji. Kiedy więc wysiadał z samochodu w Slite, był już porządnie spocony. Katarina i Stig Bovide zajmowali mieszkanie w samym środku osady. Żaluzje były opuszczone, więc z zewnątrz wydawało się, że nikogo nie ma w domu.

Knutas nacisnął dzwonek. Minęło trochę czasu.

Drzwi otworzyły się ostrożnie, a Knutas poczuł się niemile dotknięty wyrazem twarzy starszej kobiety. Mimo iż Katarina Bovide miała piegi, była opalona i nawet przypominała nieco Line w swej długiej, czerwonej sukni, to jednak na jej twarzy rysowały się wyraźnie żal i rozpacz.

Skinęła tylko ku niemu, a on wszedł za nią do pokoju gościnnego, który w normalnych okolicznościach z pewnością był przytulny, lecz teraz pogrążył się w mroku. Kotary zasłaniały okna tak szczelnie, iż światło słoneczne prawie nie docierało do środka. Wyglądało to tak, jakby rodzice Petera Bovide nie chcieli wpuścić tego pięknego lata do swojego pokoju. Jakby nie mogli znieść jego uroku.

Niebawem pojawił się w drzwiach również mężczyzna. Wyglądał na tak samo przybitego i pozbawionego chęci do życia jak jego żona. Stig Bovide był wysoki i szczupły. Miał rzadkie, jasne włosy i niebieskie oczy. Ubrany był w jasną koszulę wpuszczoną w niebieskie dzinsy. Na nogach miał obuwie marki Birkenstock. W pokoju panował przynębiający smutek. Było tak gorąco, że ledwo dało się znieść tę temperaturę. Knutasowi chciało się pić, ale nikt nie zaproponował mu niczego do picia. Postanowił więc jakoś bez tego wytrzymać.

– Tak – zaczął. – Jest mi oczywiście bardzo przykro. Jak państwo może słyszeli,

kieruję śledztwem. Byłem na urlopie, ale wróciłem wczoraj i przejąłem kierowanie sprawą od Karin Jacobsson, która jest moim zastępcą.

Chrząknął i zastanawiał się, dlaczego właściwie traci czas na mówienie o tym wszystkim.

– No cóż. Mam kilka pytań, na które bardzo chciałbym uzyskać odpowiedź.

– Rozmawialiśmy już z policją – powiedział Stig Bovide. – Z niejakim Kihlgårdem. Był tu wczoraj.

– Tak, wiem o tym. Ale ponieważ przejąłem kierowanie sprawą, dlatego chciałem spotkać się z państwem osobiście. Mam nadzieję, że damy radę. Naturalnie zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby ująć sprawcę. Dlatego muszę koniecznie zebrać jak najwięcej informacji na temat Petera. Czy mogą państwo zacząć od opowiedzenia mi, jak mu się, państwa zdaniem, wiodło?

– Jak mu się wiodło? – powtórzyła głucho Katarina Bovide.

– To znaczy, jak mu się tak ogólnie układało, zarówno w pracy, jak i w małżeństwie.

– Cóż, nie wiem – Katarina Bovide odwlekała odpowiedź. – Chyba całkiem dobrze. On i Vendela mieli pewnie swoje problemy, jak zresztą każdy, ale chyba nie większe niż inni rodzice małych dzieci?

Spojrzała pytająco na swego męża. Nie rzekł słowa, lecz skinął potakująco głową.

– Pewnie, że mieli masę roboty z Williamem i Mikaelą, ale pomagaliśmy im, jak tylko mogliśmy. Teraz dzieci są u siostry Petera w Othem. Uznaliśmy, że na początek tak będzie najlepiej, bo oni mieszkają na wsi i mają zwierzęta, a i dzieci będą też miały kontakt ze swoimi kuzynami. Przynajmniej będą mogły skoncentrować się na innych rzeczach. Ale jeździmy tam co drugi dzień, żeby im pomóc. Dopóki Vendela nie stanie na nogi.

– Czyli państwa zdaniem Peter czuł się całkiem dobrze?

– No, powiedzmy – odparł Stig Bovide. – To zależy, jak na to patrzeć. Czuł się dobrze, ale miał padaczkę, z którą musiał sobie radzić. A to bywało dość uciążliwe.

Knutas zmarszczył czoło.

– To znaczy, że cierpiał na napady padaczki?

– Tak.

– Jak często?

– Nie tak często, może kilka razy w roku. Jego stan pogarszał się, kiedy był zestresowany albo miał depresję.

– Miał depresję? Czy często w nią wpadał?

Oboje rodzice poruszyli się zażenowani.

– Bywał czasem przygnębiony – odpowiedziała po chwili matka. – Wtedy trudno było nawiązać z nim kontakt. Chodził jakby zamknięty w sobie.

– Odczuwał silną potrzebę przebywania w samotności – dorzucił ojciec. – Myślę, że dlatego tak chętnie biegał. Czasami nie było go godzinami. Wiem, że Vendela nie zawsze była tym zachwycona.

– Uważała oczywiście, że zbyt mało czasu spędza z nią i z dziećmi – wyjaśniła Katarina. – Nic zresztą dziwnego, bo też i dużo pracował – powiedziała i westchnęła.

– Jak często miewał depresję?

– Może kilka razy w roku.

– Czy chodził do psychologa albo brał jakieś leki?

– Tak, brał tabletki antydepresyjne – powiedziała Katarina Bovide.

Jej mąż spojrział na nią ze zdumieniem.

– Brał?

– Tak, mój drogi – położyła rękę na jego dłoni. – Nie chciałam cię niepokoić. Wybacz.

Stig Bovide nie spuszczał wzroku z żony. Zacisnął usta, ale nic nie powiedział. Knutas zmienił temat.

– Wiemy, że Peter miał ostatnio wrażenie, że ktoś go śledzi. Co państwo mogą mi na ten temat powiedzieć?

– Nic. Nie słyszeliśmy nic o tym.

Stig Bovide odezwał się dużo bardziej agresywnym głosem.

– Co to znaczy, że czuł, iż ktoś go śledził? I kto to właściwie powiedział?

– Niestety, nie mogę się na ten temat wypowiadać. Czy są państwo pewni, że Peter nic o tym nie wspominał?

– Nie może pan się wypowiadać!? – wrzasnął Stig Bovide. – Co to jest do cholery? Rozmawiamy o naszym synu! O naszym zamordowanym synu! Jesteśmy jego rodzicami, rozumie pan to?

Ciągle wskazywał szybkim ruchem to na siebie, to na żonę.

– Żądamy, żeby policja informowała nas o tym, jak przebiega śledztwo. I to o wszystkim!

Ten nagły atak gniewu zaskoczył Knutasa. Stig Bovide wstał i pochylił się nad nim. Miał wykrzywioną ze złości twarz.

– Wpada pan do naszego domu dwa dni po znalezieniu naszego zamordowanego syna i zadaje nam pan cały szereg pytań, żądając od nas odpowiedzi. A potem nie chce nam pan powiedzieć, co się stało z synem. Czy pan jest nienormalny? Wynoś się pan stąd!

Natychmiast!

Chwycił Knutasa za kołnierz.

– Uspokój się – krzyknęła Katarina Bovide. – Co ty wyrabiasz?

Udało jej się odciągnąć męża od Knutasa, który szybko wstał.

– Będziemy chyba musieli później dokończyć to przesłuchanie – wymamrotał Knutas.

– Przepraszam, jeśli państwa zdenerwowałem, ale podczas śledztwa musimy zachować dyskrecję. Nawet wobec rodziny ofiary. Odezwiemy się potem. Do widzenia! I raz jeszcze przepraszam.

Katarina Bovide wciąż mocno przytrzymywała swojego męża, który wpatrywał się wściekłym wzrokiem w Knutasa, nie mówiąc już ani słowa. Szybko oddychał i wydawało się, że nie może się uspokoić. Knutas uciekł do ciasnego przedpokoju, chwycił marynarkę i w pośpiechu wyszedł na dwór.

Poczuł, jak ból i rozpacz, które panowały w tym mieszkaniu, podążają za nim.

Johanowi ciężko było skoncentrować się na pracy. Pia zastanawiała się, co z nim jest, ale nie mógł się jakoś zdobyć na to, żeby powiedzieć jej, co się stało. Nie teraz. Zresztą pewnie i tak się domyślała. Poprzedniego wieczora on i Madeleine pozostali jeszcze na ulicy po zamknięciu knajpy, została tam z nim zamiast pójść od razu z Peterem do hotelu. A niech tam – pomyślał. Niech Pia myśli sobie, co chce. Nie był przecież ani żonaty, ani zaręczony. Emma zerwała zaręczyny, a ponieważ od miesięcy nie byli już ze sobą, więc nie powinien mieć właściwie żadnych wyrzutów sumienia. Odrzuciła go. Mimo to czuł się okropnie i nie rozumiał, jak mógł się zachować tak podle. Musi pogadać z Madde, gdy tylko przyjdzie do pracy.

Ze Sztokholmu zadzwonił redaktor naczelny wiadomości lokalnych, Grenfors. Latem pełnił funkcję redaktora. Nie cieszyło to praktycznie nikogo z wyjątkiem jego samego. Rozmawiali o materiale, jaki mieli przygotować w ciągu dnia.

– Mam wrażenie, że policja w ogóle nie wie, co ma robić – powiedział Johan. – To morderstwo wygląda na zagadkowe. Obiektywnie patrząc, można przynajmniej przyjąć, że Peter Bovide był niezwykle troskliwym ojcem rodziny, który kochał swoją żonę, ciężko pracował i nie robił wokół siebie zbytniego szumu.

– Czy rozmawialiście z jego rodzicami?

– Nie – odpowiedział Johan uszczypliwie, zirytowany tym pytaniem. – Czy naprawdę sądzisz, że byłoby to w porządku? Minęły zaledwie dwa dni od znalezienia ciała ich zamordowanego syna. Prawdopodobnie nadal są w szoku.

– Ale podejmij chociaż próbę – upierał się Grenfors. – Nikt ich jeszcze nigdzie nie widział ani nie słyszał. Powinniśmy być pierwsi, a wiadomości ogólnokrajowe...

– Dostyc już gadania o wiadomościach ogólnokrajowych – przerwał Johan, zmęczony tym jego wiecznym podlizywaniem się wiadomościom ogólnokrajowym. – Jeśli aż tak bardzo chcą mieć jego rodziców, to niech sami zrobią wywiad. Niech Madde gania za jego rodzicami. Ja tego nie zrobię.

Ledwo skończył zdanie, gdy Madeleine weszła do pokoju. Popatrzyła zdumiona na Johana.

– Później do ciebie zadzwonię – urwał i odłożył słuchawkę.

– Cześć – powiedziała Madeleine.

Jej spojrzenie było pełne spokoju, a zarazem niespokojne.

– Cześć.

Przez kilka sekund Johan zastanawiał się, jak powinien postąpić. Najlepiej od razu wziąć byka za rogi. Wstał z krzesła i już chciał chwycić Madeleine i poprosić, aby wyszła z nim na chwilę, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała Pia. Sądząc po jej minie i tonie, zrozumieli, że usłyszała jakąś sensacyjną wiadomość. Dała Johanowi znak, aby podał jej długopis. Pilnie notowała to, o czym mówił jej rozmówca. Była tak skupiona, że Johan zapomniał zupełnie, iż chciał właśnie porozmawiać z Madde. Po skończeniu rozmowy powoli odłożyła słuchawkę.

– A teraz uwaga! Posłuchajcie oboje, bo ta wskazówka może mieć istotne znaczenie.

Johan znowu usiadł.

– To była Anna, taka jedna babka, którą znam, a która pracuje w „Sofia Nail & Beauty” tu, w mieście. A zatem w salonie kosmetycznym. Jest tam manikiurzystką i bardzo dobrze zna Vendelę Bovide, która jest jedną z jej najlepszych przyjaciółek i też tam pracuje, w soboty.

– Ach tak?

– Anna mówiła mi, że jakiś tydzień przed morderstwem obie wyskoczyły do miasta, aby coś zjeść. To była taka niby pożegnalna kolacja przed urlopem, bo Vendela miała wyjechać potem na cały miesiąc.

– Aha – powiedział podekscytowany Johan. Rzucił szybkie spojrzenie na Madde, która rozsiadła się na krześle naprzeciwko.

– Podczas posiłku Vendela była niespokojna. Peter otrzymywał jakieś pogróżki. A teraz Anna nie wie, co ma począć. Boi się, że Vendeli przydarzy się coś złego.

– No to może zacząć od rozmowy z nami – zaproponował Johan.

– Wyobraź sobie, że pomyślałam dokładnie o tym samym.

Za zgodą Vendeli Bovide policja przeszukała mieszkanie oraz pomieszczenia w firmie Petera, ale nie znaleziono żadnej interesującej rzeczy. Komputery zostały zabezpieczone i właśnie je sprawdzano. W środę po południu Thomas i Karin pojechali do wdowy, żeby przesłuchać ją bardziej szczegółowo po wypisaniu jej ze szpitala. Umówili się na spotkanie o godzinie trzeciej.

Dom Vendeli i Petera Bovide stał przy drodze wiodącej na północ w kierunku Othem. Czerwony drewniany dom z białymi węglami i ze starannie zagrabionym żwirowym placem. Na trawniku stała wielka niebieska trampolina. Nieco dalej był domek dla dzieci, a pomiędzy dwoma jabłoniąmi wisiał rozciągnięty hamak w paski. Tę płaską parcelę ogradał niski drewniany płot. Wyglądał na świeżo malowany. Trawnik był równo przystrzyżony.

Zadzwonili do drzwi i wsłuchiwali się w dźwięk dzwonka.

Odczekali chwilę i ponownie zadzwonili.

Karin nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Otworzyła je ostrożnie i zawołała „halo!”. Nikt im jednak nie odpowiedział.

Weszli do środka i znaleźli się w ciepłym, wręcz dusznym korytarzu.

– Ja sprawdzę na piętrze, a ty możesz rozejrzeć się tu na dole – powiedział Thomas i wszedł schodami na górę.

Tuż przy wejściu, po lewej stronie była kuchnia. Karin zajrzała do środka. Jasne okna, kwieciste zasłony i pełno doniczek na parapetach. Zwiędłe kwiaty, jakby nie były podlewane od kilku dni. Wszystko dookoła błyszczało, ale dom wydawał się opuszczony. Przeszła do salonu po trzeszczącej podłodze. Pokój był dość duży. Na drewnianej podłodze stała obita skórą sofa, dwa fotele, telewizor i regał z książkami. Ściany ozdobiły zdjęcia ich dwojga dzieci.

Karin podnosiła z półki jedną po drugiej oprawione w ramki fotografie. Tradycyjne zdjęcie ślubne zrobione u fotografa w „Hemlins Foto” w Visby, zdjęcie Petera Bovide odbierającego jakiś puchar. W jego spojrzeniu i w tym skrzywionym uśmiechu było coś, co

się jej nie podobało. Zwłaszcza w spojrzeniu. Było jakieś takie dziwnie puste.

– Czy znalazłaś coś?

Thomas zszedł z piętra i spojrzał na nią, oczekując odpowiedzi.

– Nie. A ty?

– Nic szczególnego.

Karin rzuciła okiem na stary zegar stojący na podłodze. Pokazywał kwadrans po trzeciej.

– Ciekawe, gdzie ona jest. Dziwne, że zostawia otwarte drzwi. Chociaż tu na wsi ludzie chyba tak robią.

Thomas poruszył się niespokojnie.

– Co to było?

– Co takiego?

– Wydawało mi się, że słyszę samochód.

Oboje zamilkli i nasłuchiwali w napięciu. Z dworu rzeczywiście dobiegał warkot silnika samochodowego.

Szybko wyszli na zewnątrz tylnymi drzwiami wiodącymi do ogrodu. Nie chcieli zostać przyłapani na tym, jak kręcą się po domu. Karin wyjrzała zza rogu i zobaczyła, że Vendelę przywiozła dobrze jej już znana osoba. Był to Johnny Ekwall, wspólnik jej męża.

Kiedy samochód odjechał, podeszli znowu do wejścia i zadzwonili do drzwi.

Minęło kilka minut, zanim Vendela Bovide im otworzyła. Spojrzała zdziwiona na policjantów.

– Dzień dobry – przywitała się Karin i przedstawiła Thomasa. – Umawialiśmy się dzisiaj na trzecią, ale pewnie pani zapomniała.

Vendela się zarumieniła.

– Na dzisiaj? Myślałam, że na jutro.

– No to zaszło małe nieporozumienie – powiedziała Karin. – Czy mimo wszystko nie dałoby się teraz? To nie potrwa długo.

Vendela Bovide zawahała się przez chwilę.

– A gdzie są państwa dzieci? – zapytała Karin, aby jakoś przerwać tę głuchą ciszę.

– Są u siostry Petera w Othem. Ja też tam teraz mieszkam. Musiałam tu jednak zajrzeć, by zrobić parę rzeczy. Nadal nie mogę spać w tym domu.

– Czy możemy wejść?

Karin nawet nie skończyła zdania, tylko zrobiła krok do przodu.

– Tak, oczywiście.

Vendela powiedziała to bez większego przekonania, ale wpuściła ich. Zaprowadziła ich do salonu.

– Proszę usiąść. Czy napiją się państwo czegoś?

– Bardzo chętnie – odpowiedzieli jednocześnie. Było bardzo ciepło, więc ciągle czuli się spragnieni.

Vendela Bovide wróciła niebawem z dzbankiem i kilkoma szklankami.

– Kto panią tu przywiózł?

Vendela spuściła wzrok i napełniła szklanki.

– To Johnny z firmy męża. Jest taki uprzejmy i pomaga mi.

Karin obserwowała ją badawczo.

– Okazało się, że broń, z której strzelano do pani męża, pochodziła z Rosji – powiedział Wittberg. – Zastanawiamy się więc, czy pani mąż miał jakieś powiązania z Rosjanami.

– Z Rosji? – głos Vendeli zadrżał. – To broń była rosyjska?

– Tak. Czy pani mąż miał jakieś kontakty z Rosjanami albo z krajami Europy Wschodniej? Wielu ludzi stamtąd przyjeżdża tu do pracy, również w branży budowlanej.

– Tak, pracowali u niego robotnicy sezonowi z Polski, ale czy z Rosji – tego nie wiem. Firmą zajmował się Peter. Ja się w to nie wtrącałam. On sam się wszystkim zajmował.

– A czy wspominał kiedyś o tych robotnikach?

– Nie, tyle czasu spędzał w pracy, że w domu unikaliśmy rozmów na temat firmy.

– Czyli nic pani nie wie na ten temat?

– Nie.

– Okazało się, jak już wcześniej pani mówiłam, że Peter miał czasami wrażenie, iż ktoś go śledził wiosną i na początku lata oraz że były do niego jakieś głuche telefony – wtrąciła Karin. – Czy naprawdę nie przypomina sobie pani niczego podobnego?

– Nie, nigdy nic o tym nie słyszałam. Pamiętałabym przecież o czymś takim.

Karin była przekonana, że Vendela Bovide kłamie. Spojrzała wdowie prosto w oczy i zapytała ją po raz ostatni.

– A więc mąż nigdy nie wspominał pani o tym, że wydaje mu się, iż ktoś go śledzi albo szpieguje?

– Nie. A gdyby tak faktycznie było, to jestem przekonana, że powiedziałby mi o tym. Rozmawialiśmy ze sobą o wszystkim.

– Z wyjątkiem firmy?

– Tak.

– Ile czasu pani mąż spędzał w pracy?

– Można powiedzieć, że nawet bardzo dużo. Jak wszyscy właściciele małych firm. Wychodził wcześniej rano, ale wpadał do domu na obiad, jeśli był w biurze albo na jakiejś budowie w pobliżu nas. Potem wracał tak około szóstej albo siódmej. Czasem pracował też wieczorami. Zajmował się wtedy przeważnie jakimiś kwestiami finansowymi. Siedział i przygotowywał oferty albo wykonywał podobne rzeczy.

– A w weekendy?

– Wtedy przeważnie był wolny.

– Jak układało się państwu w małżeństwie? Co pani do niego czuła? – zapytała Karin.

– Kochałam go. Od czasu, gdy nie żyje, mnie też już nie chce się żyć. I tylko dzieci trzymają mnie jeszcze przy życiu.

Wypowiadała wszystkie słowa sucho i rzeczowo, jakby chodziło o jakieś banały. Ale gdy mówiła o swoich uczuciach do męża, to w jej głosie pojawiała się coś takiego, co sprawiało, że zarówno Wittberg, jak i Karin jej wierzyli.

Salon kosmetyczny „Sofia Nail & Beauty” położony był przy jednej z przecznic przecinających ulicę Hästgatan, w pewnej odległości od głównych tras turystycznych.

Róże pięły się po chropowatej fasadzie, a na wypolerowanych od chodzenia kamiennych schodach przed wejściem leżał rudy kot i wygrzewał się na słońcu. Kiedy Johan i Pia weszli do środka, usłyszeli dźwięk dzwonka i uderzył ich odurzający kwiatowy zapach perfum.

– Pachnie tu dosłownie jak w aromatycznej kąpieli z pianą – szepnęła Pia Johanowi na ucho.

Trzy solidne drewniane stoły ustawione były wzdłuż ścian i przykryte ręcznikami frotte w pastelowych barwach. Na nich stały w równych szeregach różne puszcзки i buteleczki. Przy jednym ze stolików siedziały naprzeciw siebie dwie młode kobiety. Jedna trzymała dłonie wyciągnięte przed siebie, a druga piłowała i wygładzała jej paznokcie. Były tak pochłonięte pogawędką, że nawet nie zainteresowały się tym, kto przyszedł. Ze schowanego gdzieś głośnika płynęła łagodna orientalna muzyka.

W głębi pokoju stała stara kasa i kontuar. Siedziała za nim jeszcze jedna kobieta, która z pochyloną głową coś notowała. Kiedy weszli, podniosła głowę i spojrzała na nich.

– Cześć, Pia!

Kobieta za kontuarem była ubrana w niebieską bawełnianą sukienkę, a jej jasne, kręcone włosy były upięte w kok.

Wstała, aby uścisnąć Pię, po czym przywitała się również z Johanem.

– Chodźmy do tej kafejki naprzeciwko. Usiądziemy tam i spokojnie pogadamy.

Kiedy rozsiedli się przy jednym ze stolików w kawiarnianym ogródku, Anna spojrzała zaniepokojona na aparat fotograficzny Pii.

– Nie pokażecie tego chyba w telewizji? Bo tego bym nie chciała.

– No co ty! – uspokoił ją Johan. – Nie zrobimy niczego brew twojej woli. Chronimy naszych informatorów. Nikt się nie dowie, że te informacje pochodzą właśnie od ciebie.

– Przynajmniej.

– Oczywiście, że przynajmniej – powiedziała Pia. – Możesz mi zaufać.

– W jaki sposób grożono Peterowi Bovide? – zapytał Johan.

– Odbierał głuche telefony zarówno w domu, jak i w pracy. Ale to nie wszystko. Zaledwie kilka dni przed naszą ostatnią wspólną kolacją z Vendelą na mieście, przed jej wyjazdem na urlop, dość późnym wieczorem przyszło do ich domu kilka nieciekawych typów.

– Co tam robili?

– Nie weszli w ogóle do domu, tylko rozmawiali z Peterem na dworze, i to chyba dość długo. Vendela mówiła, że po powrocie do domu był potem bardzo zdenerwowany.

– Czy powiedział jej, kim oni byli?

– Nie, ale mówili po angielsku z obcym akcentem. Vendela myślała, że byli to Finowie albo że pochodzili z którejś z republik nadbałtyckich.

– Dlaczego mu grozili?

– Powiedział, że mają jakiś problem na jednej budowie, ale że wszystko będzie dobrze. Nie dostał pieniędzy od właściciela domu, który budują i dlatego nie miał czym zapłacić robotnikom. A było to najwyraźniej jakieś dość spore zlecenie.

– Czy Vendela domyśla się, o jakich robotników chodzi? Albo o jaką budowę?

– Nie wiem. Tego mi nie mówiła.

– A policja też tego nie wie?

– Nie. Ona nie chce im o tym mówić, bo obawia się, że wtedy rozdmuchają całą tę sprawę.

Anna pochyliła się nad stolikiem.

– Chodziło pewnie o ludzi zatrudnionych na czarno – szepnęła.

– Musisz jednak pójść na policję i powiedzieć im wszystko, co wiesz na ten temat. To mogą być jakieś poważne sprawy – powiedział Johan. – A my wspomnimy o pogroźkach w naszym dzisiejszym wieczornym reportażu. Chociaż, jak ci obiecaliśmy, nie ujawnimy, skąd mamy te informacje.

– Dobrze. Vendela nie wie, że znamy się z Pią, więc nie domyśli się chyba, że to ja. A właściwie to co mi tam – powiedziała przekornie. – Zadzwoń na policję, jak tylko wrócę do salonu kosmetycznego. Vendela będzie pewnie wściekła. Ale powiem im o tym przecież tylko po to, żeby ją chronić.

Wzruszyła ramionami i starała się udawać, że jest jej to obojętne, ale widać było, jak ją to wszystko naprawdę martwi.

– Będzie dobrze, zobaczysz – powiedziała Pia.

– To wszystko jest takie okropne. Przykro mi, że Peter nie żyje. I Vendeli też mi żal. No i ich dzieci.

Johan zadawał sobie w myślach całą masę różnych pytań. Czyżby tutaj, przy tym kawiarnianym stoliku odkryli powód, dla którego zamordowano Petera Bovide? Jak wielkie niebezpieczeństwo groziło Vendeli? Co ma zrobić z uzyskanymi informacjami?

Tak czy inaczej, była to zbyt poważna sprawa, której nie wolno zachować tylko dla siebie.

Kiedy pożegnali się z Anną Nyberg i wyszli z salonu kosmetycznego, Johan próbował skontaktować się telefonicznie zarówno z Grenforsem, jak i Knutasem. Żaden z nich nie odbierał jednak telefonu.

– Co teraz zrobimy? – zapytała Pia.

– Na początek trzeba przygotować materiał. Musimy to jakoś opracować na wieczór, ale potrzebne są nam jednak informacje z dwóch niezależnych źródeł. Nie wystarczą nam niestety informacje od samej tylko Anny, chociaż jestem pewien, że wszystko, co nam powiedziała, jest prawdą. Kto może potwierdzić, że Peterowi Bovide grożono?

– Może ktoś z firmy „Slite Bygg”, ale tam też nikt nie odbiera telefonu – westchnął Johan. – Pytanie tylko, czy jest sens jechać tak daleko, skoro i tak nikogo nie ma w biurze. Zadzwońię najpierw do związków zawodowych i dowiem się, czy wiedzą coś o pracy na czarno.

– Zrób to, a potem pojedziemy do Slite.

– Okej.

Johan dodzwonił się do rzecznika Związku Zawodowego Pracowników Budowlanych na Gotlandii.

– Chciałbym zasięgnąć informacji na temat firmy, która nazywa się „Slite Bygg”.

– Aha, pewnie chodzi o tego człowieka, którego zastrzelono na Fårö. O Petera Bovide. Paskudna historia.

– Słyszałem, że zatrudniał ludzi na czarno. Czy wie pan coś o tym?

– Tak, faktycznie podejrzewamy, że tak było. Ma on wprawdzie podpisaną umowę zbiorową z pracownikami, ale krążą pogłoski, że nie płacił, ile trzeba. A ci pracownicy ze Wschodu pracują prawie za darmo.

– To znaczy?

– Przyjeżdżają tutaj i pracują za grosze, więc i płace maleją. No i zabierają pracę członkom naszej organizacji.

– Tak, tak – powiedział Johan niecierpliwie. – A czy wie pan, jakie budowy akurat teraz realizował?

– Tak, podano nam kilka miejsc, w których jego firma kontynuuje jeszcze budowę. Mogę to sprawdzić. Proszę chwileczkę zaczekać.

Johan usłyszał, jak rzecznik pisze coś na klawiaturze. Po kilku minutach podszedł znów do słuchawki i odezwał się ponownie.

– Wiemy o budowie willi na wyspie Furillen, remoncie restauracji w Åminne i pracach murarskich w Stenkyrkehuk. Tak, chodzi o dom z kamienia wapiennego, który budują tuż obok tamtejszej zabytkowej latarni. Poza tym mówi się, że zatrudnia na czarno grupę ludzi z Polski czy z republik nadbałtyckich, czy skądś tam, którzy budują domki wypoczynkowe w całej północnej Gotlandii.

– A jak sprawdzacie kogoś, kogo podejrzewacie, że zatrudnia pracowników na czarno?

– To cholernie trudna rzecz. Nie mamy kontroli nad każdą najmniejszą budową na wyspie, bo tyle się teraz wszędzie buduje. Możemy jedynie zbierać informacje od osób, które dzwonią do nas, gdy podejrzewają, że ktoś pracuje na czarno. Ale mało to przecież kogo obchodzi.

Rzecznik westchnął głęboko. Johan zerknął na zegarek i szybko coś rozważył.

– Czy wie pan, gdzie dokładnie budują ten dom z kamienia wapiennego w Stenkyrkehuk?

– Jakieś trzydzieści kilometrów stąd. Trzeba jechać drogą numer sto czterdzieści dziewięć z Visby na północ. Potem skręca się przy sklepie w Hälge, mija Vale, a następnie wjeżdża się na wąską żwirową drogę prowadzącą do latarni. Za latarnią jest plac budowy, łatwo go dostrzec. Wycięli tam sporo lasu i poszerzyli drogę.

– Dobrze. Dziękuję.

Johan odłożył słuchawkę i zwrócił się do Pii.

– Jedziemy do Stenkyrkehuk.

Już z daleka słuchać było uderzenia młotem. Jechali zgodnie ze wskazówkami podanymi im przez rzecznika, aż dotarli na działkę położoną tuż obok starej latarni. Dom, który tu budowano, stał na wapiennym, przepastnym urwisku, jakieś trzydzieści metrów ponad połyskującymi w słońcu wodami Bałtyku. Ściany były murowane. Dwóch ludzi rozebranych do pasa siedziało na dachu niczym kury na grzędzie i przybijało papę. Słońce było w zenicie, więc widać było, jak ich plecy błyszcząły od potu. Po jednej stronie ściany szczytowej stali dwaj kolejni mężczyźni zajęci tynkowaniem fasady.

– Co za miejsce – westchnęła urzeczona Pia.

– No, niezłe.

Johan rozejrzał się dookoła. Do działki budowlanej otoczonej lasem wiodła wąska, wyboista droga żwirowa. W pobliżu znajdował się jeszcze jeden dom, ale nie było go stąd widać. Tylko stara, od dawna już nieużywana latarnia wystawała sponad drzew. Robotnicy byli tak pochłonięci pracą, iż nie zauważyli, że ktoś przyjechał. Radio grało na cały regulator.

– Chyba podejźmy i pogadamy z nimi – zaproponował Johan.

Nie uszli jeszcze daleko, a już z baraku stojącego w pobliżu domu wyszedł jakiś mężczyzna. Był dość niski, krępy i podejrzliwym wzrokiem gapił się na przybyszów.

– Dzień dobry – powiedział Johan. – Jesteśmy z Telewizji Szwedzkiej i przyjechaliśmy tutaj w sprawie morderstwa Petera Bovide. Czy znał go pan?

– Czy go znałem? To był mój wspólnik. Prowadziliśmy razem firmę.

Johan domyślił się, że stojącym przed nim człowiekiem był Johnny Ekwall. Ale mieli szczęście!

– A to zapewne pan Johnny? Czy możemy z panem chwilę porozmawiać?

– Ale tylko pod warunkiem, że nie będą mnie państwo filmować. Nie chcę być w telewizji.

– Dobrze, obiecuję.

Johnny Ekwall spojrział w górę w stronę robotników, którzy z zaciekawieniem zerkali

na nich, nie przerywając przy tym pracy. Odwrócił się i wszedł z powrotem do baraku. Nie zamknął drzwi, co Johan potraktował jako zaproszenie.

Oboje z Pią weszli do środka. Po jednej stronie baraku stały rzędy metalowych szafek, ławka i umywalka ze stali nierdzewnej, nad którą wisiało zakurzone lustro.

Potem weszli do następnego pomieszczenia, które zdawało się pełnić funkcję kuchni. Na zwykłym stole przy oknie stało plastikowe pudełko z ciasteczkami i kilka nieumytych kubków po kawie. Pod ścianą znajdowała się lodówka, a na półce kuchenka mikrofalowa i poplamiony ekspres do kawy. W jednym z kątów leżały jakieś materace oparte o ścianę. Usiedli przy stole. Johnny poczęstował ich kawą i otworzył pudełko z ciasteczkami. Johan postanowił od razu przejść do rzeczy.

– Słyszeliśmy, że ktoś groził Peterowi Bovide. Czy wie pan coś o tym?

– A skąd o tym wiecie?

– Tego nie mogę powiedzieć. Nie ujawniamy naszych informatorów.

– Okej. Czyli że jeżeli coś państwu powiem, to nikomu tego nie zdradzicie?

– Na pewno nie powiemy, od kogo to wiemy. Jeżeli pan sobie tego nie życzy.

Johnny Ekwall popił łyk letniej kawy.

– No, nie wiem – powiedział z wahaniem. – Ostatnio wynikło małe zamieszanie, bo Peter zajmował się wypłatą pieniędzy dla chłopaków, a wydaje mi się, że trochę zalegaliśmy. Z wypłatami znaczy się. No i niektórzy byli niezadowoleni, bo uważają, że powinni dostać więcej itd. Ale to Peter się tym zajmował i nie o wszystkim mi mówił.

– A wie pan, że mu grożono?

– Mówił mi kilka razy, że ma wrażenie, iż ktoś go śledzi, tak jakby ktoś go szpiegował.

– Ach tak? A w jaki sposób?

– Nie wiem, na ogół tak mu się tylko zdawało.

Johan pochylił się do przodu i ściszył głos.

– Tak się akurat składa, że uzyskaliśmy bardzo wiarygodne informacje, z których wynika, że faktycznie mu jednak grożono. Na serio. Tak więc nic mu się nie wydawało. Czy wie pan więc coś o tym?

Johnny Ekwall poruszył się. Spojrzał podejrzliwie.

– Od kogo o tym wiecie?

– Tego akurat – jak już wcześniej mówiłem – nie mogę powiedzieć. Jesteśmy dziennikarzami i nie ujawniamy naszych informatorów. Nie tak jak podczas rozmowy z policją.

Ekwall przyglądał się przez chwilę Johanowi, nic nie mówiąc.

– I obiecują państwo, że nigdy się nie wyda, iż ja to powiedziałem? Nie chciałbym po prostu mieć potem kłopotów.

– Przysięgamy.

– Peter kilka razy odbierał jakieś dziwne telefony, głuche telefony od jakichś tajemniczych osób, ale zbyt wiele o tym nie gadał. Mówił, że to idioci i że nie ma co się tym przejmować. Chodziło o jakieś sprawy finansowe, no a tym to on się przecież sam zajmował.

– A czy może pan opowiedzieć nam coś więcej o tych rozmowach?

– No, zdarzało się, że ktoś tam zadzwonił i groził mu przez telefon, że jak nie wypłaci należności, to... Ale tak było dopiero w ostatnim czasie.

– A dlaczego zalegaliście z wypłatami? Firma prosperuje przecież całkiem nieźle.

– Owszem, ale wystarczy przecież, że zleceniodawca nie zapłaci nam na czas za jakieś większe zlecenie. Wtedy nie możemy wypłacić pensji i od razu powstają zaległości.

– Kto się na was skarżał?

– Chyba głównie Polacy i ci z republik nadbałtyckich, którzy u nas pracują. Dostają mniej pieniędzy niż te osoby, które są zatrudnione w ramach umów grupowych, to jasne. No i chyba zaczęli porównywać itd.

– Peterowi najwyraźniej groziło jednak kilka osób. Przypuszcza się, że byli to Finowie lub ktoś pochodzący z republik nadbałtyckich. Byli u niego w domu kilka tygodni temu. Czy wie pan coś o tym?

– Tak, opowiedział mi o tym. Zaniepokoiłem się, ale mówił, że nie ma się co bać.

– A czy wie pan, jakiej narodowości byli ci, co do niego dzwonili?

– Nie, nie mówił, skąd oni są. A ja nie wpadłem na to, by go zapytać.

– Czy na tej budowie pracują jacyś Szwedzi? – zapytała Pia.

– Nie, akurat tutaj nie pracują.

– Ile osób zatrudnionych jest w firmie?

– Trzy osoby pracują na stałe, oprócz mnie i Petera. No i Linda, nasza sekretarka. Resztę pracowników zatrudniamy w zależności od sytuacji.

– A co pan sam sądzi o tym morderstwie? To znaczy, kto za nim stoi?

– No, trudno przy tym nie myśleć o tych pogroźkach, czy nie miały przypadkiem związku z morderstwem.

– Czy obawia się pan o własne bezpieczeństwo?

– Właściwie to nie. Choć oczywiście myślałem też o tym.

– Jak zamierza pan teraz poradzić sobie z firmą?

– Chyba pociągnę ją dalej razem z Lindą. Wykupimy udziały Petera, oczywiście jeżeli Vendela się zgodzi. Teraz ona jest współudziałowcem. W takim wypadku Linda zajęłaby się sprawami finansowymi.

– Czy da sobie radę?

– Tak, ukończyła liceum ekonomiczne. I skończyła wiele kursów. Jedno jest pewne – zrobimy wszystko, żeby wypłacić ludziom należne im pensje, aby byli zadowoleni. Chociaż teraz akurat nie możemy nic zrobić, bo policja położyła łapy na naszych rachunkach.

– A więc to znaczy, że właściwie nie zgadzał się pan z Peterem co do sposobu prowadzenia firmy? – zaciekała się Pia.

– Nie, do licha! Tego nie powiedziałem. Nie w tym znaczeniu. Dobrze się nam współpracowało.

Fårösund,
18 lipca 1985 roku

Kiedy autobus jadący z Visby skręcił w stronę przystani promowej Fårösund, Verę ogarnęło jakieś dziwne, nierzeczywiste uczucie. Przed jej oczami ukazało się morze oraz wyspa Fårö po drugiej stronie cieśniny. Promy samochodowe kursowały pomiędzy obiema tymi wyspami regularnie tam i z powrotem, a samochody ustawiały się w długiej kolejce aż do samej przystani.

Na prom płynący na wyspę Gotska Sandön czekano po jednej stronie nabrzeża. Zebrało się tam sporo ludzi. Zanim dołączyli do tej grupy, pośpieszyli do supermarketu ICA, żeby kupić jeszcze brakujące rzeczy. Na wyspie nie było sklepów, tak więc trzeba było zabrać ze sobą cały prowiant. Oleg biegał z zapalem pomiędzy półkami, podczas gdy Sabine chodziła z kartką i odfajkowywała, co zostało już kupione.

– Czy chcecie coś jeszcze, dziewczyny? – zapytał Oleg. – Wiem, że nie będziemy musieli dźwigać naszego majdanu, bo zabierze go traktor. Możemy więc coś jeszcze dorzucić. Jeżeli macie na coś ochotę, to bierzecie.

Sięgnął po kilka czekolad, a po sekundzie wykrzyknął:

– Ser i krakersy będą się świetnie nadawać na wieczorne przekąski. Mamy przecież ze sobą czerwone winko. A świece też wzięliśmy?

Przy nabrzeżu, do którego miał przyplłynąć prom, zbierało się coraz więcej ludzi. Wyrosła tam istna góra plecaków, toreb izotermicznych i reklamówek z jedzeniem. Widać było całe rodziny z dziećmi, pojedyncze pary i miłośników ptaków. Co za entuzjaści – pomyślała Vera, widząc lornetki i profesjonalny sprzęt do obserwacji. Wielu wyglądało tak, jakby całe życie nie robili nic innego, tylko siedzieli gdzieś w lasach czy na polach. Wszyscy mieli masywne buty albo już na nogach, albo też poprzyczepiane do plecaków razem z termosami i innymi rzeczami.

Czekano z niecierpliwością na przybycie promu.

– Patrzcie, wreszcie nadpływa!

Oleg stał z lornetką i obserwował morze, więc go dostrzegł. Niebawem wszyscy mogli już ujrzeć zbliżający się biały statek. Nie był zbyt wielki. Jakiś młody chłopak wyszedł na

dziób i rzucił cumę. Kapitan powoli i ostrożnie dobił statkiem do brzegu. Pasażerowie na pokładzie stanęli jeden za drugim i wypakowywali bagaże na ląd. Plecaki, torby i zwinięte namioty podawano sobie z rąk do rąk. W ten sposób trafiały kolejno na brzeg, gdzie dwaj silni starsi mężczyźni odbierali je i ustawiali na nabrzeżu. Oleg chętnie im w tym pomagał.

Kiedy wszystko było gotowe i weszli nareszcie na pokład, Vera i Tanja pobiegły zająć miejsca na rufie na górnym pokładzie, aby ile się tylko da, skorzystać ze słońca przez dwie godziny rejsu.

Siedziały oparte wygodnie, patrząc, jak w oddali znika wyspa Fårö po jednej, a mała osada Fårösund po drugiej stronie promu.

Niebawem znaleźli się na pełnym morzu.

Vera przysłuchiwała się pracy silnika, krzykowi mew i pogawędkom pasażerów. Cieszyła ją perspektywa pobytu na tej wyspie.

Wieczorny magazyn informacyjny telewizyjnych wiadomości lokalnych nie zachwyił Knutasa. Miał zrezygnowaną minę, kiedy wraz z Karin usiedli w kantynie przed telewizorem.

Na ekranie było widać, jak Johan Berg stoi na jakimś placu budowy gdzieś na Gotlandii, nie wiadomo gdzie. Tekst komentarza głosił: „Jest to jeden z projektów budowlanych, jakie realizuje firma «Slite Bygg» należąca do ofiary, Petera Bovide. Za mną powstaje tradycyjny dom z kamienia wapiennego usytuowany tuż nad morzem. Pracuje tu kilku robotników zatrudnionych przez tę firmę na zlecenie. Zgodnie z informacjami uzyskanymi przez reporterów wiadomości lokalnych to właśnie przede wszystkim sezonowi pracownicy z Polski i z republik nadbałtyckich są niezadowoleni z warunków pracy i płacy. Z kilku niezależnych źródeł wiemy, że Peter Bovide w ostatnim półroczu wielokrotnie otrzymywał pogróżki, które miały związek z jego sezonowymi pracownikami. Według jednego ze stałych pracowników firmy to ofiara była odpowiedzialna za płace. Nikt inny w firmie «Slite Bygg» nie otrzymywał pogróżek. Policja nie chce ujawniać, jakie czynności podejmuje w śledztwie w związku z tym właśnie wątkiem”.

Następnie pokazano głę Larsa Norrby’ego przed komendą.

– Badamy oczywiście wiele różnych wątków w tym dochodzeniu i trudno powiedzieć, który z nich wydawać by się mógł obecnie bardziej interesujący od innych. Pracujemy na szerokim froncie, nie bazując na jednej tylko przesłance. Nie chcemy zawęzić śledztwa.

– A co mają państwo do powiedzenia w sprawie informacji o pogróżkach kierowanych pod adresem Petera Bovide?

– W chwili obecnej nie mogę się na ten temat wypowiadać. Jak już wspomniałem, pracujemy na szerokim froncie. Jest to jeden spośród wielu wątków.

Knutas wyłączył ze złością telewizor, gdy tylko skończył się reportaż.

– Skąd oni do cholery mają te informacje?

– Pojęcia nie mam.

– I jeszcze ta sprawa pogrózek, jakie Peter Bovide otrzymywał od robotników z republik nadbałtyckich, niezadowolonych ze swojego wynagrodzenia. Podali więcej informacji, niż nam udało się ustalić. Dlaczego Norrby nic nie powiedział? Przecież to jest bardzo ważny ślad! No i doprawdy ciekawe, jak bardzo zaszkodzi to teraz naszemu śledztwu. Teraz sprawca ucieknie pewnie w pośpiechu.

– Jeżeli jest wśród robotników, to tak. Ale tego przecież nie wiemy – powiedziała ze skwaszoną miną Karin. – Słyszałam, jak Johan szukał Norrby’ego zaledwie godzinę temu. Prawdopodobnie po prostu nie zdążył nam tego zameldować. Nie zapominaj, że jest ojcem samotnie wychowującym dwóch synów, którymi musi się zajmować. A nie są to przecież aż tak ważne informacje, z których powodu musielibyśmy gdzieś gonić już teraz, wieczorem. Nie mam racji?

Od powrotu Knutasa jakoś nie wiedziała, jak ma się zachowywać w stosunku do swojego szefa. Z jednej strony cieszyła się, że go znowu widzi, a z drugiej chciała poprowadzić to dochodzenie sama. A on wrócił i odebrał jej tę możliwość. Zastanawiała się, czy zdawał sobie z tego sprawę.

– A tak w ogóle, to jak przebiega kontrola skarbową w firmie Petera? Trzymasz rękę na pulsie, prawda? – spytał prowokująco.

– Nie da się tego zrobić tak od razu – odpowiedziała. – Jestem pewna, że Urząd Kontroli Skarbowej pracuje nad tym pełną parą.

Otworzyły się drzwi i wszedł Thomas Wittberg. Widać było po nim, że coś się stało.

– Cześć. Trafiła mi się cholernie dobra poszlaka – wyrzucił z siebie. – Przyjaciółka Vendeli Bovide, która pracuje z nią w salonie kosmetycznym, zgłosiła się do nas i zeznała, że Peterowi Bovide grozili jacyś ludzie, którzy przyszli do niego do domu i którzy jej zdaniem są pracownikami zatrudnionymi na czarno, pochodzącymi z republik nadbałtyckich. Ostatni raz było to zaledwie na tydzień przed morderstwem.

– Skąd o tym wie?

– Opowiedziała jej sama Vendela.

Karin i Knutas wymienili spojrzenia.

– A podczas przesłuchania raz za razem temu zaprzeczała. Musimy się za nią wziąć jeszcze raz – powiedział Knutas.

Spojrzał na Wittberga.

– Dobrze, że przyszedłeś z tym akurat teraz. No to wiemy już, skąd telewizja miała te informacje. Musimy koniecznie porozmawiać z tą jej przyjaciółką.

Piątek, 14 lipca

W czwartek nie wydarzyło się nic istotnego, co mogłoby posunąć dochodzenie do przodu. Policja przesłuchała ponownie Vendelę Bovide, a także jej przyjaciółkę, Annę Nyberg. Potwierdziły one informacje o tym, że kilka tygodni przed jego śmiercią Peterowi Bovide parę razy grożono. Wdowa przyznała się w końcu, że wiedziała o tych pogroźkach, ale podkreślała, iż nie chciała o tym mówić, gdyż chodziło o jakieś nielegalne interesy.

Przesłuchano też wszystkie osoby, które miały jakikolwiek związek ze zleceniami realizowanymi przez firmę „Slite Bygg”, ale nikt nie powiedział policji niczego nowego.

Kiedy członkowie grupy dochodzeniowo-śledczej wkroczyli do pomieszczenia, w którym miało się odbyć piątkowe poranne spotkanie, Kihlgård przywitał ich zadowolony, śpiewając w drzwiach na cały głos „Marsylianę”.

Na ustawionym na samym środku pokoju stole z jasnego drewna sosnowego królowały dwa wielkie torty czekoladowe przyozdobione patyczkami z maleńkimi flagami francuskimi.

– O co chodzi? – zaciekał się Wittberg. Miał zaczerwienione oczy, najwyraźniej po wczorajszej balandze. Jego jasne, długie włosy sterczały we wszystkich kierunkach, a w jednej ręce trzymał coca-colę. Po wielu latach pracy, gdy okrzyknięto go już największym fircykiem i kobieciarzem na komendzie, Wittberg ustatkował się i mniej więcej rok temu zamieszkał z pewną kobietą. Na początku lata związek rozpadł się, co było zresztą widać. Powrócił do swojego dawnego hulaszczego trybu życia.

– Oho, co świętujemy? – zapytała Karin.

Kihlgård westchnął ciężko i spojrzął z wyrzutem na kolegów.

– Cóż za niedouczzone towarzystwo! Czy nie wiecie, co to za dzień?

Wszyscy zgromadzeni w pokoju spojrzeli na siebie z zaskoczeniem.

– No, przecież dziś jest święto narodowe Francji, do licha! – wykrzyknął Kihlgård z entuzjazmem. – Czternasty lipca! Rocznica rewolucji francuskiej. Czy nie słyszeliście o niej?

– O Boże – zaśmiała się Karin. – Przecież nie za bardzo nawet wiemy, z jakiego powodu obchodzimy święto narodowe Szwecji. Nie wiedziałam, że jesteś takim miłośnikiem Francji.

– Ależ moja droga! Jak mogło to umknąć twojej uwadze? Jedzenie, wino, ludzie,

pogoda – kocham Francję. A to, co tu widzicie – powiedział podnieconym głosem, wskazując na torty – to są francuskie torty czekoladowe domowej roboty według przepisu, który dostałem od Laurenta, mojego partnera pochodzącego z Francji!

W pomieszczeniu zapanowała cisza jak makiem zasiał. Kihlgård nigdy nie wspominał, że jest homoseksualistą albo że ma jakiegoś partnera. Ich reakcje na jego słowa były bardzo różne. Knutas wydawał się zupełnie dezorientowany. W spojrzeniu Wittberga dostrzec można było najpierw zdziwienie, które jednak szybko zmieniło się w rozbawienie. Sohlman wyglądał tak, jakby zobaczył ducha. Karin zachowała kamienną twarz. Od dłuższego już czasu znała preferencje seksualne Kihlgårda. Według niej były one wyraźnie widoczne.

Zdziwiła się, że jej skądinąd tak spostrzegawczy koledzy nie potrafili zupełnie określić orientacji seksualnej Kihlgårda. Wiele osób z ich wydziału ubzdurało sobie nawet, że ją samą coś z nim łączy, a Knutas kilka razy okazywał jej swoją zazdrość. Karin niestety to bawiło.

Najwyraźniej sam Kihlgård zrozumiał, że zdradził się z czymś, o czym jego koledzy z Gotlandii nie wiedzieli, a co było zupełnie oczywistą sprawą dla kolegów z komendy w Sztokholmie.

– Słuchajcie – powiedział, aby przerwać konsternację, jaka zapanowała nagle w pokoju. – Częstujcie się, są naprawdę bardzo smaczne!

Kihlgård sięgnął po nóż i zaczął kroić oba torty, a potem wszyscy się poczęstowali.

– No, to może zaczniemy naradę, jeśli monsieur Kihlgård pozwoli?

Knutas uśmiechnął się, pochylając się w stronę swojego kolegi, który właśnie pałaszował już drugi spory kawałek tortu.

– Wittberg, zdaje się, że masz nam do zakomunikowania sporo nowych faktów?

– Tak. Przesłuchaliśmy ponownie Lindę Johansson, która pracuje w firmie „Slite Bygg”. Nadal utrzymuje, że nic nie wie ani o pogrózkach, ani o nielegalnie zatrudnionych pracownikach. Zajmowała się zazwyczaj rozmowami telefonicznymi i wykonywaniem zwykłych prac biurowych, czyli robiła po prostu to, co jej kazano. Jeśli chodzi o kwestię finansów, to Peter sprawował nad nimi ogólną kontrolę, podczas gdy ona głównie porządkowała dokumenty. To jej własne słowa. Szczerze powiedziawszy, nie wygląda na szkolnego prymusa.

– A kim ona właściwie jest? – zapytała Karin.

– Pochodzi ze Slite, ma dwadzieścia pięć lat. Mężatka, dwoje dzieci. Całkiem zwyczajna osoba.

– Jak długo pracuje już w tej firmie?

– Wygląda na to, że od pół roku. Zatrudnili w tym samym czasie i ją, i kilku robotników.

– Czy mogła rzeczywiście nie mieć zielonego pojęcia o tym, iż firma zatrudnia nielegalnych pracowników? – zapytała Karin.

– Jeśli prawdą jest, że Bovide sam zajmował się finansami swojej firmy, to może i tak było, że inni nie wiedzieli, jak się sprawy mają. Być może pracowali dla nich jacyś ludzie z zagranicy, którzy mieli pozwolenie na pracę i byli zatrudnieni w systemie grupowym, a inni nie mieli.

– Niebawem dostaniemy raport z Urzędu Kontroli Skarbowej. No, ciekawe, co tam odkryli. A tak z innej beczki – czy sprawdziłeś tych ludzi, którzy przyłynęli na Fårö pierwszym promem w dniu zabójstwa?

– Tak. Okazuje się, że wszyscy mają jakieś alibi. Para z Göteborga pojechała prosto do wynajętego domku wypoczynkowego, gdzie pili poranną kawę z właścicielką aż do godziny ósmej, kiedy ta pojechała do pracy. Wygląda na to, że kobieta w ciąży spotkała się na Fårö z mężem i byli razem przez cały poranek. A na mężczyznę z koniem czekał w domu jego syn. Żadna z tych osób nie zauważyła niczego szczególnego.

– Okej, ta sprawa jest już zatem załatwiona. A jak idzie sprawdzanie urlopowiczów, którzy wynajęli domki wypoczynkowe na Fårö i nocowali tu ostatnio? Czy ich lista jest już gotowa?

– Jak na razie nie mamy niczego godnego uwagi, ale nie zakończono jeszcze wszystkich przesłuchań. Ganiamy bowiem za ludźmi, którzy – jak wiadomo – już stamtąd wyjechali.

– Tak, rozumiem.

Sobota, 15 lipca

Knutas obudził się sam w dużym łóżu małżeńskim w willi na ulicy Bokströmsgatan, tuż za murami miejskimi okalającymi Visby. Raziły go ostre promienie słoneczne. Zawsze spał przy otwartym oknie, czy to latem, czy zimą, ale teraz niewiele to pomagało. Na dworze było cieplej niż w mieszkaniu. Wstał i wyszedł na taras. Trawa była wysoka, więc trzeba by ją skosić. Meble ogrodowe wyglądały na zniszczone. Biała farba, którą były pomalowane, kruszyła się i odchodziła już całymi płatami. Postanowił latem coś z tym zrobić, ale jak na razie nic mu z tego nie wyszło. Nie myślał już nawet o tym wszystkim, co trzeba by zrobić koło ich domku wypoczynkowego w Lickershamn.

Pewnie i tak nie uda mu się tam pojechać, zanim nie zakończą sprawy morderstwa Petera Bovide.

Wziął prysznic i ubrał się. Nastawił w kuchni wodę na kawę i poszedł do skrzynki po poranną prasę.

Dziwnie czuł się tak całkiem sam w domu. Taka sytuacja praktycznie nigdy mu się nie zdarzała. Line miała jeszcze dwa tygodnie urlopu, więc pojechała z dziećmi do ich domku letniskowego. Chociaż to już nie takie znowu dzieci. Jesienią pójda do gimnazjum. Nie do wiary, jak ten czas szybko zleciał.

Nisse – tak kazał się teraz nazywać ich syn – miał już od pół roku dziewczynę i wyglądało to na trwały związek dwojga zakochanych. Knutas zwlekał trochę z rozmową, jaką jego zdaniem należało przeprowadzić z synem. Oczywiście i on, i Line rozmawiali już wcześniej z dziećmi o kwiatkach i pszczołkach oraz o tym, skąd się biorą dzieci, ale od kiedy Nisse zaczął zostawać u Gabrielu na noc, Knutas uznał, że będzie musiał porozmawiać z nim bardziej na serio. Mimo że trochę się tego obawiał, rozmowa potoczyła się o wiele lepiej, niż się spodziewał. Nisse przyrzekł, że będzie uważał i że zawsze będzie używał prezerwatywy, po czym objął ojca ramieniem. Ta reakcja ze strony syna zaskoczyła go, ale też i ucieszyła. Nisse docenił niejako tym samym troskę o niego, która wyrażała się w niezdarnej próbie rozmowy ojca z synem.

W odróżnieniu od brata Petra znajdowała sobie coraz to inny obiekt zainteresowania, co naturalnie nie dawało rodzicom spokoju. Knutas próbował nie zamartwiać się tym zbytnio.

Na szczęście Line i Petra miały ze sobą świetny kontakt, więc Line mówiła córce o wszystkim zupełnie otwarcie i zrozumiale.

Knutas zrobił sobie na śniadanie kanapkę i usiadł w kuchni przy stole, pijąc kawę i czytając „Gotlands Allehanda”. Nie było jeszcze wpół do siódmej, ale Knutas już czuł się rześko. Nie potrzebował wiele snu i lubił zarówno porządować sobie wieczorem, jak i wstać skoro świt.

Morderstwo już dawno przestało być tematem z pierwszych stron gazet. Ostatnio nie pojawiło się w tej sprawie nic nowego. Przez myśl przemknęła mu twarz Karin. Zastanawiał się, w jaki sposób prowadzono dochodzenie, kiedy go nie było. Nie dostrzegł jak dotychczas żadnych rażących błędów, ale dla Karin było to coś nowego. To było jej pierwsze dochodzenie w sprawie morderstwa, które musiała sama rozpocząć. Wiedział doskonale, jak ważna jest w takim przypadku wstępna faza śledztwa, by zrobić wszystko dobrze od samego początku. Często czas odgrywał decydującą rolę w ujęciu sprawcy. Minął już tydzień, a oni nadal nie mieli żadnych rezultatów. Morderca miał nad nimi sporą przewagę, więc jeżeli w najbliższym czasie nic nowego się nie wydarzy, to można się obawiać, że się im wymknie. Najprawdopodobniej już od dawna nie było go na wyspie.

Knutas wertował w roztargnieniu gazetę i wypił ostatni łyk kawy. Powinien ruszyć od razu do pracy i tam spokojnie przestudiować powtórnie cały zebrany materiał.

Do pracy nie miał daleko, zaledwie piętnaście minut na piechotę, ale już po przejściu kilku metrów spocił się. Mimo tak wczesnej jeszcze pory było aż nadto ciepło. Zadzwoił do Line, ale nie odebrała telefonu. No jasne, przecież jeszcze spali. Czasami zapominał, że nie wszyscy są takimi rannymi ptaszkami jak on.

Knutas siedział pochłonięty czytaniem protokołu z sekcji zwłok, kiedy Karin zajrzała do jego pokoju.

– Dzień dobry. Jak leci?

– Dobry, dobry. Dzięki, jakoś leci – odpowiedział. – A co u ciebie?

– Tak sobie. Kiepsko dziś spałam.

– Tak?

– To morderstwo nie daje mi spokoju, ciągle je wałkuje.

Karin westchnęła, przejechała dłonią po swoich krótko ostrzyżonych, ciemnych włosach i usiadła ociężale na gościnnym krześle Knutasa.

– Czy zdążyłeś zapoznać się już z całą dokumentacją? – zapytała ze wzrokiem skierowanym na dokumenty leżące na biurku.

– Tak, już prawie skończyłem.

Knutas wyjął fajkę z najwyższej szuflady i zaczął ją nabijać.

– I co powiesz? Że totalnie zawałam sprawę?

Karin uśmiechnęła się z przekąsem. Miała na sobie letni biały podkoszulek i spódnice w groszki.

– Że masz na sobie spódnice. To niezwykle.

– Miałam dziś na nią ochotę, bo jest gorąco. Okej? Czy chcesz oceniać mój wygląd akurat teraz, kiedy próbuję rozmawiać z tobą o dochodzeniu? Bo zaczynasz mówić nagle o innych sprawach, niezwiązanych zupełnie z tematem rozmowy.

– Wcale mi o to nie chodziło.

– A tak na serio, czy sądzisz, że popełniłam jakiś błąd podczas tej pierwszej doby, kiedy ciebie nie było?

– Absolutnie nie, wprost przeciwnie. Wygląda na to, że wszystko zrobiłaś tak, jak należy.

– Zdziwiło cię to?

– Nie. Wiem przecież, że mogłabyś zupełnie sama poprowadzić dochodzenie.

– To dlaczego tak szybko wróciłaś?

To pytanie mieszało trochę Knutasa. Postukał palcami w niezapaloną jeszcze fajkę i zaczął napełniać ją tytoniem.

– Przepraszam, czy masz mi to za złe? Jeśli tak, to wiedz, że nie chciałem, byś tak to odebrała. Ale mi głupio! Powinienem był najpierw do ciebie zadzwonić.

– Ależ, kochany Andersie, nie potrzebujesz mnie oczywiście prosić o pozwolenie na przerwanie swojego urlopu. Choć bardzo chciałabym wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś.

Na jej szyi pojawiły się czerwone plamki. Była to dobitna oznaka zdenerwowania.

– To nie ma związku z tobą czy też z twoimi kompetencjami. Po prostu nie mogłem wytrzymać. To jest takie niecodzienne morderstwo.

Karin westchnęła i zrezygnowana popatrzyła na swojego szefa.

– Czy będziesz kiedyś w stanie oderwać się od tej roboty?

– Noo... Jasne, że będę. Na pewno to rozumiesz. Po prostu będę może potrzebował tylko trochę czasu.

– Z przerażeniem myślę o tym, co się stanie, kiedy przejdziesz na emeryturę. Będziesz tu dzwonił co drugi dzień i się wtrącał.

– Tylko spokojnie! Nie skończyłem jeszcze nawet pięćdziesięciu trzech lat.

– Przepraszam – powiedziała i skrzywiła usta. – Z drugiej strony to fajnie, że wróciłaś. Tylko pozwól mi samej zająć się niektórymi sprawami.

– No jasne.

Ostatnią rzeczą, jakiej Knutas by sobie życzył, była kłótnia z Karin.

– A wracając do śledztwa, to spotkałem się wczoraj z rodzicami Petera Bovide.

– Ach tak? I jak poszło?

– Dobrze, dowiedziałem się od nich kilku ciekawych rzeczy.

Opowiedział jej w skrócie o padaczce Petera Bovide i o jego stanach depresyjnych.

– Jeżeli brał leki antydepresyjne, to musiał mieć lekarza, który mu je wypisywał?

– Oczywiście. Nazywa się Torsten Ahlberg, ale teraz właśnie wyjechał, jest na urlopie we Włoszech. Wraca w przyszłym tygodniu. Chcę z nim osobiście porozmawiać.

– A tak na marginesie, jakie wrażenie zrobili na tobie jego rodzice?

– Ojciec jest dość niezrównoważony. Skończyło się tym, że się wściekł i wyrzucił mnie z domu.

– O, kurczę. Co on zrobił?

Knutas tylko machnął ręką.

– Eee, nic takiego. Typowa reakcja osoby będącej w szoku.

W pokoju Karin zadzwonił telefon. Zanim wyszła, położyła rękę na jego ramieniu i powiedziała cicho:

– Naprawdę cieszę się, że wróciłeś, Andersie. Choć jednocześnie doprowadza mnie to do szewskiej pasji.

Knutas wstał i stanął przy oknie. Patrzył na panującą na dworze letnią sielankę, a właściwie na jej mały fragment, który można było dostrzec po obu stronach ogromnego parkingu dla klientów centrum handlowego Östercentrum koło „Coop Forum”.

Myślami wrócił do firmy Petera Bovide. Nie był ani tam, ani w jego domu. Tym zajęli się inni. Może gdyby sam tam się udał, pomogłoby mu to popchnąć śledztwo dalej. Może ukierunkowałyby go na coś. Nikt tam chyba nie pracuje w sobotę, ale mógłby się przynajmniej rozejrzeć. Knutas spojrzął na zegarek. Piętnaście po dziewiątej. Czy można zadzwonić tak wcześnie do kobiety, która właśnie straciła męża? Zaraz, oczywiście że tak, przecież mają małe dzieci. Vendela Bovide z całą pewnością już nie śpi. Wykręcił jej numer. Odczekał kilka sygnałów i zamierzał już się rozłączyć, kiedy jednak ktoś podniósł słuchawkę. Najpierw była tylko głucha cisza, a następnie odezwał się cieniutki chłopięcy głos:

– Halo.

– Tak, halo. Mówi Anders Knutas z policji. Z kim rozmawiam?

– Z Williamem.

– A czy twoja mama jest tam gdzieś obok Ciebie?

- Nie. Mama nie może rozmawiać, bo śpi.
- Śpi? I tylko ty jeden nie śpisz?
- Nie. Mikaela też tutaj jest. Chce nam się jeść. A mama tylko ciągle śpi i nie chce się obudzić.
- A rusza się?
- Nie, tylko leży i nic nie mówi. I ma taką jakąś dziwną buzię.

Knutas natychmiast wezwał pogotowie ratunkowe.

– Wyślijcie tam szybko karetkę. Kobieta leży nieprzytomna w swoim domu, a jej małe dzieci są bez opieki.

Zlecił również wysłanie policyjnego oddziału prewencji, który miał największe doświadczenie w przeprowadzaniu szybkich akcji, a następnie rzucił słuchawkę, chwycił służbową broń i zawołał Karin. Dwie minuty później siedzieli już w samochodzie, który na sygnale, z dwiema wyjącymi syrenami, pędził w kierunku Slite. Żebyśmy tylko zdążyli – pomyślał Knutas, kierując się na północ. Oby tylko nie umarła.

– Co się dzieje? – zamruczała Karin zdruzgotana. – Co jest z tą rodziną?

– Jeśli Vendela Bovide jeszcze żyje, to może dowiemy się tego niebawem.

Karin modliła się w duchu, żeby Vendela przeżyła. Zadzwoiła do rodziców Petera Bovide i poprosiła, żeby oni także przyjechali do domu Vendeli. Ktoś musi przecież zająć się dziećmi. Ktoś, przy kim czułyby się bezpieczne.

Kiedy skręcili i wjechali na podwórze przed dom rodziny Bovide, była już tam policja i karetka pogotowia. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież, więc wbiegli do środka. W całym domu wszystko było poprzewracane do góry nogami. Szuflady powysuwane, szafy porozwalane, a dokumenty, porcelana i poduszki leżały porozrzucane na podłodze. W sypialni ekipa karetki właśnie przenosiła Vendelę Bovide z łóżka na nosze. Dzieci siedziały na sofie w salonie i patrzyły na policjantów, robiąc wielkie oczy. Pomiędzy nimi leżało pudełko z ciasteczkami. W telewizji leciała jakaś kreskówka.

– To nie my tak tutaj nabałaganiliśmy – powiedział William.

– Wiem. To przecież jasne, że to nie wy – uspokoił go Knutas. Zatrzymał się bez ruchu w drzwiach wiodących z sypialni do salonu i patrzył bezradnie na Vendelę. Na jej twarzy widać było liczne sińce, a wokół jednego oka opuchliznę. Wyglądała, jakby spała głębokim snem.

W związku z pobiciem Vendeli Bovide grupa dochodzeniowo-śledcza zebrała się w sobotę po południu. Knutas zwołał naradę, którą zaczął, gdy tylko wszyscy zajęli miejsca przy stole. W kilku słowach streścił bieg wydarzeń.

– Tak więc Vendelę Bovide pobito, kopiąc ją i zadając jej ciosy zarówno w głowę, jak i w tułów. Ma liczne sińce i obrzęki, ale obrażenia te wydają się jednak powierzchowne. Zdaniem lekarzy jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Nie doznała też żadnych obrażeń wewnętrznych, z wyjątkiem złamanego żebra. Prawdopodobnie podano jej jakiś środek nasenny albo narkotyk, bo spała bardzo mocno. W szpitalu nieźle się namęczyli, żeby ją dobudzić. Dom najwyraźniej został splądrowany, być może w poszukiwaniu pieniędzy, kto wie? Kiedy dotarliśmy na miejsce, zastaliśmy tam jeden wielki bałagan. Nasi technicy szukają właśnie śladów.

– Kiedy, zdaniem lekarzy, doszło do tego pobicia? – zapytał Wittberg.

– Prawdopodobnie w nocy albo wczesnym rankiem. To cud, że dzieci się nie zbudziły. Na szczęście śpią w drugim końcu domu. Nad ranem znalazły Vendelę w łóżku, ale nie reagowała, kiedy próbowały ją zbudzić. Wiedziały, że przyjadą do nich potem dziadkowie, więc czekając, oglądały telewizję. Tylko czysty przypadek sprawił, że zadzwoniłem tam tak wcześnie.

– Kiedy to było?

– Tuż po dziewiątej.

– O co tu, do licha, może chodzić? – wyrzucił z siebie Kihlgård.

– Jak wszyscy wiemy, w branży budowlanej pogróżki i rękoczyny nie są czymś wyjątkowym – powiedział Knutas. – Zwłaszcza gdy ma się kontakt z pracownikami zatrudnionymi na czarno.

– Rosjanami – odpowiedział Kihlgård. – Broń była rosyjska.

– Tak jest. Choć tak naprawdę nie musi to jeszcze oznaczać, że zamordował go jakiś Rosjanin. Ktoś mógł na przykład kupić rosyjską broń.

– Być może morderstwo Petera Bovide nie było jednak aż tak dokładnie zaplanowane – zauważyła Karin. – Zakładamy, że kilku nielegalnie zatrudnionym robotnikom był winien pieniądze, których z jakiegoś powodu im nie wypłacił. Nie wiemy, czy zamierzali go zabić, czy może chcieli go tylko nastraszyć. Ale coś musiało pójść nie tak. Któryś z nich stracił więc panowanie nad sobą i zastrzelił go w afekcie. A teraz, gdy już go zabili, nachodzą jego żonę i domagają się z kolei pieniędzy od niej. Pytanie tylko, dlaczego nie poszli do jego współnika, Johnny'ego Ekwalla. To byłoby bowiem bardziej logiczne.

– Tak można by sądzić. Tyle że, przynajmniej jeśli mu wierzyć, on nie zajmował się wcale ani finansami, ani wypłatami – wtrącił Wittberg. – Prawdopodobnie sprawcy założyli, że Bovide ma w domu jakiś sejf albo coś podobnego. Przecież wielu przedsiębiorców ma coś takiego, i to nie tylko za granicą.

– Musimy porozmawiać z Vendelą Bovide możliwie jak najszybciej – powiedział Knutas. – Mam nadzieję, że będzie w stanie coś nam powiedzieć.

Zarówno Knutas, jak i Karin zatrzęśli się na widok Vendeli Bovide, kiedy godzinę później zjawili się w szpitalu w Visby. Z trudem można ją było rozpoznać. Jej twarz była opuchnięta, pokryta wielkimi sińcami, a górna warga zniekształcona. Niełatwo im było zachowywać się tak jak zwykle.

Vendela leżała z zamkniętymi oczami, jej ręce luźno spoczywały na kołdrze.

– Dzień dobry, Vendelo. Jesteśmy z policji – powiedziała łagodnie Karin. – To ja, Karin. Spotkałyśmy się już wcześniej. A to jest komisarz Knutas, który kieruje śledztwem.

Zero reakcji. Leżąca w łóżku kobieta nadal się nie ruszała i wciąż miała zamknięte oczy.

– Czy będziesz w stanie porozmawiać z nami przez chwilę? Musisz nam powiedzieć, kto ci to zrobił.

Powoli odwróciła głowę w stronę policjantów, otworzyła oczy, po czym je zmrużyła.

– Czy możesz zaciągnąć zasłony?

– Oczywiście.

Karin wstała i spełniła prośbę. W pokoju zrobiło się ciemno. Pomogła Vendeli unieść się do pozycji półsiedzącej. Kobieta postękiwała, wykrzywiając twarz z bólu.

– Czy możesz nam opowiedzieć, jak to się stało?

Vendela mlaskała, jakby jej całkiem zaschło w ustach. Na stoliku nocnym stała szklanka z wodą. Karin podała jej szklankę. Vendela wypła kilka łyków, po czym zaczęła mówić.

– Wczesnym rankiem ktoś zadzwonił do drzwi. Kiedy otworzyłam, na dworze stało dwóch mężczyzn, których nigdy przedtem nie widziałam. Na początku myślałam, że to włamywacze, ale oni powiedzieli, że Peter był im winien jakieś pieniądze i teraz, kiedy on nie żyje, ja mam oddać im ten dług.

Przerwała, jakby chciała odpocząć po wysiłku. Wypowiadając słowa, przymykała oczy i oddychała z przerwami, jakby każdy oddech sprawiał jej ból. Karin przysłuchiwała się w

napięciu.

– Zapytałam, ile Peter był im winien. Odpowiedzieli, że trzysta tysięcy. Powiedziałam im więc, zgodnie z prawdą, że nie mam tyle pieniędzy i nie wiem, skąd je wziąć.

– A co się stało potem?

– Nie uwierzyli mi. Zaczęli mi grozić i mówili, że jak nie zapłacę, to będzie ze mną źle.

– I co wtedy zrobiłaś?

– Próbowалаm wyjaśnić im, że nie trzymamy pieniędzy w domu, lecz w banku.

– Jak na to zareagowali?

– Sami widzicie jak.

Vendela wzdrygnęła się, jakby chciała strząsnąć z siebie te nieprzyjemne wspomnienia.

– Jak oni wyglądali?

– Jeden był dość wysoki i szczupły. Miał gdzieś z metr osiemdziesiąt pięć, jasne włosy i kolczyk w języku. Drugi był niższy, miał może z metr osiemdziesiąt i ciemne włosy, ale był lepiej zbudowany i bardziej umięśniony.

– W jakim byli wieku?

– Dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat.

– Jak byli ubrani?

– W dzinsy i podkoszulki. Jeden miał czarne, masywne buty, a ten drugi chyba adidas. Ręce jednego z nich były całe wytatuowane. I nie byli to Szwedzi. Mówili łamaną angielszczyzną.

– Czy widziałaś ich już kiedyś?

– Tak mi się wydaje.

– Kiedy to było?

– Przyszli już raz wieczorem i rozmawiali z Peterem. Było to zaledwie na kilka dni przed naszym wyjazdem na Fårö.

– Co mówili?

– Nie wiem, bo rozmawiali na dworze. Peter był zdenerwowany, kiedy wrócił domu. Chodziło zdaje się o to, że pracowali u niego na czarno i żądali pieniędzy, których Peter nie miał.

– Powiedziałaś, że mówili łamaną angielszczyzną, tak? A czy wiesz, skąd pochodzili?

– Sądząc po akcencie, mogli pochodzić z Finlandii albo z jakiejś republiki nadbałtyckiej.

Niczego więcej nie dowiedzieli się od Vendeli Bovide. Pokazali jej zdjęcia notowanych przestępców, ale nie była w stanie rozpoznać na nich żadnego z napastników. Przez całą sobotę grupa dochodzeniowo-śledcza zajmowała się pobiciem wdowy i związkiem tego zdarzenia z morderstwem jej męża. Przeprowadzono wywiad z okoliczną ludnością i okazało się, że jeden ze świadków widział tego ranka przejeżdżający samochód na estońskich numerach rejestracyjnych. Informację tę uznano za bardzo interesującą.

Późnym popołudniem wydawało się jednak, że z Knutasa uszło już całe powietrze. Siedział w swoim pokoju i trzymał w ustach niezapaloną fajkę, podczas gdy myśli szalały mu po głowie niczym kolejka górską w wesołym miasteczku. Zastanawiał się nad znaczeniem niecodziennego przebiegu morderstwa. Z jednej strony wskazywał on na bezwzględnego mordercę pozbawionego jakichkolwiek skrupułów, który bez mrugnięcia okiem strzela z bliska do ofiary. Z drugiej strony zupełnie bezsensowne strzały w brzuch wskazywałyby raczej na sprawcę, który stracił panowanie nad sobą i działał w afekcie. Na mordercę, którego łączył z ofiarą jakiś silny związek emocjonalny. Gdyby więc pójść tym tropem, trzeba by wykluczyć zabójstwo na zlecenie. Sprawca najprawdopodobniej znał ofiarę i był z nim w jakiś sposób emocjonalnie związany. Przemawiał za tym także fakt, że strzelał do Petera Bovide od przodu.

Według Knutasa to wszystko nie pasowało do siebie. Nic bardziej sensownego nie przychodziło mu jednak do głowy. Pomyślał więc, że równie dobrze może już pójść do domu. Line była w dalszym ciągu z dziećmi na wsi. Cieszył się na myśl, że będzie mógł usiąść zupełnie sam w ogrodzie i napić się zimnego piwa. Może wtedy coś go olśni.

Kiedy dotarł do domu, zadzwoniła Line. Sądząc po głosie, była w dobrym nastroju.

– Byliśmy na plaży przez cały dzień, tu jest tak fajnie. Woda ma dwadzieścia trzy stopnie. A Nisse obraca właśnie na grillu kotlety z łososia. Ponieważ nie ma tu ciebie, to teraz on został mistrzem grilla – zaśmiała się. – Ja natomiast sączę sobie z kieliszka zimne białe wino. Powinieneś tu być z nami, kochanie. Czy naprawdę nie możesz przyjechać?

Knutas opowiedział jej o pobiciu Vendeli Bovide.

– No nie, coś straszego! Żeby wdzierać się w taki sposób do domu samotnej kobiety, która na dodatek ma dzieci! To muszą być jakieś wyjątkowo brutalne typy. Czy myślicie, że to oni zamordowali jej męża?

– Tak właśnie przypuszczamy. Ale uciekli i obecnie mogą być już z powrotem w swoim kraju.

– A czy wiecie, skąd pochodzą?

– Sądzymy, że mogą to być Estończycy.

– Nie wygląda to raczej na robotę profesjonalistów. Czy nie powinni byli użyć fałszywych numerów rejestracyjnych?

– Tak można by sądzić. Tyle jest sprzeczności w tej sprawie.

– Czy skontaktowaliście się z estońską policją?

– No pewnie. Mamy nadzieję, że ich dorwiemy.

– No cóż, mój skarbie. Widzę, że masz dużo do roboty.

Knutas poczuł nagle, jak bardzo się za nią stęsknił. Ale nic nie powiedział. Usłyszał, jak Nisse woła coś z oddali.

– Muszę pomóc Nissemu przy kotletach. Może zadzwonimy się jutro rano?

– Oczywiście. Pozdrów ode mnie dzieciaki.

– Dobrze.

Zdażył wypić dwa piwa, gdy znów zadzwonił telefon. To była Karin.

– Cześć, Knutte. Co u ciebie?

W tle słychać było śmiech, wesołe okrzyki i brzęk szkła. Musiała być zapewne gdzieś w jakiejś knajpce. Jediną osobą, która zwykła nazywać go Knutte, był Kihlgård, a Karin dobrze wiedziała, że nie znosił tego przydomka³.

– Piłaś coś? Czy nie za wcześnie na to?

Karin najwyraźniej nic sobie nie robiła ze zgryźliwego tonu swojego szefa.

– Thomas i ja siedzimy w „Packhuskällaren”. Zjedliśmy kolację i rzeczywiście wypiliśmy sporo wina – zachichotała. – I parę drinków. Uważam, że było nam to potrzebne. Tak sobie myślimy, czy nie chciałbyś do nas dołączyć. Bo siedzisz tam pewnie sam, prawda? Czy reszta twojej rodziny nie jest teraz na wsi?

³ Knutte jest w Szwecji określeniem członka gangu motocyklowego.

– Rzeczywiście tak jest. Chociaż tak naprawdę, to zamierzałem właśnie zrobić sobie coś do jedzenia.

– No, to zjedz lepiej coś tutaj i napij się z nami trochę wina. Widujemy się przecież tylko w pracy.

– Chodź już do nas, do licha ciężkiego! – zaryczał Wittberg.

Przez krótką chwilę Knutas zastanawiał się, jak powinien postąpić.

– Okej. Już idę.

Knutas wsiadł na rower. Na mieście panował zupełnie inny nastrój niż w jego głowie. Ubrani w letnie wieczorowe kreacje turyści krążyli po brukowanych uliczkach w obrębie murów miejskich. W drodze do albo z restauracji i barów. Kluby nocne otwierano znacznie później. Już od dwóch tygodni panował upał, więc co niektórzy zdążyli się całkiem ładnie opalić. Spojrzał na swoje ramiona wystające spod koszulki tenisowej z krótkimi rękawami. Były niebywale blade jak na tę porę roku. Nie miał czasu pojechać na wieś. Po tym jak przerwał urlop, nie miał okazji ani się opalić, ani też wykąpać w morzu.

W powietrzu czuło się prawdziwy klimat dobrej zabawy, a na ulicach było tak radośnie i miło, że i jego nastrój się poprawił. Nie chciał też przepuścić okazji zobaczenia Karin na rauszu. Nie mógł sobie przypomnieć ani jednego takiego przypadku, mimo że bywali już razem na wielu zakrapianych spotkaniach. Karin zawsze jednak się kontrolowała. Może to jej olbrzymia wewnętrzna samodyscyplina nie pozwalała jej stracić głowy. W gruncie rzeczy była tak nieduża, że nie trzeba było wielkich ilości alkoholu, aby ją upić.

Karin i Wittberg siedzieli na zewnątrz lokalu przy jednym ze stojących w rogu stolików i gdy nadchodził, oboje zaczęli z entuzjazmem machać do niego rękami.

– Cześć! Super, że udało ci się przyjść!

Karin posłała mu tak szeroki uśmiech, że aż widać było szparę pomiędzy przednimi zębami. Zrobiła mu miejsce na sofie obok siebie. Jak udało się jej tak mocno opalić? – pomyślał. Jakoś nie zauważył tego wcześniej. Zamówił piwo i stek wołowy.

Kiedy czekał na swoje danie, Karin zapaliła papierosa.

– Znowu palisz? – zapytał Knutas. – Co dziś jest tego powodem: balanga czy kłopoty?

– A jak myślisz? – szturchnęła go po przyjacielsku. – Ach, tak tylko sobie popalam od święta.

– Tak, tak. Zawsze tak to się mówi.

– Mój Boże, gadacie jak jakieś stare dobre małżeństwo – zaśmiał się Wittberg.

Knutas spojrzał na Karin. Rozbawiło go, gdy spostrzegł, że się zarumieniła.

– Tak, prawie że nim jesteśmy – powiedział. – Pracujemy w końcu razem od tylu lat.

– Może zbyt długo.

– Na pewno nie. Mam nadzieję, że zawsze będziemy pracować razem. Jesteśmy idealnie zgranym zespołem.

Wzniesli toast. Knutas rozluźnił się i stwierdził, że dawno już nie był w tak dobrym nastroju. Najwyraźniej tego właśnie teraz potrzebował. Wittberg miał wyśmienity humor. Był uwodzicielem, który cieszył się u kobiet wielkim powodzeniem nie tylko z powodu swojej sylwetki windsurfera. Był też jedną z najzabawniejszych osób, jakie Knutas znał. Tak żartował, że Knutas i Karin śmiali się do rozpuku.

Kilka godzin później nadeszła pora na ostatnie zamówienie, bo zamykano restaurację.

– Ale przecież możemy pójść do mnie – zaproponowała Karin.

Knutas zawahał się. Czuł się lekko podpity, a jutro czekał ich zwykły dzień pracy, mimo iż była to niedziela.

– No, chodź. Wypijemy tylko po jednej lampce, tak na dobry nastrój. Mój Boże, jak często chodzimy zabawić się do knajpy? Wiecznie tylko pracujemy.

– Okej. Ale tylko na jednego drinka.

Była przecież dopiero godzina pierwsza, a w domu i tak nikt na niego nie czekał.

Wyszli z restauracji i udali się w kierunku ulicy Mellangatan. Knutas prowadził rower. Kiedy byli już prawie na miejscu, Wittberg się zatrzymał.

– Słuchajcie, ja się jednak boję. Alkohol uderzył mi już do głowy. Czuję, że zbyt dużo wypilem. Będzie lepiej, gdy pójdę do domu i położę się spać.

– Ale dlaczego? Jesteś tego pewien? – zapytała Karin. – Nie pójdziesz z nami?

– Nie, naprawdę nie mogę. Do jutra.

Karin spojrzała na Knutasa. A on zupełnie nie mógł się zdecydować, co powinien teraz zrobić.

– Czy zajrzysz choć na chwilę?

– Pewnie – wymamrotał i poczuł się zażenowany jak jakiś ucniak. Przecież to tylko Karin, jego wieloletnia koleżanka z pracy.

Wbiegli na czwarte piętro. Przed jej drzwiami wstrzymał oddech, żeby nie dostrzegła jego kiepskiej kondycji. Ostatnio zabrakło mu również czasu na ćwiczenia.

Knutas był już kiedyś w domu Karin, ale to było dawno temu. Urządziła wtedy małą imprezę dla znajomych.

Zapomniał już, jak urocze było jej mieszkanie. Duże deski podłogowe, wysoki sufit, sztukateria i styl ludowy obok nowoczesnych mebli. Przytulne i urządzone ze smakiem.

Widok z okna też był niezły, chociaż o tej porze w panujących na dworze ciemnościach można było tylko się domyślać, że gdzieś tam jest morze.

– *Good morning* – zawołał z entuzjazmem Vincent, gdy tylko zapaliło się światło. Knutas dotknął ostrożnie papugi, która królowała w klatce na środku salonu.

– Że też ją jeszcze masz – zawołał w stronę kuchni, gdzie akurat poszła Karin.

– Tak, chyba nigdy się jej nie pozbędę.

Przyniosła z kuchni butelkę szampana i dwa kieliszki.

– O, nieźle.

– Trochę się już schłodził, więc możemy go chyba wypić. Uwielbiam szampana. Czy chcesz czegoś posłuchać?

– Czy masz „Weeping Willows”?

– No jasne. – Uniosła z uznaniem brwi. – Myślałam, że wymienisz „Simona & Garfunkela” czy coś równie przestarzałego.

Wszyscy na komendzie żartowali sobie z Knutasa, że jeździ starym mercedesem i roni łzy, słuchając „Bridge Over Troubled Water”.

Karin usiadła na fotelu, a Knutas wybrał kanapę z uwagi na swoje długie nogi. Zapaliła kilka świeczek na stole i nalała do kieliszków lodowatego szampana.

– Boże, ale dobry – powiedział Knutas. – Naprawdę smaczny.

– No nie? Szampana powinno się pić częściej.

Ucichli na chwilę.

– A jak ci się teraz wiedzie? – zapytał Knutas oficjalnie.

– Chodzi ci o to, jak się czuję? Dobrze, świetnie, naprawdę bardzo dobrze.

– No to super.

Wypił łyk szampana. Że też ona zawsze musi być taka tajemnicza. On mówił jej prawie o wszystkim. W pracy właśnie z nią najlepiej mu się rozmawiało i to ona wiedziała najwięcej o nim i o Line. Tylko o ich ostatnim kryzysie nie zdążył jej jeszcze nic powiedzieć.

Z drugiej zaś strony on sam bardzo mało wiedział o jej życiu. Miała prawie czterdzieści lat i była według niego atrakcyjną kobietą, ale od lat samotną. A przynajmniej nigdy nic nie słyszał o żadnym jej partnerze. Czasem ją oczywiście pytał, ale wyraźnie dawała mu odczuć, że nie chce o tym mówić. Przestał zatem wypytywać ją o życie prywatne. Natomiast chętnie opowiadała mu o wszystkich sprawach codziennych i trywialnych. O piłce nożnej, która zajmowała ważne miejsce w jej życiu, o kumplach i o tym, co robiła. Lecz nie o swoim samopoczuciu, swoich problemach, a już na pewno nie o uczuciach.

Rozmowa nie kleiła się. Jak gdyby fakt, że znaleźli się zupełnie sami w mieszkaniu

Karin w środku nocy, wpłynął na nich bardziej, niż im się może zdawało na początku, kiedy Karin wpadała na pomysł, żeby poszli do niej do domu.

– Czy chciałbyś coś przekąsić?

– Chętnie.

Wstała i poszła do kuchni. Jest taka mała i szczupła – pomyślał. Zupełnie inna niż Line. Wkrótce wróciła z miską pełną słonych precelków.

– Akurat niczego więcej nie mam w domu. Mam nadzieję, że nadają się do jedzenia.

Usiadła obok niego na kanapie. Knutasowi zaschło w gardle. Wypił kolejny łyk szampana. Rozmowa toczyła się wprawdzie dalej, ale z trudem był w stanie skoncentrować się na niej, gdyż znalazł się w tak nietypowej dla siebie sytuacji. Chrząknął i spojrzał na zegarek.

– No nie! Muszę zbierać się do wyjścia.

Żałował, że nie ugryzł się w język. Jak mógł wyrazić się w tak sztywny sposób? Jak jakiś stary dziad. Wstał z kanapy zły na siebie. Może trochę za szybko.

– Aha, no tak – powiedziała Karin i odgarnęła część grzywki z czoła. Odprowadziła go do przedpokoju. Przy drzwiach nachylił się, żeby ją uścisnąć na pożegnanie. Raz jeszcze uderzyło go, że była taka niska. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Karin pocałowała go prosto w usta. Jeden szybki, słodki pocałunek. Ale jednak.

– Na razie! – powiedziała i otworzyła drzwi wejściowe.

– Cześć! Widzimy się jutro.

– Raczej już dzisiaj.

Uśmiechnęła się. I znowu ta jej szpara między zębami.

Emmę obudził jej własny krzyk. Koszmarny sen skończył się tym, że spadła wprost w głęboką przepaść.

Zerwała się i szybko usiadła na łóżku. Oddychała ciężko i wpatrywała się w ciemność. Łóżko było duże i ciepłe niczym bezludna pustynia. Przez chwilę siedziała w zupełnym milczeniu, z trudem była w stanie myśleć. Ogarnęło ją uczucie samotności, która wydawała się nie mieć końca.

Z łóżka Elin nie dochodził żaden odgłos. Nagle zaniepokoiła się, że coś jest nie tak. Wygramoliła się z pościeli i poszła zajrzeć do córki. Elin leżała spokojnie w samych tylko pieluszkach i białych rajstopkach. Musiało jej być ciepło, bo nóżką zsunęła z siebie cienki kocyk.

Emma ponownie położyła się pod kołdrą. Wpatrywała się tępym wzrokiem w sufit i zrozumiała, że tęskni za Johanem. Wprawdzie już przedtem jej ciało ciągnęło do niego, ale rozum mówił kategoryczne „nie”. Czyżby ten zły sen tak ją wycieńczył, że już nie była w stanie trzeźwo myśleć?

Chciała natychmiast do niego zadzwonić. Było wprawdzie tuż po trzeciej, ale może jeszcze nie spał, była to przecież sobotnia noc. Mógłby wziąć taksówkę i przyjechać do niej. Za godzinę mógłby naprawdę leżeć tutaj obok niej. Ta myśl była tak kusząca, że wstała z łóżka i poszła szybko do przedpokoju. Podniosła słuchawkę i wybrała jego numer, zanim jeszcze zmieni decyzję. Serce waliło jej jak młot, gdy odliczała sygnały telefonu. Jeden, drugi, trzeci. Może jednak położył się już spać. I wtedy usłyszała, że ktoś zgłasza się po drugiej stronie. Po sekundzie odezwał się jakiś kobiecy głos:

– Witam, z telefonu Johana mówi Madde.

Emma zdążyła pojąć, że w tle panowała głucha cisza. Najpierw ją zamurowało i nie wiedziała, co powinna dalej zrobić. Była zupełnie nieprzygotowana na to, że telefon odbierze jakaś kobieta. Kim do licha jest ta Madde? Chwilę później przypomniała sobie. To była Madeleine Haga, korespondentka wiadomości ogólnokrajowych, pracująca dla programów

„Aktuell” i „Rapport”. Siedzieli pewnie w redakcji i pracowali. Może zdarzyło się jeszcze coś, co ma związek z morderstwem. Ulżyło jej do tego stopnia, że aż zakreśliło jej się w głowie.

– Witam, z tej strony Emma, to znaczy Emma Winarve. Czy mogę mówić z Johanem?

Kobieta przez chwilę zastanawiała się, po czym odrzekła:

– W tej chwili bierze prysznic. Czy mam mu powiedzieć, żeby do pani oddzwonił?

Emma nic nie odpowiedziała, ponieważ już się rozłączyła.

Niedziela, 16 lipca

Śledztwo w sprawie morderstwa Petera Bovide utknęło w miejscu i nie następował w nim żaden przełom. Sprawca wciąż pozostawał na wolności.

Kontrola w firmie „Slite Bygg” wykazała, że Peter Bovide przyjął zbyt wiele zleceń, których nie był w stanie zrealizować przy udziale swoich pracowników. Przypuszczenia, że zatrudnia pracowników na czarno, znalazły więc potwierdzenie. Obecnie firma wykonywała kilka zleceń. Największym była budowa willi na Furillen, a kolejnymi budowa w Stenkyrkehuk oraz remont restauracji koło kempingu w Åminne.

W niedzielę Knutas postanowił, że obejrzy te trzy miejsca, jeżeli zdąży. Miał nadzieję, że trafi tam na jakiegoś robotnika, który odważy się puścić parę z ust. A ponieważ ani mu się nie spieszyło, ani też nie chciał zwracać niczyjej uwagi, wziął swój prywatny samochód, czyli starego mercedesa. Właściwie już od dawna był to wysłużony samochód, ale Knutas jakoś nie mógł się z nim rozstać, mimo nacisków ze strony Line. Skończyło się tym, że na własną rękę kupiła sobie samochód. Był zaskoczony, kiedy wracając pewnego wieczora z pracy, zobaczył na ich miejscu parkingowym nowiuteńką toyotę, ale nie mógł ani trochę zganić Line za ten krok. Cierpliwość ma przecież swoje granice. I rozumiał to nawet on.

Piękna pogoda utrzymywała się w dalszym ciągu ku zadowoleniu turystów. Słońce zamierzało pozostać chyba nad Gotlandią na dłużej, toteż kąpieliska się zaludniły.

Knutas szybko znalazł się za miastem i zdawał się napawać gotlandzką sielanką, którą widział po drodze. Dobrze podtuczone zwierzęta pasły się na łąkach przylegających do gospodarstw, a pobocza dróg porastały obficie czerwonawe maki i niebieskie cykorie. Na niektórych odcinkach wzdłuż drogi ciągnęło się lśniące morze. Widać było falujące na wietrze łany zbóż i kredowobiałe ściany kościołów. Kochał tę wyspę, swoje rodzinne strony, i nie wyobrażał sobie, aby kiedykolwiek miał się stąd wyprowadzić. Mieszkał na Gotlandii od urodzenia. Miał szczęście, że Line zgodziła się tutaj przeprowadzić. Szczerze powiedziawszy, wątpił w to, że sam zrobiłby coś podobnego dla niej.

W drodze do Slite zadzwonił do szpitala, żeby zapytać o stan zdrowia Vendeli Bovide. Zdaniem lekarza powinna pozostać u nich jeszcze parę dni. Złamane żebro nadal bardzo ją bolało, ale pozostałe obrażenia były powierzchowne. Ci, którzy ją pobili, najwyraźniej chcieli

ją tylko nastraszyć. Knutasowi robiło się niedobrze już na samo wspomnienie wyglądu Vendeli, kiedy ją znaleźli. Nie mieściło mu się w głowie, jak można w ogóle uderzyć kobietę.

Postanowił zacząć od willi na Furillen. Wprawdzie nie sądził, że w niedzielę zastanie tam kogokolwiek, ale nigdy przecież nie wiadomo.

Furillen było dziewiczą, odludną wyspą o powierzchni pięciuset hektarów, leżącą na północno-wschodnim wybrzeżu Gotlandii. Występowały na niej różnorodne twory natury: gęste lasy, piaszczyste i kamieniste plaże, góry, pagórki, strome skały wapienne i wrzosowiska. Kiedyś na wielką skalę wydobywano tam bryły wapienia. Z tamtego okresu do dziś jako relikty przeszłości zachowały się między innymi stare budynki fabryczne.

Grupa entuzjastów z Göteborga przekształciła fabrykę w hotel i restaurację. Kilka budynków zajęło wojsko. Większa część wyspy nie była jednak zamieszкана. Wiódł na nią długi most. Na podstawie mapy Knutas wywnioskował, że plac budowy znajdował się dokładnie powyżej starej fabryki. Skręcił w zwirową drogę pokrytą wapiennym pyłem i piął się nią w górę, mijając budynki fabryczne. Nie było widać żywej duszy.

Kiedy za hotelem wjechał na sam szczyt góry, jego oczom ukazał się wspaniały widok na morze oraz Kyllaj, które leżało na samym końcu Gotlandii niczym jej ostatni bastion. Była to odludna osada nad zatoką Valleviken, żyjąca niegdyś z żeglugi morskiej i wydobywania kamienia, a dziś przyciągająca już tylko turystów.

Bez problemu znalazł plac budowy. Na rozległej działce z widokiem na morze i okoliczne wysepki stał nowo wybudowany dom, który wyglądał na prawie gotowy. Była to elegancko otynkowana dwupiętrowa willa z wielkimi oknami wychodzącymi na południe. Obok niej znajdował się garaż na dwa samochody, a do głównego wejścia wiodły zaokrąglone kamienne schody z filarami po obu stronach. Wyglądało to na własność jakiegoś nowobogackiego, który chciał pokazać, na jaki luksus go stać. Knutas zaparkował przed domem. Nikt się nie zjawił. Z tyłu był ogromny, drewniany, kilkukondygnacyjny taras z basenem i widokiem na morze.

Jakiś kuter rybacki zmierzał ku Kyllaj w towarzystwie gromady pokrzykujących mew, które w równych odstępach czasu zlatywały na pokład. Knutas usiadł na koźle stolarskim i nabił fajkę tytoniem. Zapalił ją i zaciągnął się. W myślach mignął mu obraz zmasakrowanego ciała Petera Bovide i jego żony. O co w tym wszystkim chodzi? Czy o to, że Peter Bovide był winien pieniądze pracującym dla niego na czarno robotnikom? Jeśli tak, wówczas musiało chodzić o coś więcej niż trzysta tysięcy. Ale zamordowanie zadłużonego człowieka było zupełnie pozbawione logiki. Późniejsze pobicie wdowy raczej nie świadczy o tym, że ktoś to sobie dokładnie zaplanował. Może więc chodziło o coś zupełnie innego? – pomyślał Knutas,

przyglądając się willi.

Wstał i zajrzał przez okna do wnętrza budynku. Podziwiał kamienny, otwarty kominek, podłogę wyłożoną kamykami morskimi, całkowicie wykafelkowaną łazienkę z sauną oraz z wyjściem na taras, błyszczącą, supernowoczesną kuchnię, wyposażoną we wszelki niezbędny sprzęt AGD. Wszędzie widać było mozaiki, kafelki i klinkier. Zastanawiał się, któż to taki zamierza się tu wprowadzić.

Nagle ciszę przerwał odgłos silnika nadjeżdżającego pojazdu.

Poszedł na sam koniec płaskowyzu i spojrział w dół. Drogą jechała jakaś spora furgonetka, która akurat przy hotelu skręciła w bok i zmierzała w górę ku miejscu, w którym stał.

Nagle Knutas się zaniepokoił. Wprawdzie udał się na plac budowy, żeby porozmawiać z robotnikami, ale jednocześnie całkiem możliwe, że sprawca był właśnie jednym z nich. Był tu zupełnie sam, bez służbowej broni, więc nie miałby żadnych szans, gdyby groziło mu jakieś niebezpieczeństwo. Był zły na siebie, że nie poprosił nikogo, aby pojechał razem z nim. Najmądrzej byłoby ukryć się, poczekać i zobaczyć, kto przyjechał furgonetką. Rozejrzał się dookoła. Czy zdąży ukryć gdzieś swój samochód? Szybkim szarpnięciem otworzył drzwi i włożył kluczyk do stacyjki. Pojechał jeszcze kawałek dalej drogą wiodącą wzdłuż działki budowlanej.

Ledwo zdążył minąć zakręt, a już w lusterku zobaczył furgonetkę. Kiedy zniknął z pola widzenia, zgasił silnik i opuścił szybę, żeby lepiej słyszeć, co się dzieje. Ktoś trzasnął drzwiami samochodu. Usłyszał ludzi mówiących w jakimś obcym języku. Brzmiał on jak fiński, ale był nieco bardziej miękki. Być może był to estoński. Jeden ze świadków widział przed domem Vendeli Bovide samochód na estońskich numerach rejestracyjnych. Czyżby przyjechali tu ci, którzy ją pobili?

Knutas był cały spięty. Ostrożnie otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Wycofywał się, idąc ciągle skrajem lasu. W końcu stanął za grupą drzew i krzaków, skąd mógł wszystko doskonale obserwować.

Dwóch młodych mężczyzn wyszło z willi, niosąc coś, co przypominało pralkę automatyczną. Trzeci mężczyzna czekał przy furgonetce i pomagał im przy załadunku. Zaraz potem znowu znikli i powrócili tym razem z wysoką lodówką z nierdzewnej stali. O rany! – pomyślał Knutas. Wynoszą z domu całe wyposażenie. Grzebał nerwowo w kieszeniach w poszukiwaniu telefonu komórkowego, a gdy go wreszcie znalazł, zadzwonił do Karin. Zaklął, kiedy włączyła się jej poczta głosowa. Spróbował zadzwonić do Wittberga. To samo. Co za cholerny pech! Czy wszyscy byli nieosiągalni tylko dlatego, że była akurat niedziela? Wybrał

numer oddziału kryminalnego. Odebrał Kihlgård w typowy dla niego dziarski sposób, chociaż słyhać było, że usta miał pełne czegoś, co nadawało się do jedzenia.

– Kihlgård.

– Cześć, to ja, Knutas.

– Cześć, Knutte.

– Jestem na jednej z budów, które realizuje firma Petera Bovide. Postawili luksusową willę na Furillen i w tej chwili jakaś banda wynosi z domu cały sprzęt.

– Dlaczego tak szepczesz?

– Bo jestem tylko kilka metrów od nich.

– Okej. Czy jesteś sam?

– Niestety tak. I nie mam nawet broni, więc boję się interweniować.

– Nie rób tego, do licha ciężkiego. Co to za ludzie?

– Trzej młodzi, wytatuowani faceci z kolczykami w uszach. Myślę, że to Finowie, a może i mieszkańcy republik nadbałtyckich.

– Powiedziałeś, że gdzie jest ta budowa?

– Na Furillen, tuż powyżej tej starej fabryki, którą przekształcono w hotel.

– Furillen – a co to takiego?

– Wyspa, do cholery – syknął Knutas. – Nie będę ci tłumaczył, jak tu dojechać. Skontaktuj się z resztą i przyjedźcie tu koniecznie. Tylko migiem, do diabła.

– No, jasne. Nie ruszaj się stamtąd. Zaraz do ciebie jedziemy.

– Zróbcie to jak najszybciej, tylko nie jedźcie samochodami służbowymi na sygnale. I zadzwonię do mnie, kiedy będziecie już na moście wiodącym na wyspę. Musicie poczekać na mój znak. Dopiero potem możecie przejechać obok hotelu, bo stąd dokładnie was widać. Ta budowa znajduje się akurat powyżej niego.

– Okej. Od razu ruszamy. Mówisz, że ilu ich jest? Czy sądzisz, że są uzbrojeni?

– O cholera!

– Co jest, Knutte?

– Ktoś tu idzie. Zadzwońię potem.

Knutas rozłączył się z Kihlgårdem. Jeden z mężczyzn zmierzał prosto w stronę jego kryjówki. Serce stanęło mu w gardle. Zastanawiał się, czy go nakrył. Ten tyczkowaty facet miał głowę ogoloną na łyso, a na tułowiu mnóstwo tatuaży. W tylnej kieszeni jego szortów połyskiwało ostrze noża.

W napięciu wodził wzrokiem za tym młodym mężczyzną. Gdyby kiwnął choćby palcem w bucie, zdemaskowałby się.

Rzucił okiem na pozostałych. Kontynuowali wynoszenie rzeczy z domu.

Zaraz potem Knutas zrozumiał, co miało nastąpić. Mężczyzna grzebał w portkach, najprawdopodobniej chciał się wysikać, i to zaledwie kilka metrów od niego. Knutas schylił głowę i wlepił wzrok w ziemię, modląc się po cichu, by go nie nakryli.

W tym momencie zadzwonił jego telefon komórkowy.

Mimo iż Johan czuł się tak fatalnie po pierwszej nocy spędzonej z Madeleine Haga, dał się jej ponownie zrobić w konia. W sobotę wieczorem cała ich paczka udała się do „Munkkällaren”. Spotkał tam wielu kolegów z branży przebywających na wyspie, więc zrobili sobie poprawiny w małej kawalerce Johana. Madeleine została u niego na noc. Kiedy rano otworzył oczy, czuł się chyba nawet jeszcze gorzej niż za pierwszym razem i marzył tylko o tym, żeby wyjść z domu. Zaproponował jej, że zjedzą śniadanie w kawiarni na rynku Stora Torget.

Wypili cafe latte, zjedli croissanty i przeczytali poranne gazety. Prowadzili ostrożną rozmowę, koncentrując się na tak niewinnych tematach, jak brak pomysłów i metod przygotowywania dalszych sprawozdań.

– No tak, jeżeli dzisiaj nie wydarzy się nic nowego, to będę musiała jechać do domu – westchnęła Madeleine. – Ja, która tak dobrze czuję się tutaj, na Gotlandii.

Spojrzała na niego zaczepnie i kopnęła go jednocześnie w kostkę swoim sandałem.

Johan nie wiedział, jak ma na to zareagować. Uśmiechnął się sztywno i wyciągnął telefon komórkowy, żeby sprawdzić, czy odezwał się Knutas. Johan dzwonił do niego bezowocnie kilka razy w ciągu weekendu. Jednak komisarz nie oddzwonił, choć zawsze to robił.

Przeglądając listę rozmów przychodzących, zobaczył ku swemu zaskoczeniu numer Emmy. Dzwoniła do niego o godzinie trzeciej czternaście w nocy. Rozmowa była oznaczona jako odebrana. Ale nie przez niego. Spojrzał na Madeleine, która siedziała pochłonięta czytaniem gazety. Zauważył, że miała kruszynki croissanta w kąciku ust.

– Czy odebrałaś jakąś rozmowę do mnie na komórkę?

Nie odpowiedziała. Czytała dalej gazetę, jakby nie słyszała, że się do niej zwraca.

– Halo! – Johan pochylił się w jej stronę i podniósł głos. – Czy odebrałaś jakąś rozmowę, gdy ktoś dzwonił do mnie na komórkę?

Podniosła głowę.

– Co? A, tak. W nocy, gdy brałeś prysznic. Zapomniałam ci o tym powiedzieć. Byłeś tak napalony, gdy wyszedłeś z łazienki, że myślałam wtedy o zupełnie innych sprawach.

Okruszek spadł z kącika jej ust do filiżanki z kawą, ale nawet tego nie spostrzegła.

– Kto to był?

– To była Emma. Przepraszam, Johanie – powiedziała grzecznie. – Zapomniałam o tym.

– Co powiedziała?

– Chciała z tobą rozmawiać. Powiedziałam jej, że jesteś pod prysznicem, ale wtedy natychmiast się rozłączyła.

Johan zerwał się na równe nogi.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? To mogła być przecież jakaś ważna sprawa. Może coś jest nie tak z Elin albo coś się stało.

– Nie musisz się tak denerwować – powiedziała kwaśnym tonem. – To chyba nie moja wina, że odłożyła słuchawkę.

Johan odszedł od stolika bez słowa. Był wściekły. Co też Emma sobie o nim pomyśli? Pomyśli oczywiście o tym, co faktycznie się wydarzyło. Że spał z inną. Wybrał numer Emmy, idąc szybkim krokiem w kierunku ulicy Adelsgatan i spoglądając jednocześnie na zegarek. Było piętnaście po jedenastej i świeciło słońce.

Telefon komórkowy Emmy również nie odpowiadał. Pewnie jest na plaży z Elin. Oboje kochali plażę. Nagle zachciało mu się płakać. Jak mógł się tak zachować jak idiota?

Szybko zdecydował, co powinien zrobić. Przebiegł całą drogę do siedziby radia i telewizji, gdzie stał jego samochód. Wskoczył do samochodu i wyjechał z Visby na drogę wiodącą do Roma.

Knutas przywarł całym ciałem do ściany domu i robił wszystko, aby nie było słychać jego zziwania.

Kiedy wytatuowany mężczyzna drgnął, słysząc podzwanianie telefonu komórkowego, Knutas natychmiast odrzucił od siebie aparat telefoniczny. Miał szczęście, że mężczyzna zaczął już oddawać mocz, bo dało mu to pewną przewagę.

Mężczyzna zawołał swoich kumpli i zaraz cała trójka rozeszła się po lesie. Ukryty kawałek dalej za drzewem Knutas doszedł do wniosku, że najbezpieczniej będzie dla niego, gdy pobiegnie z powrotem w stronę domu. Zdażył zawiadomić kolegów, więc pewnie już są w drodze. Musiał tylko poczekać, aż tu dojadą.

Przez sekundę jeszcze się wahał. Potem wyłonił się jednak z lasu i popędził ile sił w nogach przez podwórze. Wycofywał się, trzymając się ciągle w miarę blisko ściany domu i spoglądając przez cały czas w kierunku lasu. Żwir chrzęścił mu pod nogami. Jeszcze tylko kawałek. Zaszło mu w ustach i próbował ciszej oddychać.

Zauważył, że drzwi prowadzące do domu były otwarte na oścież. Szybko wbiegł do salonu, a następnie na schody wiodące na piętro. Pokonał je kilkoma susami i nagle znalazł się w pokoju przypominającym atelier o niesamowicie wysokich ścianach i z wielkim, okrągłym oknem, przez które widać było morze. Naraz usłyszał, jak na parterze otwierają się drzwi wejściowe. A niech to, już wrócili!

Nie ważył się nawet drgnąć. W absolutnej ciszy nasłuchiwał, jak co najmniej dwóch z nich kręciło się na dole. Zamienili ze sobą kilka słów w obcym języku. Prędzej czy później wejdą na piętro. Czy podłoga trzeszczy? Aż go ścisnęło w żołądku ze strachu, kiedy – najostrożniej jak tylko mógł – podnosił jedną nogę. Zastygł tak w powietrzu przez kilka sekund, utrzymując równowagę, zanim jednak w końcu odważył się postawić nogę na ziemi. Rozłożył ciężar ciała równomiernie na obie nogi i przesuwając się po cichu krok za krokiem w kierunku czegoś, co wyglądało na drzwi do sypialni. Z sypialni wychodziło się na taras, na co zdążył zwrócić już wcześniej uwagę. Może dałoby się zatem tamtędy uciec?

Ci na dole ciągle go szukali, więc raz po raz trzaskali drzwiami. Zastanawiał się, ile czasu upłynęło od chwili, gdy rozmawiał z Kihlgårdem. Dziesięć minut, a może piętnaście? Trochę to jeszcze potrwa, nim policja dotrze na tę samotną wyspę. Musi jakoś wytrzymać.

Nagle ktoś zaczął wchodzić po schodach na górę. Drzwi do sypialni były otwarte. Zrobił dwa kroki i już tam się znalazł. Nie mógł wprost uwierzyć, że to prawda, kiedy zauważył, jak doskonale trafił, bo w sypialni były długie, zabudowane szafy ze szklanymi drzwiami przesuwными. Wszedł do jednej z nich i zasunął drzwi, mając nadzieję, że nikt tego nie usłyszał. Czekał w napięciu. Ostry zapach farby drażnił nos. W garderobie brakowało powietrza i temperatura była wprost nie do zniesienia. Oddychał więc krótko i płytko, aby nie marnować tlenu.

Już po kilku sekundach usłyszał szybkie kroki świadczące o tym, że ktoś nadchodzi. Ten ktoś był już teraz w sypialni. Mężczyzna zamruczał coś pod nosem i otworzył drzwi prowadzące na taras. Wspiął się na drewniany dach i zawołał kogoś, kto najprawdopodobniej znajdował się gdzieś daleko na dworze.

Knutas pomyślał szybko o Line i dzieciach. Obleciał go strach. Czy był o włos od śmierci?

Nic więcej nie zdążył już pomyśleć, gdyż ktoś nagle odsunął drzwi do szafy.

Na ulicy było cicho i pusto. Powietrze aż drgało od wysokiej temperatury. Jakaś starsza kobieta szła powoli na spacer z psem. Poza tym nie było żywej duszy w tej spokojnej dzielnicy willowej. Zaparkował samochód przed domem. Ogród był olśniewający, choć zarosnięty zbyt wysoką już trawą. Latem zeszłego roku to on ją kosił. Wtedy Elin dopiero co przysłała na świat, a on był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Wydawało mu się, że było to bardzo dawno, jakby w poprzednim wcieleniu.

Szybko przeszedł po żwirowej ścieżce, która zachrzęściła pod jego nogami. Meble ogrodowe stały przed domem i hamak również wisiał na swoim miejscu. Wyglądało jednak na to, że już od dłuższego czasu nikt tu z nich nie korzystał. Dom wydawał się pusty, choć wózek stał na ganku. Czyżby jednak była w domu? A może po prostu nie zabrała ze sobą wózka na plażę.

Nacisnął przycisk dzwonka i usłyszał jego dźwięk wewnątrz domu. Czekał w napięciu. Próbował zajrzeć do środka przez okno kuchenne, ale nikogo nie dojrzał.

Zadzwoił raz jeszcze. Teraz słyhać było, jak ktoś w środku człapie, a potem powoli przekręca zamek po drugiej stronie drzwi. Po futrynie spacerowała mucha. Spojrzał na kolorową tabliczkę z napisem: „Tu mieszkają Emma, Filip, Sara i Elin”. Brakuje jednego imienia – pomyślał.

Wreszcie Emma otworzyła drzwi.

– Cześć – powiedział.

Wydawała się taka mała. Jak materiał, który zbiegł się po praniu. Nie wykonała żadnego gestu na znak, że zamierza go wpuścić do środka.

– Gdzie jest Elin?

Z niepokojem zajrzał jej przez ramię do przedpokoju.

– Śpi.

– Czy mogę wejść?

– Nie.

Skrzyżowała ręce na piersiach.

– Słuchaj, kochanie, przyjechałem z miasta specjalnie po to, żeby się z tobą zobaczyć.

– A po co? Nie ma chyba najmniejszego powodu?

– Co z tobą jest? – zapytał niepewnie.

– Co ze mną jest? – powtórzyła. – Ze mną nie dzieje się chyba nic szczególnego.

Pytanie raczej, co z tobą? Masz nową partnerkę, zgadza się? Co zatem łączy cię ze mną? Nic.

– Tylko spokojnie.

Spróbował wcisnąć się do środka, ale Emma zagroziła mu drogę. Spojrzała na niego chłodnym wzrokiem, a jej głos zmienił się w syk.

– Nigdy więcej nie przekroczysz tego progu, rozumiesz? Możesz sobie odbierać Elin z przedszkola i spotykać się z nią w jakimś neutralnym miejscu, ale tu już nigdy więcej nie wejdiesz. Nie chcę mieć z tobą nigdy więcej do czynienia.

Johanem aż zatrzęsło ze złości. To, co do tej pory tak długo w sobie dusił, wreszcie z siebie wyrzucił. Wyrzygał jej to teraz wszystko naraz.

– Teraz to ty przestań – syknął i popchnął ją w stronę przedpokoju. – Uspokój się! Czy to aż takie dziwne, że raz byłem z jakąś inną kobietą? Przecież mnie odrzuciłaś, traktowałaś mnie, jakbym był zadzumiony. Dlaczego to robiłaś, Emmo, dlaczego? Czy dlatego, że Elin porwał jakiś psychopata-szaleniec? Czy to ja ją uprowadziłem? Czy miałem cokolwiek z tym wspólnego? Nie, ale oczywiście była to i tak tylko moja wina! Wszystkiemu byłem winien tylko ja. A wiesz, dlaczego tak sądziłaś? Bo ja wykonywałem tylko swoją cholerną pracę. Czy naprawdę w swoich najgorszych nawet snach wyobrażasz sobie, że uczyniłbym coś, co mogłoby zaszkodzić Elin? Albo tobie?

Emma przerażona cofnęła się aż do samej kuchni, nieprzygotowana na tak gwałtowną reakcję z jego strony. Nigdy dotąd nie widziała, żeby tak się złościł.

– Ale powiem ci coś, Emmo. Dostyc już mam tęsknoty za tobą i czekania na to, że może jednak będzie dobrze. Dość już tego! Przez trzy lata robiłem wszystko, żeby między nami się ułożyło i na co to się zdało? Nie mam już więcej sił. Siedz więc tu sobie i użalaj się nad sobą.

Emma nie chciała już dłużej patrzeć na niego. Usiadła na krześle i odwróciła głowę. Zasłoniła rękoma uszy i zamknęła oczy, aby go nie widzieć. Będzie tu tak siedzieć, dopóki nie skończy i nie pójdzie sobie stąd. Chciała tylko jednego – żeby zniknął. W głębi duszy poczuła jakiś dziwny spokój. Jakby potwierdziło się wszystko, co podejrzewała. Że to już koniec między nimi. Definitywnie. Raz na zawsze. Kiedy Johan wyszedł, zatrzasnął za sobą drzwi, ona nadal siedziała w tej samej pozycji.

Trwała tak potem jeszcze przez dłuższą chwilę.

Młody człowiek wpatrywał się w niego z zaciekawieniem.

– *Who are you?*

– *Wait, wait. I am a police officer* – odpowiedział Knutas łamaną angielszczyzną.

W oczach stojącego przed nim młodzieńca pojawił się cień wątpliwości.

– *Police?*

Chwycił Knutasa za ramię i wyciągnął go z szafy. Zawołał swoich kumpli.

Cała trójka natychmiast go otoczyła. Drżącymi rękami wyciągnął swoją legitymację.

Najbardziej wytatuowany z nich, który wyglądał na przywódcę, przyjrzał się legitymacji, obrócił ją i obejrzał drugą stronę. Spojrzał na pozostałych i mruknął coś niezrozumiale.

– *Can I sit down?*

Knutasowi drżały ze strachu nogi.

– *Yes, of course.*

Sprowadzili go po schodach na tył domu, gdzie stały jakieś meble ogrodowe.

– *What are you doing here?* – zapytał przywódca grupy.

– *Just controlling* – powiedział Knutas. – *Routine.*

– *On a Sunday?*

Wszyscy trzej patrzyli na niego podejrzliwie. Z bliska nie wyglądali nawet na jakoś szczególnie groźnych. Dwóch trzymało Knutasa z obu stron za ramiona. Zaraz potem zaczęli też żywo dyskutować w języku, którego nie znał.

– *Where are you from?* – odważył się ich zapytać.

Przywódca grupy nic na to nie odpowiedział, tylko przeszył go wzrokiem. Dyskusja stała się jeszcze żywsza. Nagle jakby coś w nich wstąpiło. Uderzyli Knutasa i postawili go znowu na nogi. Rozciągnęli mu ramiona na całą długość, a ich szef przeszukał mu kieszenie. Portfel, kluczyki do samochodu, tytoń – wszystko to mu zabrał. Potem wrzasnął coś do swoich kumpli, którzy zaciągnęli Knutasa z powrotem do domu. Próbował wyrwać się z ich

objąć i opierał się im, jak tylko mógł, ale na próżno. Ogarnął go strach, gdy pomyślał o tym, co może go spotkać z ich strony.

– *What are you doing?* – zawołał. – *Let me go! I am a police officer.*

Stanowczo i z kamiennym wyrazem twarzy ciągnęli go w kierunku drzwi wejściowych.

– Co wy, do cholery, wyprawiacie? – Knutas przeszedł na szwedzki. – Jestem policjantem, do diabła!

Czyżby chcieli go uprowadzić? Zamordować? Poderżnąć mu gardło albo zastrzelić i zrzucić go ze skały? A może chcieli go zamknąć w swoim bagażniku, aby się tam udusił?

Knutas myślał, że nadeszła już jego ostatnia godzina, kiedy przywódca grupy otworzył drzwi garderoby w przedpokoju i dał znak swoim kumplom, aby go tam wepchnęli.

– *We are very sorry?* – usłyszał Knutas, zanim z łoskotem zamknęli drzwi szafy.

Dziesięć minut później Martin Kihlgård i Thomas Wittberg wjechali na podwórze, a za nimi jeszcze kilka innych samochodów policyjnych. Nie było widać żywej duszy. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież.

Z wnętrza budynku dochodziło głuchoe stukanie. Wittberg wbiegł pierwszy. Dźwięk dobiegał z jakiegoś pomieszczenia w przedpokoju. Do drzwi tego pomieszczenia przybita była w poprzek deska.

Na ziemi przed domem znalazł jakiś łom, którym udało mu się, zresztą nie bez problemów, otworzyć wreszcie zabarykadowane drzwi.

– Co jest, do licha? – spytał zadyszany, kiedy zajrzał do środka.

W ten sposób znaleźli Knutasa.

Johan siedział z głową podpartą rękami i wpatrywał się w zakurzoną zwirową drogę. Był zbyt zdenerwowany, aby prowadzić samochód, więc z domu Emmy szedł prosto przed siebie, aż doszedł do pobliskiego boiska. Nie było tam zupełnie nikogo. Usiadł na jednej z ławek i palił jednego papierosa za drugim, aż zaczęło go piec i szczypać w gardle od tego palenia. Nie wiedział nawet, jak długo już tak siedział, kiedy nagle zobaczył zbliżającą się do niego kobietę z wózkiem. Aż go ścisnęło w żołądku, kiedy dostrzegł, kto to jest. To Emma szła właśnie z Elin, jego dzieckiem. Chciał podbiec do niej i wyrwać jej z rąk wózek, ale opanował się.

Odwróciła się i spojrzała w jego stronę. Przez kilka sekund zastanawiał się jeszcze, czy podejdzie do niego, czy też po prostu pójdzie dalej i uda, że go nie widzi. Kątem oka spostrzegł, że idzie w jego kierunku. Zastygł w bezruchu.

W dalszym ciągu podpierał głowę rękami i nie podnosił jej. Zatrzymała wózek i wyjęła z niego Elin, która gaworzyła zadowolona.

– No, popatrz, kto tu jest. Tatuś! – zaszczębiotała wesoło i wyciągnęła Elin w stronę Johana, trzymając ją w rękach.

Johan podniósł głowę i zobaczył, że nagle jego maleńka córeczka znalazła się tak blisko niego, że nawet mógł poczuć jej zapach. Małe brązowe oczka, buźka w kształcie serduszka, dołek w bródce. Dokładnie taki sam jak u niego.

Z trudem zdobył się na uśmiech i wyciągnął do niej rękę. Chwilę później tulił już do siebie tę ciepłą, pulchną, maleńką istotkę. I wtedy coś w nim pękło. Objął córeczkę i zaczął tak rzewnie płakać, że aż cały trząś się od tego płaczu.

Emma siedziała obok nich bezradnie, nie mówiąc ani słowa.

Knutasa zawieziono do szpitala na badanie. Nie doznał żadnych obrażeń, ale Kihlgård upierał się, że mimo to powinien tam pojechać, choćby tylko po to, żeby porozmawiać z kimś o tym, co się stało. Przebadano go więc i wraz z pewnym sympatycznym lekarzem psychiatrą, znanym Knutasowi już zresztą dość dobrze, zrobiono gruntowną analizę całego przebiegu zdarzeń. Line z dziećmi wróciła już do domu z wypoczynku na wsi i obstawała przy tym, że powinien się odprężyć i posiedzieć w domu, ale Knutas nie chciał się na to zgodzić. W niedzielę o godzinie drugiej po południu był już znowu na komendzie.

Cała grupa dochodzeniowo-śledcza pracowała przez weekend, ponieważ śledztwo przybrało nowy obrót. Nie było czasu do stracenia.

Ledwo tylko zdążył usiąść przy biurku, a już zajrzała do niego Karin.

– Cześć. Jak się czujesz?

Uścisnęła go szybko.

– Ale paskudna sprawa! Całe szczęście, że wszystko się tak dobrze skończyło.

– O tak, tak można chyba powiedzieć.

Knutas uśmiechnął się blado.

– Słyszałam, że zamknęli cię w garderobie, ale co było potem?

– Pewnie dalej wynosili z domu wszystko, co się tylko dało, a potem odjechali. Przesiedziałem tam chyba z pół godziny. Ponieważ zdążyłem wcześniej zawiadomić Kihlgårda, nie obawiałem się jakoś szczególnie o swoje życie. Wiedziałem, że mnie szybko odnajdą. No i nie pomyliłem się. Nie minęło chyba więcej jak dziesięć, a może piętnaście minut, kiedy przyjechali.

– Czy słyszałeś, w jakim języku mówili ci faceci?

– Jak wiesz, nie mam talentu do języków, ale wydaje mi się, że był to któryś z języków bałtyckich, przypuszczalnie estoński.

– Czy sądzisz, że to oni pobili Vendelę Bovide?

– Na to chyba wygląda.

– Czy przejrzałeś zdjęcia?

– Jasne. To była pierwsza rzecz, jaką musiałem zrobić po wyjściu ze szpitala. Przesłuchano mnie, a potem kazano mi obejrzeć zdjęcia całej rzeszy kryminalistów. No, ale niestety.

– A na ile ci ludzie, których tam widziałeś, pasują do opisu sprawców, jaki podała Vendela?

– Prawdopodobnie ci dwaj, którzy ją pobili, byli również na budowie. Ale na Furillen był jeszcze trzeci facet.

– Teraz chyba wiele wskazuje na to, że morderstwo Petera Bovide ma związek z jego nielegalnymi interesami.

– Oczywiście, tak można chyba sądzić – zgodził się Knutas. – Ale z drugiej strony ci faceci na Furillen nie wyglądali na morderców.

– Co przez to rozumiesz?

– Najpierw oczywiście przestraszyłem się, bo pomyślałem, że to oni mogli zastrzelić Petera Bovide. Przez kilka sekund myślałem nawet, że mnie tam wykończą. A tu proszę – co się dzieje? Zamykają mnie w garderobie i jeszcze przepraszają.

– Co takiego?

– Ich ostatnie słowa brzmiały: *I'm sorry*. Rozumiesz?

Knutas uśmiechnął się krzywo.

– No rzeczywiście, tego nie powiedzieliby raczej mordercy, którzy zabili kogoś z zimną krwią.

– Otóż to.

– Ale jeżeli to morderstwo nie ma związku z pracą na czarno, to z czym do licha w takim razie?

– Właśnie to pytanie też sobie bez przerwy zadaję.

Poniedziałek, 17 lipca

Knutas obudził się w swoim łóżku w domu przy ulicy Bokströmögatan i jego wzrok padł prosto na piegowate plecy Line. Oddychała głęboko i spokojnie. Ostrożnie pocałował ją w łopatkę, a ona chrząknęła.

Wczorajszy wieczór był udany. On i Line siedzieli na werandzie w ciepły letni wieczór, popijali zimne białe wino i rozmawiali ze sobą tak, jak już dawno tego nie czynili. Przeanalizowali to, co stało się na Furillen. Opowiadał o tym na głos w taki sposób, jakby dopiero teraz zrozumiał, co tak naprawdę mu się przytrafiło.

Rozmawiali o tym, jakie miał szczęście w nieszczęściu. O tym, że wszystko się dobrze skończyło, mimo że tej trójce udało się jednak uciec wraz z całym sprzętem. Knutas uświadomił sobie, co go istotnie łączyło z Line. Jakie znaczenie miało to, że ich seks stał się już trochę nudny, w porównaniu z tym, jak bardzo byli sobie bliscy? Dobrze się czuli we własnym towarzystwie, często śmiali się, a on kochał jej dziarskość. Line była osobą, z którą łatwo żyć.

Powinien zmobilizować się i uczynić coś więcej, aby ożywić ich miłość. Właściwie nie trzeba było wprowadzać żadnych wielkich zmian, aby wszystko znacznie się polepszyło. Zaczął już wczorajszego wieczora. Zadbał o to, aby poszli do łóżka znacznie wcześniej, ale nie po to, by się w nim położyć i od razu tylko zasnąć z powodu ogromnego zmęczenia.

Kiedy jakąś godzinę później wkraczał do pokoju konferencyjnego grupy dochodzeniowo-śledczej, coś wisiało w powietrzu. Mimo iż przyszedł kilka minut przed czasem, wszyscy byli już na miejscu i wyglądali na bardzo skupionych. Knutas rozpoczął spotkanie.

– Zatem nasi główni podejrzani to trzech mężczyźni, którzy według współnika Petera Bovide, Johnny’ego Ekwalla, pochodzą z Estonii. Ponieważ pracowali na czarno, firma ma tylko numer telefonu komórkowego jednego z nich, niejakiego Andresa. Na podstawie tego numeru poszukujemy go teraz w Estonii. Zanotowałem też numer rejestracyjny tej furgonetki, zanim mnie nakryli. Na szczęście nie znaleźli tego małego papierka, gdy przeszukiwali mi kieszenie. Samochód zarejestrowany jest na niejakiego Antsa Otsę. Ale mogą to być przecież fałszywe numery, tego jeszcze nie wiemy. Poprosiliśmy o pomoc policję estońską i obecnie

cała trójka jest tam poszukiwana jako osoby podejrzane o zamordowanie Petera Bovide. Mamy też zeznanie świadka, który wczoraj w porze obiadowej widział tych trzech ludzi oraz dużą, białą furgonetkę na statku płynącym do Nynäshamn. Jeśli to prawda, wówczas obecnie mogą już być u siebie w Estonii.

– Co wiemy o tych facetach? – zapytał Wittberg.

– Rozmawiałem z Interpolem i dowiedziałem się o nich co nieco – powiedział Kihlgård. – Ants Otsa znany jest policji estońskiej, bo był notowany za posiadanie narkotyków i współdziałal w dużej kradzieży kilka lat temu. O dwóch pozostałych nic nie wiemy, nie mamy nawet ich nazwisk.

– Jak długo pracowali w firmie „Slite Bygg”?

– Johnny Ekwall twierdzi, że przez jakieś pół roku – odpowiedział Knutas.

– A czy ten Johnny podejrzewa, o co tu chodzi? – zapytała Karin.

– Obstaje przy tym, że robił tylko swoje i że poza tym nie mieszał się do prowadzenia firmy. Według niego willę na Furillen budował jakiś podwykonawca, ale nie udało nam się jeszcze skontaktować z jego kierownikiem. Mówi, że podejrzewał wprawdzie, iż to i owo nie było robione całkiem legalnie, ale pomyślał sobie, że dopóki w firmie wszystko dobrze się układa i dostaje swoje wynagrodzenie na czas, nie będzie wtykać nosa tam, gdzie nie trzeba.

– Typowo męskie podejście – syknęła Karin. – Najlepiej wsadzić głowę w piasek, by nie widzieć, co się dookoła dzieje i potem za nic nie musieć odpowiadać.

– W każdym razie miał duży problem z wyjaśnieniem, w jaki sposób firma była w stanie wykonywać o wiele większe zlecenia, niż pozwalała im na to liczba zatrudnionych. Sądzę, że jak tylko zakończy się kontrola skarbowa firmy, będziemy mogli zarówno jemu, jak też być może Lindzie Johansson postawić zarzut dokonania przestępstwa podatkowego – ciągnął Knutas. – Niemożliwe, żeby nie wiedziała, co tam się działo, choć zapewne i ona schowała głowę w piasek. Pod warunkiem, że cecha ta nie jest wyłącznie męską domeną.

– Czy rozmawialiśmy z jej mężem? – zapytał Kihlgård.

– Tak, ale jeśli dobrze zrozumiałam, nic to nie wniosło do śledztwa – powiedziała Karin. – Nie mam tu oryginału protokołu, ale możemy raz jeszcze spojrzeć na notatki z przesłuchania.

– Dobrze. – Knutas pobębnił niecierpliwie palcami o blat stołu. – Coś jeszcze? A jak wyglądają poszukiwania ewentualnego sejfu?

– Przeczesałiśmy raz jeszcze dokładnie i dom, i biuro – powiedział Sohlman. – Nic nie wskazuje na to, że miałyby znajdować się tam jakiś sejf czy też ukryte pieniądze.

– Kontrola skarbowa trwa nadal, choć młyny sprawiedliwości miały powoli –

powiedział Knutas. – Tak czy inaczej, sprawdzili obecnie i firmę, i konta prywatne Petera Bovide. Jeśli chodzi o firmę, sprawa jest jasna: zatrudniał dość dużo osób na czarno, w każdym razie w ciągu ostatnich dwóch lat. Najwyraźniej wielokrotnie bardzo ryzykował, podejmując się zbyt dużych zleceń i zalegając z pieniędzmi. Ale majątek firmy będącej spółką akcyjną jest przecież oddzielony od prywatnego, a tam nie ma żadnych nieścisłości. Ani w przypadku dużych, ani małych kwot. Według żony wszystko się zatem zgadza.

– Pytanie tylko, na ile ona jest uczciwa – powiedział Knutas w zamyśleniu. – Lub też ten wspólnik Johnny Ekwall. Musimy ponownie zająć się tą dwójką.

Gdy tylko Knutas wrócił do swojego pokoju, zadzwonił telefon.

W słuchawce niskim głosem odezwał się jakiś mężczyzna.

– Dzień dobry, mówi Anders Ahlberg ze szpitala w Visby. Czy pan mnie szukał?

– Tak. Dobrze, że pan dzwoni.

Knutas opisał w kilku słowach przypadek Petera Bovide.

– Tak, przychodził do mnie regularnie, a ja wypisywałem mu środki antydepresyjne. Zgadza się.

– Dlaczego? Jakie miał problemy?

– Dostawał napadów lękowych i potrzebował pomocy, żeby złagodzić pierwsze symptomy i uniknąć najgorszego, że się tak wyrażę. Niestety, nie wiem, co było ich przyczyną.

– Czy miało to jakiś związek z jego padaczką?

– Niebezpośrednio, ale miał napady epilepsji mniej więcej w tym samym czasie co napady lękowe. To było wiele lat temu.

– Kiedy zjawił się u pana po raz pierwszy?

– Pamiętam to bardzo dobrze – powiedział lekarz. – Cóż, oczywiście po tym morderstwie nieraz zastanawiałem się nad moimi kontaktami z Peterem Bovide. Tak sądziłem, że o to właśnie mnie pan zapyta, więc wyszukałem już jego kartę. Mam tu wszystkie informacje. Oczywiście zazwyczaj są one objęte tajemnicą lekarską, ale gdy w grę wchodzi śledztwo w sprawie morderstwa, a pacjent nie żyje, to wtedy inna sprawa.

– Tak, chciałbym uzyskać od pana wszelkie możliwe informacje na temat Petera Bovide.

– Trafił do nas w nocy trzydziestego pierwszego lipca 1985 roku, a dokładniej mówiąc, o godzinie trzeciej piętnaście – odczytał z karty lekarz. – Dostał wtedy nagłych skurczów. Podaliśmy leki i odtruliśmy go. Kiedy się u nas znalazł, miał 1,6 promila alkoholu we krwi.

– Rozumiem, że był to jego pierwszy napad epileptyczny i w związku z tym miał depresję.

– Niezupełnie. Tak bym tego chyba nie określił. Peter Bovide rozpoczął wprawdzie po tym zdarzeniu sesję terapeutyczną i chodził wówczas do dyplomowanego psychologa i psychoterapeuty. Ale przez cały ten czas pozostawałem w stałym kontakcie z psychologiem, gdyż byłem dla Petera lekarzem prowadzącym. Dostrzeżliśmy u niego pewne związki między epilepsją a depresją.

– To znaczy?

– Nie było to łatwo stwierdzić. Ale obie te sprawy wystąpiły przecież równocześnie.

– Wtedy, trzydziestego pierwszego lipca?

– Nie, pierwszy atak padaczki miał bowiem jakiś tydzień wcześniej.

– Ach tak. W jakich okolicznościach?

– Tego niestety nie wiem. Nie chciał powiedzieć. Zabrano go wówczas do szpitala w Nynäshamn.

– W Nynäshamn? Dlaczego akurat tam?

– Być może płynął promem na Gotlandię albo też z niej wracał. Wszak był to środek lata, więc był zapewne na wakacjach.

– Tak, to prawda. Bardzo prosiłbym pana o kontakt, gdyby pan sobie coś jeszcze przypomniał.

Knutas podziękował lekarzowi za rozmowę.

Późnym wieczorem w poniedziałek Knutas otrzymał informację, na którą bardzo liczył. Policja estońska poinformowała, że właściciel białej furgonetki, Ants Otsa, został zatrzymany wraz ze swoimi dwoma kolegami we własnym domu w centrum Tallina. Cała trójka od razu przyznała się, że pracowała na czarno na Gotlandii w szwedzkiej firmie o nazwie „Slite Bygg”. Współpraca z policją estońską układała się nadspodziewanie dobrze. Postępowanie ekstradycyjne, które na ogół jest dość skomplikowaną sprawą, tym razem przebiegało wyjątkowo bez najmniejszych problemów. We wtorek cała trójka miała zostać przetransportowana samolotem do Sztokholmu, a potem dalej na Gotlandię.

Knutas wyciągnął się na swoim krześle. Ulżyło mu, gdy dowiedział się, że schwytano ludzi, którzy najprawdopodobniej pobili Vendelę Bovide, a jemu samemu grozili i zamknęli go w garderobie. A poza tym być może wszyscy troje lub tylko jeden z nich zamordował Petera Bovide.

Wtorek, 18 lipca

Wczesnym wtorkowym popołudniem, zaraz po obiedzie, trójka Estończyków dotarła na komendę w eskorcie estońskiej policji. Wezwano też tłumacza, aby w razie potrzeby służył pomocą podczas rozmowy.

Knutas nie mógł być przy tym obecny, gdyż sam był pokrzywdzonym w wydarzeniu na Furillen. Dostrzegł ich tylko w przelocie, kiedy byli prowadzeni do pokoju przesłuchań i natychmiast ich rozpoznał. Poczł jakiś niesmak. Być może bardziej się tym przejmował, niż mu się wydawało.

Podejrzany okazał się Ants Otsa, Andres Sula i Ewald Kreem. Każdego z nich przesłuchano osobno.

Karin i Wittberg rozpoczęli od Antsa Otsy, właściciela furgonetki.

Usiedli w pokoju przesłuchań na parterze w budynku komendy: aresztant z jednej strony, a Karin z drugiej. Wittberg jako świadek przesłuchania siedział na krześle w tym samym pomieszczeniu, lecz nieco dalej. Ants nie miał więcej jak dwadzieścia trzy lata i sprawiał wrażenie nerwowego. Jego angielski był na tyle dobry, że mogli obejść się bez tłumacza.

– Nie mamy nic wspólnego z morderstwem Petera. Kompletnie nic. Musicie to zrozumieć – powtarzał usilnie raz po raz, jeszcze przed rozpoczęciem przesłuchania.

– Dobrze, dobrze – przytakiwała mu Karin. – Niech się pan uspokoi. Zaczniemy po kolei od początku.

Włączyła magnetofon, nagrała rutynowe pytania i wyciągnąwszy się na krześle, przyglądała się twarzy nieprzytomnego ze strachu młodego człowieka siedzącego po drugiej stronie stołu. Ów blondyn o jasnej karnacji miał kolczyk w języku. Szczypta tabaki pod górną wargą powodowała jej uwypuklenie w jednym miejscu. Jego oczy były niebieskie i wodniste.

– Co pan robi tutaj, na Gotlandii?

– Pracuję jako robotnik budowlany.

– Nielegalnie?

– To znaczy?

– Czy ma pan pozwolenie na pracę?

- Nie.
- Od jak dawna pan tutaj przebywa?
- Od jakichś sześciu miesięcy.
- Czy pracował pan tylko w firmie „Slite Bygg”?
- Tak.
- Niech nam pan opowie o budowie na Furillen.
- A co chcecie wiedzieć?
- Na przykład, ile osób tam pracowało.

Ants zaczął nerwowo rozglądać się po pokoju.

- Nie wiem dokładnie. Z Estonii było nas trzech.
- Ilu robotników pracowało jeszcze na tej budowie oprócz was?
- Nie wiem. Trzech, może czterech.
- Okej. A dlaczego wynosiliście sprzęt z domu?

Młody człowiek zakręcił się na krześle zażenowany.

– Bo nie dostaliśmy żadnych pieniędzy. Pracowaliśmy w dzień i w nocy przez dwa miesiące i nie dostaliśmy za to ani grosza.

- Dlaczego?
- Peter mówił, że zapłaci, ale jakoś nigdy tego nie zrobił.
- Ale na początku wam płacił?
- Tak, przyjeżdżał raz na dwa tygodnie i wypłacał nam ustaloną pensję. Potem zaczął

coś kręcić.

- Czy wie pan dlaczego?
- Powiedział, że czeka na pieniądze od kogoś, kto jest mu je dłużny i że wkrótce dostaniemy naszą wypłatę, ale nigdy to nie nastąpiło.

– Czy to Peter zawsze wypłacał pieniądze?

- Tak.
- W jaki sposób?
- Przyjeżdżał na budowę.
- Czy płacił wam gotówką?
- Tak.
- Ile?
- Osiemdziesiąt koron za godzinę.

– A teraz wam nie zapłacił?

– Nie. Pracowaliśmy na kilku jego budowach, ale od dwóch miesięcy nie dostaliśmy

za to złamanego grosza.

– Okej. Cofnijmy się teraz do tej niedzieli na Furillen. Dlaczego zamknęliście komisarza Knutasa w garderobie?

– Było nam przykro, że zostaliśmy do tego zmuszeni. Ale kiedy zobaczyliśmy, że jest policjantem, przestraszyliśmy się. Musieliśmy wracać do naszych rodzin. Mamy żony i dzieci na utrzymaniu. Wzięliśmy sprzęt z tego domu jako naszą zapłatę.

– A pobicie? – powiedziała Karin. – Co pan wie o pobiciu Vendeli Bovide, czyli żony Petera?

Ants najwyraźniej spodziewał się tego pytania.

– Nie planowaliśmy tego. Byliśmy zdesperowani, ponieważ nie dostaliśmy pieniędzy, a na dodatek Peter już nie żył. A ten drugi, Johnny, powiedział, że on nie ma nic wspólnego z pieniędzmi w firmie. No więc jedyną osobą, która mogła nam oddać nasze pieniądze, była żona Petera. Słyszeliśmy, że mają sejf w domu. Nie mieliśmy zamiaru jej pobić, ale Ewald nie wytrzymał i wybuchnął.

– Ewald? Czy chce mi pan powiedzieć, że to Ewald się nad nią znęcał, a reszta tylko patrzyła? A może w tym czasie uspokajaliście jeszcze dwójkę jej dzieci, co?

Karin rozzłościła się, kiedy usłyszała, w jaki sposób mężczyzna próbuje umniejszyć swą winę.

Ants spuścił wzrok.

– Nie, nawet nie pomyśleliśmy o tym, że w domu mogą być jej dzieci. Przykro mi, ale byliśmy zdesperowani. Nie wiedzieliśmy, co dalej począć.

Karin i Wittberg popatrzyli na siebie.

– Czy posiada pan broń?

– Broń? Nie.

Mężczyzna siedzący po drugiej stronie stołu przecząco pokręcił głową.

– A któryś z pana kolegów?

– Nic o tym nie wiem.

– Gdzie pan był dziesiątego lipca rano, około godziny szóstej.

– Nie wiem – powiedział Ants i po raz pierwszy jego głos zadrżał.

– Proszę się szybko i to dobrze zastanowić – powiedziała stanowczym głosem Karin.

– Dziesiątego lipca, tak wcześnie rano. Spałem w baraku na Furillen. Nocowaliśmy tam. No tak, pewnie wstałem już z łóżka. Zaczynaliśmy pracę zwykle koło siódmej.

– Czy jest ktoś, kto może to poświadczyć?

– Tak, moi koledzy. Byliśmy tam wtedy we trzech.

– Tylko wy?

– Tak, tylko my tam spaliśmy.

– A więc nie macie nikogo innego, kto mógłby zaręczyć, że naprawdę tak było?

– Nie.

– Innymi słowy, brak wam alibi w kwestii tego morderstwa.

Ants Otsa nie odpowiedział, tylko patrzył przed siebie tępym wzrokiem.

Gotska Sandön,
21 lipca 1985 roku

Kiedy obie siostry spacerowały wokół przylądka Kyrkudden na wyspie Gotska Sandön, skąd przed nimi rozciągała się jak na dłoni zatoka Franska Bukten, czuły się tak, jakby wylądowały właśnie na jakiejś bezludnej wyspie podczas wyprawy odkrywczej.

Jak okiem sięgnąć, nie było tu żadnych oznak życia. Piaszczysta plaża lekkim łukiem ciągnęła się kilometrami aż do przylądka Tärnudden po drugiej stronie wyspy. Mimo wczesnych jeszcze godzin przedpołudniowych było już gorąco i słońce połyskiwało w wodzie, a jedynymi żywymi istotami, jakie można było dostrzec, były mewy siodłate, które dreptały tu i ówdzie po plaży. Nieco wyżej ciągnęło się pasmo trawy morskiej o płytkich korzeniach, a nad nim zaczynał się nisko osadzony las sosnowy. Jeszcze dalej od cywilizacji nie można już było chyba uciec.

Zatrzymały się i odsapnęły nieco. Plecaki były ciężkie i bolały je już nogi po trzygodzinnym spacerze po nierównych, piaszczysto-kamiennych plażach z obozowiska położonego po drugiej stronie wyspy. Tam znajdowało się bowiem pole namiotowe i kilka domków letniskowych, które wynajmowano turystom.

Od kiedy kilka dni temu zeszli tutaj na ląd, Oleg chodził nieprzytomny ze szczęścia. Ale też Gotska Sandön była o wiele piękniejsza i jeszcze bardziej fantastyczna, niż ktokolwiek z nich sobie to przedtem wyobrażał. Wskazano im miejsce, w którym utonął pradziadek Olega, gdy rosyjski okręt „Wsadnik” rozbił się tu podczas sztormu pewnej sierpniowej nocy w 1864 roku. Poszli na cmentarz i podziwiali rosyjskie armaty, które do dziś znajdują się na odcinku plaży nazywanym Franska Bukten. Miejsce to stało się ulubioną plażą dziewczyn, które uzyskały zgodę rodziców na nocowanie na niej pod gołym niebem, jako że rozbijanie namiotów było tam zabronione.

Rozpoczęły od wypakowania śpiworów na samym środku plaży i rozłożenia parawanu, mimo że było niemal bezwietrznie. Według zapowiedzi meteorologicznych w najbliższych dniach miała tu panować piękna, letnia i praktycznie bezwietrzna pogoda. Jeden z ich plecaków odgrywał rolę torby izotermicznej, w której znajdował się obiad składający się z pieczeni wołowej i sałatki ziemniaczanej.

Kiedy już na dobre się rozgościły, rozebrały się do naga i wskoczyły do morza. Woda była chłodna i krystalicznie czysta.

Przez cały dzień kąpały się, czytały i grały w tenisa plażowego. Od czasu do czasu mijał je jakiś spacerowicz. Ponieważ już z daleka było widać, czy ktoś nadchodzi, więc zawsze zdążyły w porę ponownie się ubrać. Gdy nastał wieczór, usiadły na plaży i wpatrywały się w horyzont. Przemyciły ze sobą butelkę wina, którą się teraz raczyły.

– Na zdrowie – powiedziała Tanja i uniosła tekturowy kubek. – Och, jak tu fajnie. Chciałabym tu zostać również przez cały jutrzejszy dzień.

Vera odwzajemniła toast.

– Tak, ja też. Nigdy chyba jeszcze nie byłam w tak cudownym miejscu.

– I bardziej odludnym. To jest jak jakiś sen. Coś jakby nierzeczywistego. Można by tu osiąść na całe życie.

Spojrzały na morze, kiedy jakaś żaglówka okrążyła akurat przyłodek.

Czwartek, 20 lipca

Johan spacerował uliczkami Visby. Był wczesny wieczór i wiele sklepów zamykało już powoli swoje podwoje, podczas gdy przy stolikach w restauracjach nieustannie przybywało ludzi. Przy rynku Stora Torget zatrzymał się w jednym z barów, usiadł i wypił zimne piwo. Czasami naprawdę bardzo lubił samotność. Nikt niczego od niego wtedy nie żądał, więc mógł spokojnie odpocząć. Myślni był to z Emmą, to z Elin, to w pracy.

Przełknął ostatni łyk i wstał. Poszedł dalej przez miasto. Wątek pogrózek i nielegalnej siły roboczej, na którego trop natrafili razem z Pią i który na początku wydawał się tak gorący, teraz jakby już ostygł. Po prostu nie posunęli się do przodu. Do mediów przeciekła informacja, że w związku z morderstwem policja poszukuje rosyjskiej broni. Nie miał pojęcia, jak to się stało, ale właściwie nie było to takie dziwne. Zawsze zdarzały się podobne rzeczy, było to tylko kwestią czasu. Jego redakcja nie była już zresztą aż tak bardzo zainteresowana tym morderstwem, gdyż pojawiło się mnóstwo innych ciekawych wiadomości. Upłynęło dziesięć dni, które dłużyły się niczym wieczność. Ponieważ morderca nie zaatakował już nikogo więcej, turyści uspokoili się i znowu wszystko toczyło się normalnie. Kempingi były tak samo pełne jak zwykle. Tegoroczne lato biło chyba wszelkie rekordy temperatury, co naturalnie sprzyjało ruchowi turystycznemu. Wiele osób zdecydowało się na wyjazd na Gotlandię w ostatniej chwili, zwłaszcza młodzież. Obecnie na najpopularniejszych kąpieliskach po godzinie jedenastej praktycznie nie można było znaleźć żadnego wolnego miejsca.

Zarówno on, jak i Pia pokręcili się trochę wśród Rosjan przebywających na Gotlandii i próbowali wyciągnąć od nich coś na temat ewentualnych rosyjskich kontaktów Petera Bovide. Problem polegał jednak na tym, że Grenfors w Sztokholmie nieustannie im przeszkadzał, każąc przygotowywać jakieś nowe, mniej lub bardziej bezsensowne reportaże. Tego ranka zdążyli się już nieźle pokłócić, kiedy redaktor zażądał, aby Johan i Pia pojechali na wieś do Gerum w celu przeprowadzenia wywiadu z ojcem, którego syn zmarł dzień wcześniej po wypiciu nielegalnie sprowadzonego alkoholu. Poprzedniego dnia był na zabawie, gdzie poczęstowano go jakimś alkoholem przemysłowym. Wrócił do domu, położył się wieczorem do łóżka i już się nie obudził. Teraz jego ojciec chciał zabrać głos w mediach,

żeby ostrzec innych. Johan próbował uświadomić Grenforsowi, że ojciec chłopaka jest w szoku i nie jest w stanie pojąć, jakie konsekwencje mogłoby mieć jego wystąpienie w telewizji. Oczywiście wszystkie gazety i inne media podchwyciłyby potem ten temat i dziennikarze zaczęliby szturmować jego dom. Grenforsowi w zupełności wystarczyło, że człowiek był gotów wystąpić w reportażu. Uważał, że nie odpowiada za to, co może się stać później. Johan nie zgodził się na jego propozycję. W minionych latach stoczyli już ze sobą niezliczone boje na temat tego, co w dziennikarstwie jest etyczne i uzasadnione z moralnego punktu widzenia.

Pia skłaniała się raczej ku pogładowi Grenforsa i uważała, że powinni jednak przeprowadzić ten wywiad, ponieważ ojciec tego chłopaka był stanowczo zdecydowany zabrać głos w mediach. Twierdziła, że wszyscy inni też by tak postąpili.

Zapalił papierosa i zdążył zaciągnąć się nim zaledwie kilka razy, kiedy minął uliczkę Strandgärdet po północnej stronie murów miejskich. Już po muzyce dobiegającej z głośników powinien był się zorientować, co tam się dzieje. Na ogromnym trawniku koło siedziby klubu fitness „Friskis och Svettis” prowadzono codzienne zajęcia. Ze sto osób gimnastykowało się na świeżym powietrzu w rytm muzyki. Wieczne słońce oświecało swoimi promieniami to ożywione towarzystwo, a przechodząc koło nich, Johan poczuł się naprawdę chorym człowiekiem. Zastanowił się, czy nie zgasić papierosa, ale w końcu dał sobie jednak spokój.

Znowu pomyślał o ojcu zmarłego chłopaka, który dopiero co skończył siedemnaście lat. W głowie zaświtała mu myśl o rosyjskich dostawach węgla do portu w Slite. To tam właśnie nielegalnie sprzedawano alkohol. Już prawie zapomniał o tym tropie. A do tego było obecnie wiadomo, że Petera Bovide zastrzelono z rosyjskiej broni. Szybko zadzwonił do Pii. Odebrała od razu.

– Czy jesteś jeszcze zły?

– Nie, ani trochę. Przecież i tak wiem, że mam rację. Zrozumiesz to zresztą sama, jak już popracujesz wystarczająco długo – przekomarzał się.

– Bardzo śmieszne. Czego chcesz?

– Czy pamiętasz, kiedy miał przyplłynąć do portu w Slite następny transport węgla? Petera Bovide zamordowano z rosyjskiej broni, a te statki też są z Rosji. No i sprzedają tam na lewo alkohol. W każdym razie jeszcze nigdy tego nie sprawdzaliśmy. Możemy więc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Być może dowiemy się zarazem czegoś więcej o tym morderstwie.

– Nie wiesz, czy policja też bada ten ślad? Ja nic o tym nie widziałam ani nie czytałam.

– Ja też nie, ale jestem pewien, że to sprawdzą. Dla nich powinno to być przecież

bardzo interesujące.

– Czy rozmawiałeś z Knutasem?

– Nie, miałem zamiar zadzwonić do niego. Czy wiesz, kiedy ma być kolejny statek?

– Pojęcia nie mam, ale mogę się dowiedzieć. Mam kolegę, który pracuje w porcie.

– W to nie wątpię.

Johan ruszył z powrotem w kierunku domu, idąc przez ogród botaniczny.

Nagle poczuł się o wiele bardziej radosny. Zadzwoiła Pia.

– Mamy cholerne szczęście. Te statki przyływają tylko kilka razy w miesiącu, a najbliższy powinien zawinąć już jutro.

– Świetnie. Musimy tylko przekonać Grenforsa, żeby się zgodził na tę robotę.

Zakończył rozmowę i zadzwonił do Maxa Grenforsa do Sztokholmu. Redaktor natychmiast łyknął przynętę.

– Dobra myśl. Nawet jeśli te dostawy nie mają związku z morderstwem, to mimo wszystko warto się tym zająć. Nie przygotowaliśmy jeszcze zresztą żadnego reportażu na ten temat. Rosyjskie dostawy węgla, nielegalny alkohol – to tak czy siak ciekawe zagadnienia. Ale zrobicie to chyba jako undercover?

Johan uśmiechnął się w duchu. Grenfors uwielbiał używać policyjnego żargonu. W szczególności angielskiego.

– Tak, weźmiemy małą kamerę, którą można spokojnie ukryć pod ubraniem. Nie sądzę bowiem, aby udało nam się zrobić jakiś lepszy reportaż, gdybyśmy pojawili się w porcie z dużą kamerą telewizyjną na ramieniu.

– Dobra. No i miejmy nadzieję, że przy okazji dowiemy się też jeszcze czegoś nowego w sprawie morderstwa. Bo – jak rozumiem – informacja o tym, że Bovide kupował tam alkohol, nie jest plotką, co?

– Oczywiście, że nie. Informację o tym otrzymaliśmy z kilku źródeł – powiedział Johan. – Przygotujemy więc jakiś materiał, tego możesz być pewien.

– W porządku. Zatem powodzenia jutro wieczorem. I uważajcie na siebie.

– Twoja troska jest doprawdy wzruszająca.

Piątek, 21 lipca

Przez większą część nocy Knutas nie zmrużył oka i rozmyślał o śledztwie. Kiedy wskazówki zegara pokazały godzinę piątą, poddał się i w końcu wstał z łóżka. Basen otwierano o wpół do siódmej, a on od dawna nie mógł znaleźć czasu na ćwiczenia. Zaparzył kawę i zjadł parę kanapek, zanim obudził Line.

Basen Solbergadet był oddalony od jego domu o zaledwie dziesięć minut drogi spacerem, idąc w stronę komendy. W wodzie doznał uczucia lekkości i wolności, a jego myśli krystalizowały się w miarę jak w tym samym, monotonnym tempie przepływał jedną długość basenu za drugą. Był niemal sam na basenie, pominawszy kilka starszych, puszystych pań w czepkach, które pływały w żółtym tempie i nieprzerwanie trajkotały, jakby były na jakimś spotkaniu przy kawie. Wybrał tor położony jak najdalej od nich i miał nadzieję, że nie pojawi się żaden inny ranny ptaszek, który chciałby sobie popływać o tej porze. Pływając energicznie, przeanalizował raz jeszcze cały ten przypadek.

Trzy dni temu trójka estońskich robotników budowlanych trafiła na komendę w Visby, ale dzięki ich zatrzymaniu nie dokonał się niestety żaden przełom w śledztwie, na co liczyła policja. Przesłuchania nie doprowadziły do niczego konkretnego. Wszyscy zatrzymani przedstawiali tę samą wersję wydarzeń, z wyjątkiem pobicia, za które winą obarczali się nawzajem. Zaczęto ich zatrzymywać dzień wcześniej, a następnie całą trójkę aresztowano pod zarzutem nielegalnej pracy na Gotlandii, pobicia Vendeli Bovide oraz napadu na komisarza Andersa Knutasę, łącznie z pozbawieniem go wolności. Należało jeszcze tylko sprawdzić, czy byli zamieszani w morderstwo Petera Bovide. Tak czy inaczej, wymierzone im kary miały być dotkliwe.

Knutas utwierdził się w przekonaniu, że morderstwo było związane z czymś innym niż praca na czarno. W głębi duszy od samego początku nie bardzo wierzył, że któryś z tych trzech robotników estońskich miałby być poszukiwanym przez policję sprawcą. Dodatkową pewność dało mu jego feralne zetknięcie się z nimi na Furillen. Ich sposób działania nie pasował do wizerunku bezwzględnego zabójcy. Jednak z drugiej strony pobili przecież Vendelę Bovide. Być może z Knutasem obchodzili się ostrożniej tylko z tego powodu, że jest policjantem.

Innym wątkiem, do którego policja obecnie się zabierała, a którym on łamał sobie głowę przez całą noc, były rosyjskie dostawy węgla, docierające regularnie do portu w Slite. Czekali na przybycie kolejnego statku i teraz nareszcie miało to nastąpić. W ubiegłym tygodniu grupa dochodzeniowo-śledcza pracowała nad planem akcji, do której miało dojść jeszcze dziś późnym wieczorem. Miał nadzieję, że to i owo się wyjaśni, kiedy na pokładzie porozmawiają z członkami załogi.

Przez dłuższą chwilę stał pod lejącą się z prysznica wodą. Podał swe ciało krytycznej ocenie w lustrze. Nie było po nim widać, że obecne lato uznawano za najbardziej słoneczne od wielu lat. Delikatna opalenizna, jeszcze z Danii, prawie już zeszła. Kiedy stanął bokiem do lustra i wciągnął brzuch, nie wyglądał aż tak źle. Inaczej było, gdy spojrzął na siebie od przodu. Zaczynał dopiero trenować po dłuższej przerwie, co było od razu widać po warstwie tłuszczu wokół talii, którym obrósł, gdy trochę poleniuchował. Właściwie Knutas dość często uprawiał sport, lecz sezon hokeja halowego już minął, a w golfa nie zdążył jeszcze pograć.

Kiedy znów znalazł się na ulicy, oślepiło go słońce. Fala ciepła wciąż się utrzymywała. Nic dziwnego, że basen był prawie pusty, skoro wszyscy pojechali na plażę. Nawet wodorosty, z którymi Gotlandia często musiała się borykać w pełni lata, jak dotąd nie zakwitły. Wieczorami uliczki Visby były pełne ludzi przesiadujących przy stolikach koło restauracji. Chcieli pójść z Line do miasta na kolację i na koncert muzyki klasycznej w ruinach kościoła Sankt Nicolai. Zebrał się, zamówił bilety i zarezerwował stolik. Line była tym tak mile zaskoczona, że aż miał wyrzuty sumienia.

Po porannej naradzie wsiadł z Karin do samochodu, żeby pojechać do Slite. Uzgodnili termin spotkania z kapitanem portu, który odpowiadał za dostawy węgla i który miał ich zapoznać z terenem przed wieczorną akcją.

Gdy tylko ich samochód zatrzymał się na parkingu przy głównej bramie firmy „Cementa” w Slite, podszedł do nich wysoki mężczyzna. Ubrany był w niebieski kombinezon, a na głowie miał czapkę cyklistówkę. Uśmiechnął się przyjaźnie, podał im rękę na przywitanie i przedstawił się jako kapitan portu Roger Nilsson.

Pojechali za nim aż na samo nabrzeże portowe i weszli do jego biura, gdzie usiedli przy filiżance kawy.

Knutas od razu przeszedł do rzeczy.

– Wiemy, że podczas dostaw węgla odbywa się również sprzedaż alkoholu bez akcyzy. Uzyskaliśmy też potwierdzenie, że Peter Bovide czasami go tu kupował. Czy wie pan coś na ten temat?

Kapitan portu z zażenowaniem poruszył się na krześle.

– Jest to dla nas dużym problemem. Jesteśmy uzależnieni od dostaw węgla z Rosji, które pociągają za sobą inne problemy. Sprzedaż nielegalnego alkoholu zdaje się przybierać na sile. Gdy tylko przybija do nas statek, cała masa ludzi ściąga do portu, żeby kupić wódkę. Zauważyliśmy też, że coraz więcej młodzieży handluje alkoholem już na statkach. Wiele razy dzwoniliśmy na policję i mówiliśmy, że muszą coś z tym zrobić. Ale co z tego? Przyjadą od czasu do czasu, zrobią kontrolę i to wszystko. Nie rozumiem, na co policja czeka. Ilu jeszcze nastolatków musi zapaść się na śmierć, żeby podjęli w końcu jakieś kroki?

Mężczyzna pokiwał głową. Karin się poruszyła. Nie miała ochoty wdawać się w dyskusję na temat tego, w jaki sposób policja rozdysponowuje swoje siły.

– Niestety, obecnie nie jesteśmy w stanie nic w tej sprawie zrobić – powiedziała. – Ale porozmawiam o tym później z naszym komendantem wojewódzkim. W jaki sposób odbywa się sprzedaż?

– Ludzie wiedzą dokładnie, kiedy przyplływają te statki, bo takie informacje rozchodzą się pocztą pantoflową. Przecież nie podajemy tego do wiadomości w gazetach ani sami nie wywieszamy ogłoszeń. Zbierają się, gdy tylko statek przybije do nabrzeża i nawiązują kontakt z załogą, która również wychodzi do miasta. Nie możemy im przecież zabronić swobodnego poruszania się po Slite. Chodzą zwykle do restauracji i pizzerii lub też do miejscowego pubu. Tam spotykają się ze swoimi klientami, jeśli nie zrobią tego już porcie. Mieliśmy problem także z niektórymi osobami, które wchodziły na pokład i robiły zamieszanie.

Karin nadstawiła uszu.

– Ludzie wchodzi na pokład? Po co?

– Rosyjskie załogi zatrzymują się tutaj na dobę, czasem nawet na dwie doby, a że przyplływają regularnie, więc nic w tym dziwnego, że poznają okoliczną ludność.

– Może również poznają swoje wybranki serca?

– Tak, na pewno to się zdarza.

– Czy zauważyliście jakieś przypadki prostytucji? – zapytała Karin.

– Nie, tego nie widzieliśmy.

– A handel narkotykami?

– Nie wiemy, ale oczywiście nie można tego wykluczyć. Chociaż myślę, że gdyby to zjawisko szerzyło się tu na większą skalę, to byśmy to jednak dostrzegli. Ale naszym zdaniem już sama sprzedaż alkoholu jest wystarczająco poważną sprawą.

– Czy wiadomo panu, że Peter Bovide był tu i kupował alkohol?

– Nie wiedziałem o tym, dopóki nie zaczęto mówić o nim po jego zamordowaniu.

– A czy wie pan, czy miał on kontakty z rosyjską załogą?
– Nie, nie sędzę.
– Czy jakaś pracująca tutaj osoba należała do jego znajomych?
– Całkiem możliwe, ale nie potrafię wskazać nikogo konkretnego.
– Ale przecież pochodził ze Slite i na pewno rozmawiano o tym morderstwie – próbowała go podejść Karin. – Czy naprawdę nie słyszał pan o nikim, kto znałby Petera Bovide?

– Nie, przecież już powiedziałem.

Roger Nilsson wyglądał na wyraźnie poirytowanego.

Knutas zmienił temat.

– Jak często przyplływają statki?

– Kiedyś przyplwaly dwa razy w miesiącu, ale od pierwszego sierpnia będą przyplwac dwa razy częściej. Zapotrzebowanie na cement stale wzrasta, a ponieważ w fabryce nie wykorzystujemy jeszcze pełnych mocy produkcyjnych, więc możemy zwiększyć produkcję. A w tym celu potrzebujemy większych ilości węgla do palenia w piecach, bo w nich właśnie wypalamy kamień wapienny i go przetwarzamy.

– No, a jak pan się na to zapatruje jako kapitan portu?

– Mam mieszane uczucia. Z jednej strony oczywiście cieszę się, że zapotrzebowanie na cement wzrasta i że możemy zwiększyć produkcję. Z drugiej zaś strony możemy spodziewać się chyba coraz większej ilości problemów w związku ze sprzedażą nielegalnego alkoholu.

Kiedy pożegnali się z kapitanem portu, w głowie Knutasa kłębiły się różne myśli. Dlaczego właściwie podczas dostaw węgla nie miałyby dochodzić do handlu narkotykami? Czy Peter Bovide mógł nadużywać narkotyków? Może amfetaminy. Czy to dlatego właśnie był w stanie przebiegać około dziesięciu kilometrów dziennie, prowadzić własną firmę, mieć małe dzieci i wstawać z samego rana? W jednakowych odstępach czasu dostawał regularnie ataków padaczki i popadał w depresję. Mogło to być spowodowane właśnie nadużywaniem narkotyków. Ale mógł też handlować narkotykami, sam ich nie biorąc. Czyżby był komuś winien jakieś spore pieniądze? Sposób postępowania mordercy po części wskazywałby na to. Morderstwa dokonano przy użyciu rosyjskiej broni, do ofiary strzelano z bardzo bliskiej odległości, a to świadczyło o absolutnej bezwzględności, może nawet o tym, że strzelał zawodowy zabójca.

Chociaż dwie okoliczności nie pasowały do całej reszty. Po pierwsze to, że sprawca zaczął od strzału w głowę, a potem oddał kilka strzałów w brzuch. Po drugie, że broń była

taka stara. Jaki zawodowy morderca albo cyniczny dealer narkotykowy posłużyłby się siedemdziesięcioletnią bronią?

Knutasowi ten rachunek nadal się nie zgadzał.

W niedzielę wieczorem Emma leżała na sofie w salonie i oglądała w telewizji jakiś film akcji. Był nawet dość ciekawy, ale jakoś jej nie wciągnął.

Na ekranie telewizora ukazywały się klasyczne kadry z takich filmów: pościg samochodowy, groźenie bronią, jacyś mężczyźni goniący się w tłumie. Ponad tym wszystkim unosiły się strzępy wspólnych wspomnień jej i Johana, niczym urwany fragment snu, który nigdy się nie spełnił. Nieprzyjemne, ponure myśli cisnęły się jej do głowy, więc mocno wtuliła się w poduszki. Nie mogła jakoś znaleźć sobie dogodnej pozycji.

Była sama w domu, wydana na pastwę własnych myśli. Ich kłótnia sprzed tygodnia i jego późniejsze milczenie wstrząsnęły nią. Najpierw była zła, że ją zwymyślał. Potem ogarnęło ją uczucie wstydu, kiedy zrozumiała, że tak naprawdę miał rację. Mimo iż zranił ją tym, że przespał się z inną, to była w stanie niejako zrozumieć, dlaczego tak się stało.

Miała ciągle przed oczami jego smutny wyraz twarzy, gdy tak siedział tam na ławce w parku. Jak jakaś idiotka i niezgara czekała wtedy, aż skończy, odda jej Elin, wstanie i pójdzie sobie. Oddalili się od siebie tak mocno. A jeżeli nigdy więcej nie wpuści jej do siebie? Istniało ryzyko, że drzwi zatrzęsnęły się już raz na zawsze.

Kiedy jej rodzice zaoferowali, że zajmą się Elin przez kilka dni, przyjęła tę propozycję z wdzięcznością. Musiała pobyć sama, aby dokonać rachunku sumienia.

Raz jeszcze zapytała samą siebie, co tak naprawdę nie pozwalało jej być z Johanem. Odrzuciła go przecież tylko z jednego powodu. Czy mogła postąpić inaczej, kiedy on ryzykował życie ich dziecka? Ale nikt nie poparł jej decyzji: ani jej rodzice, ani przyjaciele. Wszyscy włącznie z Ollem byli zdania, że jest zbyt surowa. Olle zmienił swój stosunek do Johana na o wiele życzliwszy, kiedy poznał nową partnerkę, Marianne. Od tej pory wiele spraw, nie wyłączając opieki nad ich wspólnymi z Emmą dziećmi, stało się łatwiejszych w zaognionych dotąd relacjach między nimi. Właśnie teraz Sara i Filip spędzali dwa tygodnie z Ollem i Marianne na Krecie.

Dzieci Emmy z pierwszego związku lubiły Johana, a i on wyraźnie okazywał im

sympatię. Praca także nie stanowiła jakiegś przeszkody. Mógł pracować jako wolny strzelec na Gotlandii albo poszukać pracy w którejś z gazet czy w radiu.

Usiadła na sofie i wyłączyła telewizor. Dlaczego przekreśliła wspólną przyszłość z Johanem? Czy obawiała się prawdziwej miłości? Czy w głębi serca nie uważała, że jest jej warta?

Nagle dotarło do niej. To ona sama, a nie kto inny, z uporem wszystko psuła. Jeżeli natychmiast tego nie zaprzestanie, to straci Johana na zawsze.

Wstała pośpiesznie z sofy. Teraz już wiedziała, co powinna zrobić. Miała tylko nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

Statek był widoczny już z daleka. Swoją sylwetką przypominał prom i wyraźnie rysował się na tle horyzontu. Była godzina dwudziesta. Zachodzące powoli słońce barwiło niebo swoim czerwonym blaskiem. Johan i Pia siedzieli na wzgórzu i spoglądali w morze. Zabrali ze sobą pieczonego kurczaka i kilka piw, tak aby wyglądać na najzwyklejszą w świecie parę, która postanowiła urządzić sobie wieczorem piknik. Jedli w ciszy. Pia przywiozła lornetkę, którą od czasu do czasu podnosiła do oczu.

– Teraz kieruje się w naszą stronę.

Johan wziął od niej lornetkę. Statek zmienił kurs dokładnie tak, jak powinien był to zrobić, skręcił i kierował się powoli w stronę lądu. Wcześniej byli już w pobliżu portu i zrobili rekonesans. Wokół panowała cisza niczym przed burzą. Pia uzgodniła ze swoim kolegą, który pracował w porcie jako sztauer, że spotkają się o dziewiątej. Mieli uchodzić za parę jego przyjaciół, którzy odwiedzili go i przy okazji od kogoś ze statku chcieli kupić trochę alkoholu bez akcyzy. Viktor, bo tak miał na imię ten jej kolega, opowiadał, że zawsze gdy przybija statek, zbiera się jakaś grupka ludzi na nabrzeżu. Tak więc nie będą się rzucać w oczy.

Johan odpowiadał Pii półsłówkami, gdy próbowała zacząć z nim rozmowę. Myślał o Emmie i nie miał ochoty na pogaduszki.

– O czym myślisz? Wyglądasz na zupełnie nieobecnego – powiedziała Pia i otworzyła torbę izotermiczną. – Czy chcesz jeszcze jedno piwo?

– Tak, poproszę.

Wypił duży łyk zimnego napoju. Zapalił papierosa.

– Ależ ty zaczęłaś ostatnio dużo palić! No, powiedz, jak to jest naprawdę.

Pia podwędziła mu paczkę i potrząsając nią, wydobyła jednego papierosa.

– No i kto to mówi? A ty jeszcze w dodatku żujesz tytoń. Cóż, ciągle chodzi niestety o to samo, czyli o Emmę.

– Nie rozumiem, że wy dwoje nie możecie się jakoś dogadać. Co wy wyprawiacie?

Nawet ślepiec by dostrzegł, że jesteście dla siebie stworzeni.

– Tak, ale to jest taka skomplikowana sprawa.

– No to nie komplikuj tego jeszcze bardziej. No więc powiem ci, że według mnie to, że Emma przestraszyła się po tej historii z porwaniem Elin, jest zupełnie normalną sprawą. Ale dziwi mnie, że ty tego nie pojmujesz.

Johan się oburzył.

– O co ci chodzi? Czego nie pojmuję?

– Jak ciężko było Emmie praktycznie od chwili, kiedy ciebie poznała. To zrozumiałe, że po porwaniu Elin nie chciała mieć z tobą do czynienia, bo z jej punktu widzenia to ty naraziłeś Elin na niebezpieczeństwo. Trwa nadal w tym przekonaniu i dlatego teraz najłatwiej jest jej po prostu ciebie unikać. Do tego dochodzi jeszcze cała reszta: ten jej rozwód i ty, który nie możesz pozbierać się w swoim życiu, to znaczy chyba sam nie wiesz, na co masz się zdecydować – czy lepiej pozostać na kontynencie, czy zamieszkać na Gotlandii. A ona musi tutaj żyć w pełni odpowiedzialnie, starając się wszystko jakoś pogodzić: kwestię swoich dzieci z pierwszego związku, Ollego, no i jeszcze ciebie i Ellin. Czy próbowałaś ją zrozumieć? W pracy masz tyle empatii i jesteś taki etyczny, na wszystko musimy patrzeć po ludzku, biorąc pod uwagę dobro drugiego człowieka. A na ile potrafisz komuś współczuć, kiedy przyjdzie co do czego? Gdy chodzi o twoje własne życie czy życie najbliższych ci ludzi, którzy cię otaczają?

Pia zakończyła swój wywód kilkoma porządnymi łykami piwa.

Johan siedział zupełnie zmieszany i tylko na nią patrzył.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

– Próbowałam tak po trochu, ale ty przecież i tak nie słuchasz.

Johan nie zdążył odpowiedzieć. Zanim się pozbierał, zadzwonił telefon Pii.

– To był Viktor – powiedziała, kiedy skończyła rozmawiać. – Czas na nas.

Zjechali drogą prowadzącą w kierunku portu i zaparkowali samochód w należytej odległości od wielkich żelaznych bram, które prowadziły już do samego portu.

Pia miała pod swoją cienką koszulą kamerę i mikrofon, których nie było widać, gdyż przykrywała je jeszcze kurtka. Statek właśnie zaczął przybijać do nabrzeża. Przyplłynął o godzinę wcześniej, niż było to planowane. Johan zastanawiał się, jakież to towar przywiózł oprócz węgla. Kapitan portu, z którym Johan rozmawiał kilka godzin wcześniej, opowiadał, że węgiel rurami podłączanymi do statku wędruje bezpośrednio do dużych silosów w fabryce.

Operacja taka trwa ładnych parę godzin. Następnie na statek ładuje się cement. Za każdym razem statek pozostaje wówczas w porcie przez jedną albo dwie doby.

Na nabrzeżu zjawilo się sporo ludzi. Sztauerzy, kapitan portu i inne osoby, które przypuszczalnie czekały, żeby kupić alkohol, lecz podobnie jak Johan i Pia udawały, że przyszły tylko popatrzeć.

Kiedy statek przycumował, natychmiast otworzył się luk i wyszło kilku dobrze zbudowanych mężczyzn. Pia stuknęła Johana w bok.

– Co za ordynarne typy! – syknęła. – A tak na marginesie, to już się zaczyna. Pójdę się trochę rozejrzeć.

Mrugnęła do niego, a on dostrzegł oko kamery pomiędzy dwoma guzikami jej kurtki.

Mężczyźni ze statku zeszli na ląd. Jeden zapalił papierosa i rozglądał się, jakby na kogoś czekał. Inny znał już najwyraźniej parę osób stojących na nabrzeżu, bo objęli się serdecznie, rozmawiali i żartowali. Wokół statku zaczął się ruch i kapitan portu wydawał polecenia. Sam proces przeładunku rozpoczął się prawie od razu i niebawem zaczął warczeć jakiś silnik. Johan domyślił się, że rozpoczął się przeładunek węgla.

Miał założone okulary słoneczne i czapkę z daszkiem, którą naciągnął nisko na oczy, bo nie chciał ryzykować, że ktoś go rozpozna. Często widywano go bowiem w telewizji, mimo że był tylko reporterem i nie prowadził żadnego programu.

Rozejrzał się dookoła. Dostrzegł gromadę mężczyzn, którzy stali grzecznie i spoglądali z nadzieją w kierunku statku. Nie miał wiele do roboty, więc usiadł na jakiejś beczce. Przy trapie stało dwóch mężczyzn. Wyglądało na to, że robią jakieś interesy. Jeden z nich wyciągał ze skrzynki butelki z alkoholem, a drugi przyjmował zapłatę. Banknoty zmieniały właścicieli, a handel toczył się na oczach wszystkich. Johan miał nadzieję, że Pia filmuje. Rozejrzał się za nią. Po chwili zobaczył, że stoi koło Viktora, który kupował właśnie wódkę od mężczyzn przy trapie.

Kiedy zakup został sfinalizowany, Pia po prostu weszła na pokład.

Johan nie mógł się zdecydować, czy ma iść za nią, czy też nie. Nie musiał się długo zastanawiać. Chwilę później usłyszał syreny policyjne i cztery samochody z piskiem opon zatrzymały się na nabrzeżu. W ciągu kilku minut kilkunastu policjantów weszło na pokład statku, podczas gdy inni zatrzymywali osoby znajdujące się na nabrzeżu. Knutasa chyba wśród nich nie było, ale Johanowi mignęła w tłumie twarz Karin Jacobsson.

Niebawem ze statku zaczęli wychodzić ludzie. Pia szła pomiędzy dwoma postawnymi policjantami, którzy energicznie popychali ją przed sobą, gdy schodzili z trapu. Wtedy Johan dostrzegł Knutasa, który ruszył w kierunku Pii cały czerwony na twarzy.

– Co pani tu, do licha ciężkiego, robi? – wrzeszczał. – Co pani sobie w ogóle wyobraża?

Pia nie zwlekała z odpowiedzią.

– Mamy pełne prawo obserwować, co nam się podoba i ile nam się podoba. A może powinniśmy pańskim zdaniem za każdym razem dzwonić na policję i prosić łaskawie o zgodę na zrobienie reportażu?

– Możecie, do jasnej cholery, zepsuć nam przez to całe dochodzenie. Wypuście ją – polecił swoim kolegom.

Po chwili Knutas spostrzegł Johana.

– Aha, i pan oczywiście też! Że też nie może się pan trzymać z daleka od naszej roboty!

Od kiedy w wiadomościach telewizyjnych pokazano reportaż Johana z placu budowy w Stenkyrkehus, Knutas był poirytowany i zbywał go opryskliwym tonem. Ale teraz był po prostu wściekły.

– To sprawa policji, do diabła, a nie pałętających się bez przerwy reporterów. Jak mamy prowadzić dochodzenie, kiedy przez cały czas płaczecie się nam pod nogami? Czy myślicie może, że pomaga nam to w śledztwie?

Johan też się wkurzył.

– O czym pan, do licha ciężkiego, mówi? To jest miejsce publiczne, a my wykonujemy tylko swoją pracę. Dokładnie tak jak wy.

– Idźcie stąd – krzyknął Knutas. – Zanim was zaaresztuję.

– Tak, a za cóż to? Za zakłócenie porządku publicznego? A może za spowodowanie zagrożenia dla osób trzecich? A niech mnie diabli, coś takiego jest groźbą pod adresem reporterów.

Kiedy policjanci puścili Pię, podeszła do Johana i pociągnęła go za ramię.

– No, chodź już – powiedziała po cichu. – Spadajmy. I tak mamy to, co chcieliśmy.

Choć niechętnie, ale ruszył za nią. Potrząsnął głową w kierunku Knutasa i wymamrotał coś pod nosem.

– Masz szczęście, że nie słyszałem, co powiedziałeś – syknął Knutas. – Miej się na baczności.

Niedziela, 23 lipca

Knutas siedział i kołysał się na swoim zniszczonym już dębowym krześle biurowym obitym wyświechtaną, lakierowaną skórą. Kontrastowało ono mocno z pozostałymi elementami wyposażenia jego pokoju. Komendę odnowiono kilka lat temu, zmieniając jej wystrój na typowo skandynawski z białymi ścianami. Stare meble wymieniono na nowe – proste, jasne, sosnowe. Knutas nie potrafił się jednak rozstać ze swoim ulubionym krzesłem. Stymulowało ono jego procesy myślowe. Krzesło i fajka, którą właśnie starannie nabijał. Rzadko ją zapalał, ale dotykanie i wydłubywanie aromatycznego tytoniu pomagało mu zebrać myśli.

Przyjechał na komendę, mimo iż był niedzielny wieczór, żeby spokojnie przestudiować wyniki przesłuchań przeprowadzonych podczas weekendu wśród rosyjskiej załogi, która przywiozła ładunek węgla. Z jego punktu widzenia akcja ta przyniosła słabe rezultaty. Wprawdzie zarekwirowano setki litrów rosyjskiej wódki oraz zatrzymano grupę osób podejrzewanych o nielegalny handel, ale nie wniosło to nic nowego, co mogłoby posunąć śledztwo naprzód.

Nadal niezmordowanie prowadzono działania zmierzające do znalezienia broni. Skontrolowano wszystkie osoby mieszkające na Gotlandii i posiadające pozwolenie na broń. Nigdzie jednak nie znaleziono Korowina, którego użył morderca. Policja zdawała sobie oczywiście sprawę z tego, że w szwedzkich domach przechowuje się też pewną ilość nielegalnej broni. Co kilka lat przeprowadzano kilkumiesięczną akcję, podczas której każdy mógł anonimowo oddać swoją broń na policji, nie obawiając się, że zostanie ukarany. Ostatnio w ciągu trzech miesięcy zebrano siedemnaście tysięcy sztuk broni.

Knutas podparł głowę dłońmi. W tym całym śledztwie tkwił jakiś zasadniczy błąd. W żaden sposób nie mógł jednak wpaść na to, jaki to błąd.

Gotska Sandön,
22 lipca 1985 roku

Promienie słoneczne bezlitośnie obudziły ją, gdy leżała opatulona w śpiworze jak robak w kokonie. Minęło sporo czasu, zanim wreszcie doszła do siebie. Pierwsze, co poczuła, to tępy ból żołądka.

Spojrzała pod światło i usłyszała jakieś głosy na plaży. Z trudem usiadła i opuściła jeden z końców parawanu. Obok przechodziła grupa dziesięciu, może piętnastu osób w średnim wieku. Mieli plecaki, kapelusze chroniące przed słońcem i wygodne półbuty. Ich sporadyczne wybuchy śmiechu mieszały się z szumem morza. Beztrosko kontynuowali swoją wędrówkę. Ktoś rzucił okiem w jej stronę, ale równie szybko odwrócił wzrok. Nie byli nią zainteresowani.

Śpiwór jej siostry był pusty. Miała na ręku zegarek, który wskazywał piętnaście po jedenastej. O Boże, jak mogła tak długo spać? Wyrzała raz jeszcze. Tanji nie było nigdzie widać. Może poszła na spacer albo kąpała się gdzieś dalej. Lecz powoli zaczęła trzeźwo myśleć i powróciły wspomnienia z wczorajszego wieczora. Ci chłopacy ze Sztokholmu. Dobrze się bawili, urządzili sobie grilla, kąpali się, wypili mnóstwo piwa i wódki. Jeden z nich miał gitarę. Prawie że się w nim zakochała, kiedy grał. I nagle poczuła mdłości. Nie była w stanie dalej siedzieć, okropnie kręciło jej się w głowie. Musiała się na chwilę położyć. Była zła, że musi iść się wysuszać. Poszła więc za potrzebą, zwymiotowała w krzakach i ponownie położyła się w śpiworze za parawanem. Chciała poleżeć tak tylko przez chwilę, aż miną jej te mdłości. Ale chyba zasnęła.

Raz jeszcze opuściła jeden z końców parawanu i spojrzała na morze. Łodzi nie było już widać. Znów wsunęła się do śpiwora. W gardle jej zaschło, było jej ciepło i chciało się pić. Wstała, chwiejąc się na nogach, wyciągnęła butelkę i napiła się wody. Wysusiała się na skraju lasu, a potem obmyła się w morzu. W głowie nadal jej się kręciło. Ogromnie niepokoiła się o siostrę. Gdzie też podziała się jej młodsza siostra? A jeśli stało się jej coś złego?

– Tanja – zawołała najgłośniej, jak tylko mogła.

Chodziła po tej puściutkiej plaży tam i z powrotem, ale siostry nigdzie nie było.

Szukała jej więc potem w lesie rosnącym powyżej plaży. Im dłużej szukała, tym bardziej wzmagał się jej niepokój. Rajska plaża nagle wydała jej się groźna i niegościnna.

Kiedy zrobiła się już druga, zrezygnowała z dalszych poszukiwań i wzięła ze sobą tyle rzeczy, ile była w stanie unieść. Na wszelki wypadek zostawiła parawan, jedzenie i wodę oraz plecak Tanji. Na kawałku papieru napisała też, że wraca na pole namiotowe.

Zanim odeszła z plaży, odwróciła się po raz ostatni i długo jeszcze usilnie wyteżała wzrok.

Jednak nic nie dostrzegła.

Poniedziałek, 24 lipca

Upał w kamieniołomie był wprost nieznośny.

Morgan Larsson otarł pot z czoła i wyszedł ze swojego biura, które bardziej przypominało barak i znajdowało się przy lewym wyrobisku w pobliżu myjni dla ciężarówek.

W tym skwarze temperatura powoli, lecz nieuchronnie osiągała trzydzieści stopni, mimo że jeszcze nawet nie było południa. Wsiadł do terenówki i skierował się ku największemu kamieniołomowi, Fila Hajda, pięć kilometrów dalej.

Miał za zadanie przygotować dzisiejszą detonację.

Detonacja miała odbyć się o godzinie wpół do dwunastej. Była to najlepsza pora, gdyż kończyła się akurat pierwsza zmiana robocza i większość ludzi jadła wówczas obiad w dużej kantynie na drugim końcu zakładu.

Droga szerokości sześćdziesięciu metrów pokryta była białym kurzem wapiennym. Musiała być tak szeroka, aby wszystkie pojazdy kursujące między terenem fabrycznym a oboma wyrobiskami mogły nią przejechać. Ciężarówki całymi dniami jeździły tam i z powrotem po kamień wapienny, który zabierały do olbrzymiej kruszarki w fabryce, gdzie przetwarzano go na cement. Ciągłe jeździły też tędy polewaczki. Gdyby stale nie polewały drogi, to nad całą Gotlandią zapewne wciąż byłaby widoczna gigantyczna chmura pyłu.

Samochody jeździły codziennie przez okrągły rok, od godziny szóstej rano do dziesiątej wieczorem. Przerwę robiły jedynie na czas codziennej detonacji ładunków wybuchowych.

Po obu stronach drogi rósł niski las. W tej suchej okolicy karłowate sosny i krzaki jałowca zdawały się toczyć ciągłą walkę o przeżycie. Były pokryte białym pyłem, tak jakby ktoś posypał cały las cukrem pudrem. Robiło to zdecydowanie upiorne wrażenie.

Morgan Larsson pozdrowił kierowcę załadowanej do pełna ciężarówki jadącej z wyrobiska.

Odczuwał znane mu już dobrze mrowienie w żołądku przed kolejną detonacją, podczas której w jednej chwili rozkruszonych zostaje czterdzieści tysięcy ton kamienia. Mimo że uczestniczył już w tak wielu detonacjach, w dalszym ciągu patrzył zafascynowany, jak ogromne bloki skalne osuwają się, poszerzając coraz bardziej i tak już wielki krater. W

całym tym spektaklu było coś niepowtarzalnego. Skała poddawała się, pękała i znikała stąd na zawsze.

Kiedy Morgan Larsson dotarł do wyrobiska, wjechał po zboczu na sam jego wierzchołek. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości od urwiska, otworzył drzwi swojej terenówki i wysiadł z niej. Pot spływał mu po plecach, pod pachami i w pachwinach. Bardzo chciało mu się pić, więc zaspokoił pragnienie, wlewając w siebie całą butelkę wody mineralnej.

Dwaj pozostali koledzy, którzy razem z nim nadzorowali kamieniołom podczas detonacji, mieli przybyć tu za kilka minut. Nie mógł ich wprawdzie widzieć z miejsca, gdzie się teraz znajdował, ale mieli ze sobą łączność radiową. Kontrola była tak dokładna, że w czasie detonacji nikt niepowołany nie miał prawa znaleźć się ani w samym kamieniołomie, ani nawet w jego pobliżu. Siła wybuchu była przeogromna, gdyż tysiące ton kamienia odrywały się od brzegów wyrobiska i pędziły w dół do wielkiej dziury, na którą teraz spoglądał z góry.

Istniało ryzyko, że kamienie mogą rozsypać się dokoła. W zeszłym roku jeden z ich kolegów zginął, kiedy jakiś odłam skalny trafił go prosto w głowę.

Morgan stanął tak blisko skraju urwiska, jak tylko odważył się podejść, i powiódł wzrokiem wzdłuż krawędzi wyrobiska. Miało ono dziewięćset metrów długości i sześćset szerokości. Tworzące je ściany skalne miały wysokość sześćdziesięciu metrów. Był to jeden z największych kamieniołomów w całej Szwecji, więc dumny był z tego, że tu pracuje. Był strzałowym od niemal dwudziestu lat i lubił swoją pracę. Miał też odpowiedzialne zadanie. Musiał dopilnować, aby każda z dziur wypełnianych dwustoma albo trzystoma kilogramami ładunku wybuchowego została wykonana dokładnie tam, gdzie powinna i aby miała wymaganą głębokość.

Jakieś dwadzieścia metrów od krawędzi urwiska stała okrągła drewniana budka wartownika, w której chronił się podczas wybuchu. W środku znajdował się też przewód elektryczny, który niebawem miał podłączyć do aparatu zapłonowego schowanego na razie w kieszeni.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze dziesięć minut. Po drugiej stronie wyrobiska zabłysło światło. Przyjechał samochód z dwoma kolegami. Każdy z nich stał na swoim miejscu, prawie kilometr jeden od drugiego, kiedy sprawdzali, czy w pobliżu nie ma nikogo niepowołanego. Włączył radio.

– Halo, tu Morgan. Wszystko w porządku?

– Tak. Wygląda na to, że wszędzie jest pusto – usłyszał głos Kjella.

- No, to jeszcze pięć minut.
- Dobra. Czy skoczmy potem na obiad?
- Koniecznie. Na razie!

Włożył radio z powrotem do kieszeni na piersi, odwrócił się i poszedł wolnym krokiem w stronę szeregu głębokich dziur, które wywiercono wzdłuż krawędzi urwiska. Pochylił się, spojrział w dół i sprawdził, czy wszystko było jak trzeba.

Kiedy się wyprostował, wydawało mu się, że dostrzegł, iż w budce wartownika ktoś się rusza. O cholera! Był, delikatnie mówiąc, niemile zaskoczony. Nikomu niepowołanemu nie wolno było tutaj przebywać. Zwłaszcza gdy pozostało już tylko kilka minut do wybuchu. Pospieszył w stronę budki i coś krzyknął. Koledzy byli zbyt daleko od niego, by zwrócili na to uwagę. Wymacał radio, które udało mu się uruchomić, gdy stanął już na progu budki. O dziwo, nikogo jednak tu nie było. Obszedł ją dookoła, nie znajdując jednak żywej duszy. Udał się na zwiad w stronę lasu. Nic. Czyżby miał jakieś zwidy? Może to ciepłe powietrze zrobiło mu kawał. Powoli zbliżał się moment, kiedy mieli odpalić ładunek. Spojrział w niebo. Było zupełnie bezchmurne, a słońce niczym lampa świeciło mu prosto w twarz. W gardle całkiem mu już zaschło, a język lepił się do podniebienia. Coś zatrzeszczało w radiu.

- Czy wszystko w porządku, Morgan?
- Tak. Wydawało mi się, że ktoś tu jest, ale chyba mi się przywidziało. Czy nie dostrzeżliście niczego dziwnego?
- Nie, wyrobisko jest puste. Ale dla pewności mogę sprawdzić jeszcze raz przez lornetkę. Mamy jeszcze kilka minut.
- Dobra, dzięki.

Czekając na sygnał od kolegi, spoglądał przez szparę w budce. Łał się z niego pot. Miał wrażenie, że ktoś mu w czymś przeszkodził i z tego powodu nie był tak podekscytowany, jak to zwykle bywało. Chciał już tylko mieć to wszystko za sobą, żeby mogli sobie potem spokojnie pójść na obiad.

- Halo, Morgan! Nie widzę niczego osobliwego. Wszędzie panuje spokój.
- To dobrze. No to zaczynamy.

Kiedy spojrział w górę, aż się zatrząsł. Nie zauważył nawet, że jakiś obcy człowiek stanął naprzeciw, tuż przed wejściem do budki. Intruz spojrział na niego chłodnym wzrokiem i skierował nagle w jego stronę lufę pistoletu.

- O co chodzi? – wyjąkał Larsson.
- Ściany ciasnej budki jakby się skurczyły.

W kieszeni Morgana Larssona znowu zatrzeszczało radio.

– Halo, Morgan! Jesteś tam? Morgan... Morgan?

– Wyłącz! – rozkazał mu nieznajomy. – Bo będę strzelać.

Drżącymi rękoma Morgan wyłączył radio. Nastąpiła cisza.

W jego głowie myśli gnały tam i z powrotem jak oszalałe. Eksplozja powinna nastąpić w tym właśnie momencie. Zawsze dokładnie trzymał się ustalonego czasu, był dokładny co do sekundy. Zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim jego dwaj koledzy zareagują jakoś na wyłączenie radia i brak eksplozji.

Przed oczami mignęła mu twarz Petera Bovide. Zastrzelono go dwa tygodnie temu. Czy teraz przyszła kolej na niego? Nic więcej nie zdążył pomyśleć, gdyż intruz podał mu przewód elektryczny, który miał zostać podłączony do urządzenia zapłonowego.

Dał mu znak, że ma odpalić.

Wymacał w kieszeni aparat detonacyjny, który był nie większy niż paczka papierosów. Podłączył do niego przewód i nacisnął. Hałas był ogłuszający. Odgłos wybuchu popłynął nad zapyłonym, pustym kamieniołomem. Upudrowany, niski i niedożywiony las otaczający to miejsce aż się od niego zatrzęsł. Z dna krateru unosiła się w górę chmura pyłu. Mała budka wartownika utonęła w gęstej warstwie powybuchowych oparów.

Pył kłuł w oczy, wciskał się do gardła i przenikał przez ubranie. Zamknął oczy, żeby uniknąć najgorszego, bo wiedział, co teraz nastąpi. Nadal słychać było spadające olbrzymie bloki skalne, które odrywały się od ścian kamieniołomu i rozбивały się na jego dnie z oszałamiającym hukiem.

Kiedy padł pierwszy strzał z pistoletu, jego odgłos zlał się z hukiem eksplozji.

Brygadzysta Kjell Johansson opuścił powoli na dół rękę, w której trzymał głuche radio. Tak więc Morgan przeprowadził jednak detonację, choć spóźnioną o kilka minut. Nigdy nie miał w zwyczaju się spóźniać, więc zapewne miał teraz jakiś powód. Chociaż dziwne, że nie odpowiadał przez radio. Czyżby je gdzieś odłożył? To też było raczej mało prawdopodobne. Dla pewności zawsze pozostawali ze sobą w kontakcie przez jakieś pięć, dziesięć minut po eksplozji. Zdarzało się bowiem czasami, że kamienie odrywały się jeszcze dość długo po eksplozji.

Coś tu było nie tak. Kjell Johansson podniósł lornetkę do oczu i obserwował drugą stronę kamieniołomu, żeby zobaczyć, co też dzieje się z Morganem.

Najpierw nie dostrzegł niczego. Budka wartownika wydawała się pusta, a samochód Morgana stał w tym samym miejscu co przedtem. Rozglądał się dalej po okolicy i nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy dojrzał jakąś postać ubraną na ciemno, która zdecydowanie nie była Morganem Larssonem, a która wyszła z jego budki i zmierzała w stronę lasu. Nie odrywając lornetki od oczu, Kjell Johansson chwycił ponownie radio.

– Morgan, do licha! Morgan, co się tam dzieje?

Nadal nie było żadnej odpowiedzi.

Kjell Johansson przywołał do siebie kolegę z drugiego końca wyrobiska.

– Coś się musiało stać. Morgan nie odpowiada, a jakiś czort wdarł się na tamten teren i był w budce wartownika. Widziałem, jak właśnie stamtąd wychodził. Musimy się tam dostać. I to teraz.

Gdy tylko obaj mężczyźni przedostali się na przeciwległą stronę wyrobiska, od razu zrozumieli, że zaszło tu coś poważnego. Na ziemi znaleźli zniszczoną krótkofalówkę Morgana.

Kiedy zbliżyli się do budki, w której przebywał zwykle strzałowy, zwolnili kroku.

Obaj aż cofnęli się na przerażający widok, jaki ukazał się ich oczom. Morgan Larsson leżał na podłodze, a jego ciało było jakoś dziwnie wykrzywione. Ich wzrok padł najpierw na

jego brzuch. Widać było na nim mnóstwo krwawych ran postrzałowych, na których zdążyła się już w tym upale zgromadzić chmara much i innych owadów.

Knutas, Karin i Wittberg pojechali jednym samochodem do Slite. Wielkie budynki fabryczne zdominowały krajobraz w północno-wschodniej części Gotlandii. Wapienny kamieniołom był naprawdę ogromny. Leżał przy drodze jak jakiś gigantyczny krater.

Knutas zahamował przy wjeździe na teren fabryki.

Kapitan portu z „Cementy” pilotował ich dalej do kamieniołomu, gdzie znaleziono ciało.

– Czy może nam pan powiedzieć, co na razie wiadomo? – zapytał Knutas, gdy wjeżdżali przez metalową bramę na teren fabryki.

– No cóż, Morgan miał tu nadzorować detonację. Było z nim jeszcze dwóch kolegów, ale każdy z nich stał na innym końcu kamieniołomu, prawie kilometr od drugiego.

– W jaki sposób utrzymywali łączność?

– Drogą radiową. Tamci dwaj mieli za zadanie przypilnować, żeby podczas detonacji nie było nikogo w pobliżu. Jak państwo zapewne wiedzą, kiedy ruszają tysiące ton kamienia, wyzwała się potężna siła. Na krótko przed detonacją Morgan powiedział, że wydawało mu się, iż widzi kogoś w pobliżu swojej budki wartownika. Potem powiedział, że jednak mu się chyba przywidziało. Podczas detonacji koledzy próbowali wywołać go przez radio, ale nie odpowiadał. Jeden z nich dostrzegł przez lornetkę jakiegoś człowieka, który wyszedł z budki i biegł w stronę lasu.

– Jak nazywa się ten pracownik, który to widział i gdzie teraz jest? – zapytał podniecony Knutas.

– Kjell Johansson. Na pewno jest teraz w biurze z tym drugim kolegą, Arne Peterssonem, z którym razem znaleźli ciało.

– Proszę im powiedzieć, aby się stamtąd nie ruszali, gdyż chcemy z nimi jeszcze porozmawiać, zanim opuszczą zakład. To bardzo ważne.

Kapitan portu skontaktował się przez radio z biurem i polecił, aby obaj świadkowie pozostali na miejscu.

– Zaraz tam będziemy – powiedział.

Najpierw przejechali koło samej fabryki z ogromnymi silosami i taśmociągami, które transportowały odłamki skalne do miejsc ich dalszej obróbki, oraz piecami rotacyjnymi, gdzie wypalano kamień wapienny.

Potem pojechali do większego z wyrobisk, przy którym doszło do morderstwa. Samochód podskakiwał na żwirowej drodze, która wiła się niczym szeroka, długa bruzda pomiędzy wysokimi ścianami skalnymi.

– Jak dobrze znał pan Morgana Larssona? – zapytał Knutas.

– Dobrze. Pracował tutaj od dwudziestu lat, prawie tak długo jak ja.

– Czy trudno jest osobom postronnym dostać się na ten teren?

– To właściwie żaden kłopot. Nie jesteśmy w stanie ogrodzić całej fabryki, a jeszcze do tego obszaru wokół wyrobisk. Powyżej rozciągają się rozległe tereny leśne, Fila Hajdar, od których pochodzi zresztą też nazwa samego wyrobiska.

– Czyli że jeśli ktoś jest tu, u góry, to może uciec stąd bez problemu? Również samochodem?

– Tak, wszędzie w lesie są małe drogi.

Knutas zaklął po cichu. Samochód piął się pod górę po stoku obok wjazdu na teren samego wyrobiska. Zaparkowali go niedaleko budki wartownika.

– Leży tam w środku – powiedział kapitan portu.

Okrągła budka wartownika nie miała więcej niż półtora metra kwadratowego powierzchni. Zatrzymali się przed wejściem, żeby nie zatrzeć ewentualnych śladów. Morgan Larsson leżał na podłodze na boku z twarzą skierowaną do góry.

Knutas od razu zauważył, że strzelano do niego i w głowę, i w brzuch. Dokładnie tak samo jak w przypadku Petera Bovide. Nie było ani cienia wątpliwości, że mieli do czynienia z tym samym zabójcą.

Spojrzał na Karin. Była zupełnie blada na twarzy.

– Cholera! Co to za jakiś wariat – mruzczał Wittberg.

Karin nie powiedziała ani słowa. Knutas spojrzał na swoich kolegów.

– Możemy być pewni, że mamy do czynienia z tym samym sprawcą. Rana w czole wygląda na identyczną jak u Petera Bovide.

Na górę wjechało kilka kolejnych samochodów policyjnych. Z pierwszego wyskoczył Erik Sohlman.

– Co się stało?

Zanim ktokolwiek zdążył mu odpowiedzieć, Sohlman był już przy zwłokach. Nagle

zatrzymał się i patrzył zmieszany na twarz ofiary.

– Morgan... Morgan, o cholera!

Karin podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

– Co się dzieje? Czy znałeś go?

– To przecież Morgan – wymamrotał Erik. – Morgan Larsson.

W mniejszym wyrobisku stało kilka baraków, w których mieściło się też biuro i pomieszczenie socjalne. Tam czekał Kjell Johansson – brygadzysta, który znajdował się w kamieniołomie w momencie zabójstwa. Miał jakieś pięćdziesiąt lat, bladą twarz i zaciśnięte zęby.

– Czy może pan nam opowiedzieć, co się stało?

– Pojechaliśmy do kamieniołomu jak zwykle na jakieś piętnaście minut przed detonacją. Morgan już tam był, jak zawsze przed nami.

– Czy po drodze zauważył pan coś szczególnego?

– Nie, zupełnie nic.

– A co się stało, kiedy dojechaliście na miejsce?

– Ja i mój kolega jak zwykle poszliśmy każdy na swój koniec wyrobiska. Morgan znajdował się po drugiej stronie kamieniołomu. Kontaktowaliśmy się ze sobą jak zawsze przez radio. Ale w pewnym momencie Morgan powiedział nagle, że chyba widzi, jak ktoś kręci się koło budki, w której on stoi zwykle podczas detonacji.

– A on gdzie wtedy był?

– Sprawdzał ładunki. Zawsze to robił.

– Co dokładnie widział?

– Tego nie powiedział, tylko tyle, że chyba ktoś się tam rusza. Prosił, żebym to jeszcze sprawdził. Ale ja niczego nie dostrzegłem.

– A co było potem?

– Nie wiem, co się stało potem. Było już wpół do dwunastej, a Morgan był zawsze punktualny co do sekundy. Traktował to, powiedzmy, jak jakieś zawody sportowe, zawsze chciał zdetonować ładunek dokładnie w wyznaczonym czasie. Ale tym razem było już kilka minut po ustalonej godzinie, a mimo to nic się nie działo. Próbowałem skontaktować się z nim przez radio, ale nie odpowiadał. No, a potem nastąpiła eksplozja.

Kjell Johansson zamilkł i spojrzał na zrogowaciałą skórę swoich dłoni.

– Czy wyraźnie widział pan tę drugą osobę?

– Tylko mi mignął, ale był ciepło ubrany jak na ten upał. Wydaje mi się, że miał na sobie ciemne spodnie i dużą, ciemną koszulę.

Knutas spojrzał bardzo poważnie na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie stołu.

– To, o czym pan w tej chwili mówi, ma ogromne znaczenie, gdyż widział pan sprawcę na własne oczy. Proszę spróbować przypomnieć sobie jak najdokładniej jego wygląd. Ważny jest każdy najmniejszy szczegół.

– Proszę się nie spieszyć, tylko spokojnie zastanowić – dodała Karin.

– Widziałem go zaledwie przez parę sekund i z dość dużej odległości. Wyszedł z budki Morgana tuż po wybuchu. Poruszał się w dość charakterystyczny sposób, tak jakby nieco niezdarnie. Być może trochę kulał. Był niższy od Morgana, który miał zdaje się metr osiemdziesiąt pięć. Tamten był natomiast co najmniej z dziesięć centymetrów niższy. Tego jestem pewien.

– Czyli osoba, którą pan widział, ma około metra siedemdziesięciu pięciu wzrostu?

– Tak, mniej więcej tyle.

– Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko potoczyło się tak szybko.

– A co oni robili?

– Przypuszczam, że rozmawiali ze sobą. Ponieważ Morgan nie odpowiadał przez radio, cały czas obserwowałem jego budkę przez lornetkę. Kiedy nastąpiła detonacja, cała budka znikła w chmurze pyłu. Wtedy tamten wyszedł i poszedł w stronę lasu.

– A co było potem?

– Nic więcej. Niepokoilem się o Morgana, więc natychmiast tam pojechaliśmy.

– A tego drugiego już nie było?

– Zgadza się.

– Czy Morgan znał Petera Bovide, tego stolarza, którego zastrzelono kilka tygodni temu? Czy wie pan coś na ten temat? – zapytała Karin.

Twarz Kjella Johanssona spochmurniała.

– Nie sądzę, ale zwróciłem uwagę, że robił się jakiś taki dziwny, kiedy rozmawialiśmy tu w pracy o tym morderstwie na Fårö.

– Aha? A jak się wtedy zachowywał?

– No, wiadomo że dużo się o tym gadało. Peter Bovide mieszkał przecież tu, w Slite, a jego firma wykonywała nawet jakieś zlecenia dla naszej fabryki. Między innymi odnawiali baraki. Morgan był jedynym, który nigdy nie komentował tego morderstwa. Najpierw się nad

tymi nie zastanawiałem, ale po kilku dniach zauważyłem, że Morgan albo milkł, albo też wychodził z pomieszczenia, gdy tylko zaczynało o tym rozmawiać. Wtedy zapytałem go nawet, czy znał Petera Bovide.

Karin pochyliła się do przodu.

– A co on na to?

– Powiedział, że nie znał i zdziwił się, dlaczego tak w ogóle pomyślałem. Ale stał się zaraz bardzo niespokojny, tak jakby już samo to pytanie go zdenerwowało.

– A co mu pan powiedział?

– Nic. Zrozumiałem, że to jakaś delikatna sprawa i dałem temu spokój. No, a teraz Morgan też został zamordowany. Niech to diabli!

W głosie Kjella Johanssona słychać było rozpacz.

– Czy jest jeszcze coś, co mógłby pan nam powiedzieć o Morganie? – zapytał Knutas.

– Coś, na co zwrócił pan uwagę albo co pańskim zdaniem było dziwne? Może jakaś nowa osoba, którą poznał?

Brygadzysta potarł ręką oczy i spojrzał na policjantów.

– Właściwie jest jedna taka rzecz.

– Co to takiego?

– Wydawał się dość podenerwowany po swoim przyjeździe z wyspy Gotska Sandön.

– Gotska Sandön?

– Tak, był tam w zeszły weekend. Jeździł tam zwykle regularnie, chociaż wcale nie był jakimś miłośnikiem natury. Nie znosił chodzenia po lesie ani przebywania na świeżym powietrzu. Jak mieliśmy jakieś imprezy zakładowe w plenerze, to on nigdy nie chciał z nami jechać. Morgan najchętniej siedział w domu, pił piwo i oglądał sport w telewizji. W taki sposób najlepiej odpoczywał. A jednak miał pojechać na Gotska Sandön. Zrobił rezerwację na zeszły tydzień. I chociaż w pracy mieliśmy duży problem z robotą, bo kilka osób nam się rozchorowało, to nie zgodził się przesunąć tego wyjazdu. Wiem, że szef próbował go nakłonić do przyścia do pracy, nawet obiecując mu jakąś premię czy coś innego, ale mu się nie udało. Powiedział, że musi tam pojechać teraz, bo potem absolutnie się nie da.

– A co takiego miał robić na Gotska Sandön?

– Pojęcia nie mam. Wiem tylko, że czasami tam jeździł, bo był tam już nieraz wcześniej.

– Czy jeździł tam sam?

– Tak myślę. Był typem samotnika. Nie miał ani rodziny, ani żadnej partnerki. Mieszkał sam i wydaje mi się, że prawie wszystko robił sam.

– Kiedy dokładnie tam był?

– Wyjechał w piątek, a wrócił wczoraj wieczorem.

– Czyli ostatnią rzeczą, jaką zrealizował przed śmiercią, był ten wyjazd na Gotska Sandön? I mówi pan, że bywał tam już wcześniej.

– Tak, co najmniej kilka razy.

– Czy wie pan, dlaczego tam jeździł?

– Nie wiem. Nigdy przedtem nie zastanawiałem się nad tymi jego wyjazdami, ale tym razem było wyraźnie widać, że nic nie jest w stanie zmusić go do rezygnacji z wyjazdu. Musiało to być coś bardzo dla niego istotnego. Gdy zapytałem go, co to za piekielnie ważna rzecz, że zostawia nas na łodzi tu w pracy, to się tylko strasznie wkurzył i wrzasnął na mnie, że to nie moja sprawa. Byłem naprawdę zaskoczony, że zareagował aż tak cholernie impulsywnie.

– Musimy to zbadać – stwierdził Knutas. – Natychmiast.

Spojrzał prosząco w stronę Karin.

– W porządku, zrobi się. Mogę jechać od razu.

Johan pozwolił sobie dłużej pospać, mimo że był poniedziałek. Nie wiedział, czy w ogóle da radę pójść do pracy. Problemy z Emmą załamywały go. Od ich sprzeczki upłynął już cały tydzień, ale mimo to nie mógł się przemóc, żeby się z nią skontaktować. Madeleine pojechała do domu do Sztokholmu już następnego dnia po tamtej nieszczęsnej niedzieli. I dobrze, że tak wyszło. Przez cały tydzień intensywnie pracował i starał się nie myśleć o Emmie. Potrzebował chwilowego oderwania się od niej i od wszystkich swoich problemów. Któregoś dnia wziął wolne i pojechał do jej rodziców na Fårö. Zabrał od nich Elin i był z nią przez cały dzień. Było cudownie, a zarazem okropnie, bo nie mógł ciągle przebywać ze swoim dzieckiem.

Czuł się zmęczony i przygnębiony. Zadzwoił do Pii i powiedział, że zostanie w domu, jeżeli nic ważnego się nie wydarzy. A Grenfors niech sobie gada, co mu się żywnie podoba. Wskoczył jeszcze potem do łóżka na jakąś godzinkę i wstał dopiero wtedy, kiedy miał już dość leżenia.

Wziął prysznic i nastawił wodę na kawę. Kiedy z mokrą głową i opasany ręcznikiem poszedł do przedpokoju, aby zabrać poranną prasę, zauważył na podłodze jakąś kopertę. Wiedział, czyje to było pismo.

Na przodzie było napisane tylko „Dla Johana”.

A więc była tutaj osobiście, ale nie zastała go, więc zostawiła mu wiadomość. Musi to więc być coś ważnego. Zanim otworzył list, nalał sobie kawy i zapalił papierosa. Wprawdzie zazwyczaj nie palił w domu, ale niech tam! Przez głowę przelatowały mu tysiące myśli, kiedy niezdarnie otwierał kopertę.

Zanim zaczął czytać, zwilżył wargi.

Kiedy zadzwoniła Pia, nadal siedział nieruchomo z kartką w ręku. Nie mógł się ruszyć. Cały czas próbował zebrać myśli.

W jej głosie słyszeć było, że coś się stało.

– W kamieniołomie w Slite zastrzelono jakiegoś mężczyznę. Za ledwie pół godziny temu. Przyjadę po ciebie. Czekać na mnie przy bramie Söderport, będę tam za pięć minut.

Johan wstał. Tylko coś tak bardzo ważnego mogło go oderwać od otrzymanej od Emmy wiadomości. Szybko włożył szorty i podkoszulek, i z mokrymi jeszcze włosami pobiegł w kierunku bramy Söderport.

Dziesięć minut później byli już w drodze do Slite. Przez większą część drogi Johan wisiał na telefonie. Najpierw rozmawiał w policję, która nie chciała mu nic powiedzieć z wyjątkiem tego, że w kamieniołomie w Slite znaleziono martwego mężczyznę. Potem zadzwonił do Grenforsa, który nie mógł wprost uwierzyć, że na Gotlandii popełniono kolejne morderstwo.

Brama wjazdowa do kamieniołomu i na teren fabryki była zamknięta.

– Cholera, nawet tam nie wjedziemy. No, to leżymy – westchnęła Pia.

Stali tak przy ogrodzeniu i gapili się jak dwa cymbały. Nagle Pię olśniło.

– Mam kolegę, który tam pracuje. Spróbuję go złapać.

Teren, na którym popełniono morderstwo, był ogromny i niemożliwy do sforsowania od tej strony. Ludzie pracujący w fabryce znajdowali się spory kawałek od bramy wjazdowej, więc nie było też kogo zaczepić.

Kiedy Pia zakończyła rozmowę, spojrzała triumfująco na Johana.

– Już wiem, co zrobimy.

Chwilę później dotarli na sam szczyt kamieniołomu. Pia skręciła z głównej drogi w leśną dróżkę. Samochód podskakiwał na nierównościach terenu. Wszędzie było widać ślady kamienia wapiennego. Ziemia miała biały kolor, a te krzaki i drzewa, którym jakoś udało się przeżyć w tym niesprzyjającym środowisku, pokryte były cienką warstwą białego nalotu.

– Czuję się tu, jakbym był w jakimś innym świecie – powiedział Johan. – Co za upiorna okolica.

Droga zwężała się coraz bardziej i w końcu Johan zaczął się zastanawiać, czy faktycznie powinni nią dalej jechać.

– A jeżeli tam nie będziemy mogli nawet zawrócić?

– Trudno, zaryzykujemy – powiedziała Pia i wpatrywała się z uwagą przed siebie. Konary i gałęzki uderzały w przednią szybę, więc wręcz przebijali się przez zarośnięty chaszczami las. Powoli ich oczom zaczęła się ukazywać polana, na której ostatecznie zaparkowali.

Pia zabrała kamerę i jeszcze węższą ścieżką niż ta, którą jechali, ruszyli w głąb lasu. Niebawem dotarli do wyrobiska. Przed nimi rozpościerał się ogromny lej.

– O Boże – zawołała Pia. – Czy widziałeś kiedyś coś podobnego?

– Nie, nigdy.

Widok był fascynujący i przerażający zarazem.

– No tak, jak zwykle nie zabraliśmy ze sobą nic do picia. Mam wrażenie, że moje gardło jest całe pokryte pyłem tak samo jak ta ziemia.

Odważyli się podejść bliżej krawędzi i wówczas ujrzeli kilka samochodów policyjnych oraz ludzi, którzy się przy nich kręcili. Szybko cofnęli się na skraj lasu, aby ich nie dostrzeżono.

– Co to jest? – Pia zerwała się i wskazała palcem w kierunku drugiej strony urwiska.

– Nie mam pojęcia – Johan mrużył oczy na silnym słońcu. – Wygląda jak mała szopka.

Pia rozstawiła statyw i zaczęła filmować. Zrobiła panoramiczne ujęcie urwiska i zatrzymała kamerę na szopie.

– No i co teraz?

– O co chodzi?

Pia podniosła rękę, żeby go uciszyć. Stała tak długo i filmowała ciągle ten sam motyw, a Johan miał już serdecznie dość tego upału. Niczego nie widział, bo obiekt znajdował się zbyt daleko od nich. Kiedy wreszcie skończyła, spojrzała na niego i uśmiechnęła się tajemniczo.

– No, myślę, że na jesieni dostanę etat w programie „Raport”. Mówię ci tak tylko, żebyś wiedział.

Karin miała pecha. Policyjny helikopter był zajęty, a straż przybrzeżna przeprowadzała akurat gdzie indziej zakrojone na szeroką skalę ćwiczenia. Przerwanie ich i zabranie Karin potrwałoby dłużej, niż gdyby dotarła na wyspę Gotska Sandön kursującym tam regularnie statkiem. Najbliższy statek odpływał już o godzinie czternastej trzydzieści. Ktoś na komendzie był na tyle przewidujący, że przefaksował jej dane osobowe Morgana Larssona i kopię jego zdjęcia paszportowego, zanim opuściła kamieniołom.

Kiedy Knutas wrócił na komendę, w wydziale kryminalnym praca wrzała już na całego. Ludzie biegali od jednego pokoju do drugiego i wymieniali informacje. Kihlgård wyszedł mu naprzeciw:

– O co tu do licha chodzi? Tak zwany urlopowy raj zamienia się po prostu w jakąś Sycylię!

To porównanie było może trochę przesadzone, ale Knutas zrozumiał aluzję Kihlgårda, mając jeszcze w pamięci zeszłoroczne morderstwa, w trakcie których nawet odrąbywano koniom łby. Postanowił jednak nie odpowiadać koledze. Chwycił go za ramię i zaciągnął do pokoju konferencyjnego.

– Odprawa. Grupa dochodzeniowo-śledcza. Natychmiast! – krzyczał tylko, przemierzając szybko korytarz. Jego słowa zdawały się przenikać przez ściany mimo gwaru i hałasu, gdyż wszyscy zebrali się w ciągu kilku minut.

Oprócz Karin nie było też Erika, który nadal przebywał na miejscu zbrodni.

– O godzinie jedenastej pięćdziesiąt dwie zgłoszono dyżurnemu policjantowi, że znaleziono zastrzelonego mężczyznę w drewnianym pomieszczeniu w największym kamieniołomie w Slit, który nazywa się Fila Hajdar i leży na zachodnim krańcu wyspy – zaczął swoje wystąpienie Knutas. – Znaleźli go koledzy, którzy wraz z nim mieli bezpośrednio nadzorować detonację. Leżał na podłodze w budce wartownika z raną postrzałową na czole. Ale to jeszcze nie wszystko. Oddano do niego również wiele strzałów w brzuch. Dokładnie tak samo jak w przypadku Petera Bovide.

– Kim jest ofiara? – zapytał Smittenberg.

– Mężczyzna ten nazywa się Morgan Larsson. Czterdzieści jeden lat, nieżonaty, bezdzietny. Pracował w fabryce jako strzałowiy i był tam zatrudniony od dwudziestu lat. Mieszkał w samym centrum Slite. To wszystko, co na razie o nim wiemy. No, może jeszcze to, że chodził z naszym Erikiem Sohlmanem do tej samej klasy.

– O, a więc znali się. Czy dobrze? – zapytał Kihlgård.

– Chyba niezbyt dobrze. W każdym razie Erik jeszcze tam jest. Poza tym na miejscu zdarzenia dowiedzieliśmy się, że Morgan Larsson był na wyspie Gotska Sandön w zeszły weekend. Tak więc była to ostatnia rzecz, jaką przedsięwziął, zanim go zamordowano. Karin udało się jeszcze zdążyć na popołudniowy prom, który tam płynie. No cóż, zabezpieczyliśmy spory obszar wokół kamieniołomu. Rosnący powyżej wyrobiska las przeczesują patrole policyjne z psami, a na drogach wokół Slite ustawiono blokady. Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z tym samym mordercą. Łuski znalezione na miejscu zbrodni są identyczne jak te, których użyto poprzednim razem. Według Sohlmana wygląda na to, że pochodzą z tej samej broni, czyli z rosyjskiego pistoletu wojskowego z lat dwudziestych.

– Kto do licha ciężkiego korzysta z takiej starej broni? – zastanawiał się Kihlgård. – To jest przecież prawdziwy zabytek.

– Nie wygląda to na profesjonalistę. Zgadzałoby się też ze sposobem, w jaki dokonano morderstwa – powiedział Wittberg. – Poza tym oznacza, że możemy skreślić Estończyków z listy podejrzanych, gdyż w tej chwili przecież siedzą w areszcie.

– Przyjrzyjmy się temu, co już wiemy – uciął Knutas. – Mamy świadka. Jeden z brygadzystów, który uczestniczył w detonacji, widział sprawcę na własne oczy. Wprawdzie z dużej odległości, bo stał po drugiej stronie wyrobiska, i przez lornetkę, ale jednak. Mówi, że sprawca nosił ciemne ubranie. Ma około metra siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i prawdopodobnie lekko kuleje.

– Metr siedemdziesiąt pięć – powiedział Wittberg. – Nic więc dziwnego, że nosi buty w rozmiarze zaledwie czterdzieści jeden.

– Jest to dość charakterystyczna cecha, więc mamy nadzieję, że pomoże nam w szybkim ujęciu sprawcy – ciągnął Knutas. – Pojawiły się już listy gończe i komunikaty, między innymi w radiu.

Tymczasem musimy sprawdzić, co mogło łączyć Morgana Larssona z Peterem Bovide. Czy się znali i czy obracali się w tych samych kręgach?

– Czy Morgan Larsson figuruje w rejestrze skazanych?

– Nie – odpowiedział Knutas. – To już sprawdziliśmy.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Erik Sohlman.

– Jak tam? – zapytał Kihlgård ze współczuciem w głosie i położył mu rękę na ramieniu, kiedy Sohlman siadał obok niego.

– W porządku – odpowiedział Erik. – Wszystko w porządku.

Popatrzył na pozostałych członków grupy. Widać było wyraźnie, że jest wyczerpany tą sytuacją.

– Możemy być całkowicie pewni, że Morgana Larssona i Petera Bovide zamordował ten sam sprawca. Do Morgana oddano jeden strzał w czoło i siedem strzałów w brzuch. Sytuacja dokładnie się więc powtórzyła.

– Jakie ślady znaleźliście? – zapytał Knutas.

– Ślady obuwia są identyczne z tymi, które zostawiono na plaży koło Norsta Auren. To też rozmiar czterdzieści jeden i ten sam rodzaj obuwia – tanie tenisówki, które można kupić praktycznie wszędzie. Plamy krwi na ziemi wskazują, że zastrzelono go w tym miejscu, w którym został znaleziony. Prawdopodobnie najpierw strzelano w głowę, a potem w brzuch. Na podłodze leżało kilka łusek, identycznych jak te, które znaleźliśmy, prowadząc śledztwo w sprawie morderstwa Petera Bovide. Oczywiście prześlemy je do laboratorium, jak również naboje, gdy tylko je znajdziemy. Już teraz mogę jednak powiedzieć, że najprawdopodobniej pochodzą z tej samej broni.

– Na ile jesteś tego pewien? – zapytał Wittberg.

– Całkiem pewien, ponieważ broń jest unikatowa. Rosyjski pistolet wojskowy z 1926 roku, Korowin o specyficznym kalibrze. Sprawca i tym razem wystrzelał cały magazynek.

– Jak dobrze znałeś Morgana Larssona? – zapytał Kihlgård.

– Nawet nie najgorzej. Chodziliśmy do tej samej klasy przez całą podstawówkę i mieszkaliśmy w Slite niedaleko siebie. Ale nigdy nie byliśmy jakimiś bliskimi przyjaciółmi.

– Nie był żonaty i nie miał dzieci ani żadnej partnerki. Tak przynajmniej mówią jego koledzy z pracy. Czy myślisz, że się z kimś spotykał?

– Nie sądzę. Miał mieszkanie w Slite i z tego co wiem, mieszkał w nim sam.

– A wiesz może, czy miał kontakty w branży budowlanej albo czy znał Petera Bovide? Erik Sohlman wzruszył ramionami.

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Musimy od ręki ustalić jego związki z Peterem Bovide – powiedział Knutas na koniec. – Należy skoncentrować się teraz na tym, co łączyło obie ofiary. A także na tym, co Morgan Larsson robił na Gotska Sandön oraz dlaczego zależało mu tak bardzo na tym wyjeździe.

Johan był skłonny wierzyć, że Pia nie myliła się co do swoich perspektyw zawodowych. Zdjęcia z kamieniołomu były ostre i wymowne. Poza tym dobry fotograf musiał mieć szczęście. A Pia z całą pewnością je miała. Akurat wtedy, kiedy zaczęła filmować, wynoszono bowiem ciało ofiary z tej małej szopy. Jak się potem domyślili, była to budka wartownika, w której chronił się strażowy w czasie odpalania ładunków. Złapali na zdjęciach zarówno Knutasa, jak też Karin Jacobsson oraz technika kryminalistyki Sohlmana, gdy przeprowadzali wizję lokalną na miejscu zbrodni.

Tożsamość ofiary poznali dzięki dobremu koledze Pii, który pracował w fabryce „Cementa”. Wszyscy wiedzieli, o kogo chodziło. O strażowego Morgana. Czterdzieści jeden lat, samotny. Morderca postanowił zaatakować swoją ofiarę dokładnie w momencie eksplozji.

– Być może chciał stłumić odgłos strzałów w trakcie samej eksplozji – zasugerował Johan, kiedy zajmowali się montażem zdjęć.

– A czy nie prościej byłoby wziąć tłumik? – powiedziała Pia. – A tak w ogóle, to co się z tobą dzieje? Wydajesz się nad wyraz ożywiony. Ale chyba nie tylko dlatego, że udało nam się zrobić taki świetny materiał, co?

– Z tego powodu oczywiście też, ale jest też i inny powód.

– To znaczy?

Johan wstał i przyniósł kopertę, którą jej następnie wręczył.

– Proszę.

– Ale czy nie jest to jakaś sprawa osobista? – zapytała Pia z pewnym wahaniem, kiedy dostrzegła napis: „Dla Johana”.

– Owszem, ale spokojnie możesz przeczytać.

Pia otworzyła kopertę i aż uniosła brwi. Z koperty wypadło zdjęcie zrobione na kartoflisku. Pod nim widniał napis: „Tak, chcę. Dziś jeszcze raz”.

– Nic nie rozumiem. Czy ktoś chce uprawiać ziemniaki?

– Nie tylko to, Pia.

– Co? – Pia spojrzała pytająco na swego kolegę. – Co masz na myśli?

Wtedy jej wzrok przykuł jego lewy palec serdeczny.

– Nie, nie gadaj! Czy jesteście znowu zaręczeni? Ty i Emma? No nie, Johan! To super! Gratulacje!

– Dzięki – zaśmiał się Johan. – Dzięki.

Nabrzeże przy Fårösund było pełne ludzi z plecakami, ubranych w szorty i wygodne półbuty, a zmierzających na spotkanie z cudami natury na Gotska Sandön. Kiedy Karin weszła na pokład, zauważyła, jak kapitan z zadowoleniem macha do niej ręką i zaprasza do sterówki. Nie mogła sobie przypomnieć, aby go wcześniej widziała, ale najwyraźniej to on musiał ją rozpoznać.

– Wiem, że jest pani z policji. Widziałem panią w telewizji – wyjaśnił, kiedy weszła do sterówki i podała mu rękę. Przedstawił się jako Stefan Norrström.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła jej się w oczy, było to, że byli do siebie dość podobni. Kapitan był niewiele wyższy od niej i wyglądał na jej rówieśnika. Jego włosy również były ciemne, a kiedy się uśmiechnął, można było także zauważyć szparę między przednimi zębami. Jedyna różnica polegała na tym, że on był niski i przysadzisty, a ona z kolei smukła.

Stefan Norrström okazał się rozmownym człowiekiem i w trakcie dwugodzinnego rejsu z ogromnym zapałem opowiadał jej o Gotska Sandön. W malowniczy sposób opisywał, jak to statki tonęły podczas silnych sztormów szalejących u wybrzeży wyspy. Mówił też o wypadkach i o mozolnej pracy latarników. Niegdyś czynnych było wiele latarni, ale w latach siedemdziesiątych je zautomatyzowano. Obecnie nadal zatrudniano przez cały rok czterech nadzorców, a w sezonie turystycznym, od maja do września, dodatkowo właściciele pól namiotowych pomagali turystom w orientacji. W okresie zimowym wyspa w większości pustoszała. Samotna i otoczona zewsząd wodami morskimi, musiała wtedy stawiać czoło trudnym warunkom pogodowym, co utrudniało zamieszkiwanie jej przez cały rok.

Podczas gdy kapitan snuł opowieści o wyspie, Karin podziwiała widoki. Zostawili już za sobą wyspy Fårö oraz Gotlandię i znaleźli się na otwartym morzu. Jak okiem sięgnąć, widać było jedynie połyskującą w słońcu wodę.

– Jeszcze tylko kawałek – powiedział kapitan po ponadgodzinnym rejsie, a Karin wypatrzyła na środku morza samotny, zielony pas lądu, na którym nie widać było żadnych wzniesień. W miarę, jak się doń zbliżali, coraz wyraźniej mogła dostrzec piaszczystą plażę, która na tle samotnej wyspy odznaczała się niczym długa, jasna obwódka. Zdziwiła się, że

było tam aż tak dużo drzew.

Karin nigdy przedtem nie była na Gotska Sandön i wyobrażała ją sobie jako płaski, piaszczysty pas lądu i nic poza tym. Teraz, kiedy się do niej zbliżali, jej wyobrażenie się zmieniło.

Statek okrążył ostatni cypel i przycumował do plaży, gdzie można było zejść na ląd. Stefan Norrström podał jej swoją lornetkę.

– Proszę spojrzeć. W dali widać cypel Bredsand. Może tam pani zobaczyć przeróżne gatunki ptaków: kaczki edredonowe, nurogęsi i nury olbrzymie, mewy siodłate, mewy białe i oczywiście mewy zwyczajne.

Karin podniosła lornetkę do oczu. Trochę czasu zajęło jej ustawienie ostrości, ale kiedy już to uczyniła, osłupiała ze zdumienia.

Dostrzegła tysiące, doprawdy tysiące ptaków morskich, które przelatywały nad sobą na różnych wysokościach, krążąc nad cypłem tam i z powrotem. Było to imponujące przedstawienie.

– Musi tam pani pójść i zobaczyć jeszcze zachód słońca. Naprawdę warto. To nawet niedaleko od pola namiotowego, może z pięć minut drogi. Plaża jest tak jasna i szeroka, że człowiek czuje się jak na Bali czy innej podobnej wyspie.

– A jak często udaje się panu zejść ze statku i pobyc trochę na wyspie?

– Rzadko. Prom kursuje przecież tam i z powrotem na trasie Nynäshamn – Gotska Sandön – Fårösund. Ale kiedyś pracowałem tu jako pomocnik nadzorcy. Dlatego znam wyspę na wylot.

Karin wyciągnęła zdjęcie paszportowe Morgana Larssona.

– Czy poznaje pan może tego mężczyznę? Nazywa się Morgan Larsson i jeździ regularnie na tę wyspę co pewien czas.

Stefan Norrström przesunął zdjęcie między palcami i patrzył na nie z uwagą.

– Nie, tego mężczyzny nigdy nie widziałem. Jego nazwisko też mi nic nie mówi. Ale spotyka się tu tak wielu ludzi, że nie sposób ich wszystkich zapamiętać.

Gotska Sandön,
22 lipca 1985 roku

Kiedy Vera dotarła na pole namiotowe, była fizycznie i psychicznie zupełnie wypompowana. Spacer powrotny był dziesięć razy bardziej wyczerpujący niż wtedy, kiedy szły tą samą drogą w przeciwnym kierunku poprzedniego dnia rano. Modliła się do Boga o to, żeby się okazało, że siostra wróciła na pole namiotowe na własną rękę albo przyплыnęła tu łódką z tymi chłopakami, których spotkały. Kiedy przyszła, rodzice siedzieli przed domkiem i pili kawę. Po ich minach zorientowała się, że Tanja nie wróciła.

– Przyszłaś tu sama? A gdzie Tanja? – zawołał Oleg bez słowa powitania.

Oboje rodzice poderwali się ze swoich miejsc przy stole i szli w jej kierunku. Na ich twarzach widać było niepokój. Vera nie mogła nic na to poradzić, ale ostro zirytowała się całą tą sytuacją. Że też zawsze to jej siostra jest numerem jeden i obiektem ich zainteresowania. Ona sama, zmęczona i śmiertelnie zaniepokojona, szła tu przez prawie cztery godziny. Wodę już dawno wypila, jako że połowę tego, co jeszcze miała, zostawiła na plaży. Była spocona, odwodniona i całkiem wyczerpana, ale żadnemu z rodziców nie przyszło nawet do głowy, aby pomóc jej nieść bagaż czy zaproponować coś do picia. Vera zagryzła wargi. Nie owijając w bawełnę, opowiedziała im dokładnie, co się stało. Nigdy nie zapomni miny, jaką zrobił jej ojciec, kiedy skończyła relację. Nagle pobladł mimo opalenizny, a jego mocno zaciśnięte wargi wyglądały jak cienka kreska.

– Czy to znaczy, że byłaś na tyle nierozsądna i tak się upiłaś, że po prostu poszłaś sobie i położyłaś się spać, zostawiając ją samą z dwoma zupełnie obcymi mężczyznami?

– Tak, ale... – spróbowała mu wyjaśnić, lecz zamilkła, kiedy zobaczyła czarne oczy swego ojca.

– Jak mogłaś? Jesteś starszą siostrą i powinnaś być za nią jakoś odpowiedzialna. Tanja nie wie, co jest dla niej dobre. Ty po prostu zasnęłaś, a ona znikła, prawdopodobnie z dwoma obcymi facetami!

Stanął zaledwie kilka centymetrów od niej, więc aż poczuła jego ślinę na swojej twarzy. Vera stała dalej spocona, mokra pod pachami, z ciężkim niczym ołów plecakiem na plecach. Czowała się wycieńczona i skołowana, i zaczęło jej się kręcić w głowie.

– Uspokój się – usłyszała głos matki. – Vera nie jest winna temu, że Tanji nie ma. Lepiej jej po prostu poszukajmy, bo pewnie tylko zabłądziła.

Szukali jej przez cały wieczór, również z pomocą turystów, nadzorców i innych pracowników. Nawoływanie Tanji roznosiło się nad wyspą, lecz poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu. Kiedy zaczął zapadać zmierzch, powiadomiono policję. Następnego dnia miał przybyć patrol, a policyjny helikopter miał ruszyć do akcji, gdy tylko zrobi się jasno. Zarządzono poszukiwania łodzi i obu mężczyzn, ale Vera nie bardzo miała pojęcie, jakiego typu była ich łódka. Nie pamiętała też, jak ci mężczyźni się nazywali, ale wydawało jej się, że byli ze Sztokholmu.

Po odprawie Knutas zadzwonił do rodziców Petera Bovide. Telefon odebrała Katarina Bovide.

– Dzień dobry, mówi komisarz Knutas z policji w Visby. Bardzo przepraszam, że muszę znowu państwu przeszkodzić, ale chciałbym wiedzieć, czy Peter znał mężczyznę, który nazywa się Morgan Larsson.

W słuchawce zapanowała cisza.

– Nie mówi pan chyba o tym nieżyjącym mężczyźnie? Właśnie usłyszałam w radiu o człowieku z kamieniołomu, którego...

– Tak, to on. Oczywiście nie podaliśmy jeszcze jego nazwiska do publicznej wiadomości, ale to Morgan Larsson. I został zastrzelony dokładnie w taki sam sposób jak Peter.

Knutas usłyszał, jak Katarina Bovide zaczerpuje powietrza.

– Ależ to jest coś potwornego! Dlaczego akurat Morgan? I Peter? Nic nie rozumiem. To byli tacy porządni chłopcy.

– Tak to już niestety jest. Czy oni się znali?

– Tak, w młodszym wieku byli najlepszymi przyjaciółmi. Ale potem jako dorośli już nie. Nie mieli żadnego kontaktu ze sobą od wielu lat.

– A czy może wie pani dlaczego?

– Tak to już chyba bywa, że kontakty się urywają.

– Jak dobrymi byli przyjaciółmi?

– Morgan był o rok starszy od Petera, więc nigdy nie chodzili do tej samej klasy. Kiedy Morgan miał trzynaście lat, wydarzyła się wielka tragedia. Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Był jedynakiem, więc musiał przeprowadzić się do rodziców

swojej matki, którzy mieszkali bardzo blisko nas w Slite. Morgan chyba nie najlepiej czuł się po tym wszystkim, co przeżył, ale Peter miał wielu kolegów w okolicy. Szybko się polubili i Morgan też wszedł do ich paczki, że tak powiem. A później przez wiele lat byli jak papużki nierozłączki. Podróżowali razem, jeździli na gapę koleją itd. Ale z czasem zerwali więzi przyjaźni. Nie wiem dlaczego.

– A nie pytała go pani o to?

– Tak, na pewno pytałam, ale tak naprawdę nie pamiętam już nawet, co mi odpowiedział. Peter wyprowadził się z domu tyle lat temu, Morgan zresztą też. Obaj mieszkali wtedy w samym Visby. Tak to już jest z przyjaciółmi, że przychodzą i odchodzą. Nigdzie nie jest powiedziane, że będzie się ich mieć przez całe życie. Tak jak ze wszystkimi innymi rzeczami.

Głos Katariny Bovide załamał się i Knutas wyczuł, że jest bliska płaczu. Podziękował jej i zakończył rozmowę.

Statek przybił do północno-wschodniego cypla koło latarni, zaledwie kilka minut drogi od pola namiotowego. Pogoda była fantastyczna: świeciło słońce, wiatr nie wiał, a termometr wskazywał ponad dwadzieścia pięć stopni ciepła. Karin niemal zapomniała, że przyjechała tutaj w związku z dochodzeniem w sprawie morderstwa. Przed nią rozpościerała się ogromna plaża, ciągnąca się całymi kilometrami, jak okiem sięgnąć, aż do kolejnego cypla. Szerszej plaży nie widziała chyba nigdy w życiu, a piasek był drobny i niemalże biały.

Było prawie wpół do trzeciej po południu, więc zamierzała skorzystać z okazji i wykapać się, zanim zapyta personel pola namiotowego na wyspie o Morgana Larssona. Właśnie byli zajęci nowo przybyłymi pasażerami. Bagaże wyładowano na wózek, po który przyjechał traktor. Był to jedyny rodzaj pojazdu, jaki mógł poruszać się w tym drobnym piasku. Ludzi kierowano zaś na drewniane deski, które specjalnie ułożono na piasku, aby mogli bez problemu przejść te trzysta metrów, które dzieliły ich od pola namiotowego.

Najpierw minęli Fyrbyn, skupisko czerwonych drewnianych domków z białymi węglami i pięknymi ogródkami. Należały do regionalnego stowarzyszenia na wyspie Gotska Sandön. Członkowie tego stowarzyszenia oraz nadzorcy mieszkali w tych domkach w okresie letnim oraz w niektóre weekendy w pozostałych porach roku.

Karin zrobiła głęboki wdech. Chyba nigdy przedtem nie czuła tak świeżego powietrza. Z lasu dolatywał zapach igliwia i wraz z lekką wonią mchu mieszał się z morskim powietrzem.

W samym środku tej otwartej przestrzeni z domkami znajdowało się maleńkie muzeum z biblioteką i archiwum. Wewnątrz budynku miał swoje biuro nadzorca. Ten, który akurat tego dnia miał służbę, wracał właśnie z innego miejsca na wyspie i miał tu dotrzeć za mniej więcej godzinę.

Ścieżka biegła pod górę aż do samego obozowiska, gdzie turyści mogli zatrzymać się na dłużej. Wokół dużego, okrągłego placu widoczne były zarówno namioty, jak i nieduże domki kempingowe. Na środku placu stały budynki do wspólnego użytku, takie jak pralnia,

kuchnia czy prysznic. Nieco dalej znajdowały się toalety, to znaczy zwyczajne wychodki tworzące jeden długi szereg. Jediną rzeczą do picia, jaką można było dostać na wyspie, była woda ze studni. Cały prowiant i inne napoje trzeba było przywieźć ze sobą. Nie było tu żadnego kiosku ani sklepu. Zupełnie nic. Już nawet to było czymś egzotycznym, pomijając oczywiście pozostałe rzeczy.

Karin wiedziała, że będzie musiała tu przenocować, ponieważ przybyła późnym popołudniem. Udało jej się jednak załatwić domek, jedzenie i odzież.

Szybko rozgościła się w domku, po czym przebrała się w strój plażowy i poszła wzdłuż pola namiotowego w stronę plaży położonej na zachodnim wybrzeżu. Zastanawiała się, gdzie mieszkał Morgan Larsson i czy był tutaj sam. Miała nadzieję, że osoby pracujące na wyspie będą pamiętać swoich gości, a przynajmniej tych sprzed kilku dni.

Ścieżka wiodąca na plażę przebiegała przez niewielki fragment lasu. Nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej doświadczyła takiej ciszy. Zatrzymała się na chwilę, aby jej posłuchać. Nie było kompletnie nic słyszeć: żadnych silników samochodowych ani głosów ludzkich, nawet żadnego szumu liści. Morze było zupełnie spokojne. Karin przepełnił taki spokój, iż niemal całkiem zapomniała o tragicznych okolicznościach, które ją tu przywiodły. Plaża miała co najmniej pięćdziesiąt metrów szerokości, a jej piasek mienił się w blasku popołudniowego słońca. Nieco dalej stały zakotwiczone łódki. Na plaży można było dostrzec pojedyncze osoby trzymające się jednak z dala od siebie.

I pomyśleć, że ludzie jeżdżą po całym świecie, żeby dotrzeć na plaże, które nawet w połowie nie są tak piękne jak ta – pomyślała Karin. Rzuciła ręcznik na piasek i wskoczyła do wody.

Gdy tylko Johan wrócił do redakcji, natychmiast zadzwonił do biura parafialnego, mimo że musiał się śpieszyć z przygotowaniem reportażu na temat kolejnego morderstwa. Był tylko jeden wolny termin w kościele na Fårö w pewną sierpniową sobotę o godzinie czwartej po południu. Ktoś bowiem zrezygnował. Czy to jakiś zły znak? Johan odpędził od siebie tę myśl.

Od czasu, kiedy zobaczył ten kościół po raz pierwszy, zawsze chciał wziąć w nim ślub. Z Emmą. Tym razem dojdzie to do skutku.

Wieczorem pojechał do Roma. Kiedy szedł zwirową ścieżką do domu Emmy, był w dobrym nastroju. Kupił dwadzieścia czerwonych róż i schował je za plecami razem z butelką szampana.

Zadzwonił do drzwi i przysłuchiwał się dźwiękowi dzwonka rozlegającemu się wewnątrz domu. Przez okno kuchenne nikogo nie dostrzegł. Oby tylko była akurat w domu. Nie chciał dzwonić do niej wcześniej i zapowiadać się. Chciał ją zaskoczyć dokładnie tak, jak ona zaskoczyła jego.

Drzwi się otworzyły, a w nich pojawiła się ona. W szarej bluzie z kapturem i w spodniach od dresu, z mokrymi włosami. Wyglądała dokładnie tak, jak za pierwszym razem, kiedy się spotkali. Nigdy tego nie zapomni. Przyjechał wtedy wraz z fotografem Peterem Bylundem do willi w Roma, aby przeprowadzić wywiad z Emmą, która była najlepszą przyjaciółką kobiety brutalnie zamordowanej siekierą i znalezionej na plaży. Obaj wyjechali stąd zakochani w niej.

Zamurowało go, kiedy ją zobaczył. Wydawało mu się niemal, że śni.

– Cześć.

Wyglądała na zadowoloną.

– Emmo. – Tylko tyle zdołał z siebie wydusić.

Objął ramionami jej jędrne ciało i zatopił nos w mokrych włosach. Potem odsunął się i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Natychmiast sobie stąd pójdę, jeżeli nie będziesz w stanie odpowiedzieć na moje pytanie.

– Okej – powiedziała nieco zdziwiona. Nie wyglądała jednak ani trochę na przestraszona. Była tylko pełna nadziei.

– Czy chcesz mnie poślubić dziewiętnastego sierpnia w kościele na Fårö w obecności rodziny, krewnych, przyjaciół i dzieci? Myślę o bardzo uroczystym ślubie kościelnym, a potem o hucznym weselu.

Emma odpowiedziała mu bez wahania.

– Tak, Johanie. Chcę.

Położył bukiet kwiatów i podniósł ją w górę. Była taka lekka. Od wiosny zrzuciła sporo kilogramów. Wniósł ją po schodach na piętro i położył na łóżku. Ściągał z niej szarą bluzę i spodnie, pieszcząc jej gładką skórę. Objął głowę swoimi rękoma i całował jej miękkie wargi. Przywarł swoimi ustami do jej ust. Ten pocałunek zdawał się nie mieć końca. Rozpięła mu koszulę i usiadła na nim.

To było już tak dawno. Całe wieki upłynęły od dnia, kiedy kochali się po raz ostatni. A ich pocałunek trwał nadal. Nie chciała już nigdy oderwać się od niego. On zresztą od niej też nie.

Karin weszła do budynku muzeum, gdzie miała się spotkać z nadzorcą, Mattiasem Bergströmem. Miał trzydzieści parę lat, brodę i niebieskie oczy. Już wcześniej wyjaśniła mu przez telefon, o co jej chodzi. Zaproponował, aby usiedli w biurze, gdzie będą mogli spokojnie porozmawiać. Biuro było niewielkie i panował w nim okropny bałagan na półkach, w książkach i papierach. Usiedli po obu stronach jego zagraconego biurka. Podał jej filiżankę kawy, nie pytając nawet, czy chciałyby do niej mleka albo cukru.

– A więc chodziło pani o morderstwo tego człowieka w kamieniołomie w Slite – powiedział, stwierdzając raczej fakt niż ją pytając.

– Otóż to. Ponoć był tutaj w zeszły weekend. Następnego dnia został zamordowany w pracy. Chcemy ustalić, czy się tu z kimś spotykał lub czy zdarzyło się coś, co mogło być powodem tego morderstwa.

– Co za paskudna historia! Rozmawiałem z nim wczoraj. Bywał przecież na tej wyspie sporo razy.

– No proszę! A czy przyjeżdżał tu sam, czy w czyimś towarzystwie?

– Wydaje mi się, że był sam.

– Czy wie pan, kiedy przyjechał tutaj po raz pierwszy?

– Tak, mogę to sprawdzić.

Mattias Bergström wstał i otworzył szafę z materiałami archiwalnymi.

– Odnotowujemy tutaj, kto i kiedy u nas przebywał. No cóż, jesteśmy troszeczkę staromodni.

Wertował dokładnie teczkę.

– No, to zobaczmy, co my tu mamy. L... jak Larsson. No, wie pani, prowadzimy rejestr tylko według nazwisk, a nie według innych danych. Jak mamy już samo nazwisko, to możemy sprawdzić, kiedy dany gość był tutaj, jak długo przebywał i gdzie mieszkał, czy był tu sam, czy też z kimś.

– Ach tak.

Karin poczuła, że powoli traci cierpliwość.

– Larsson. O, jest – stwierdził z zadowoleniem, kiedy znalazł wreszcie to nazwisko. – Morgan. Był tu po raz pierwszy w 1990 roku. Potem przyjeżdżał jeszcze kilka razy.

– Aha. A ile razy?

Mattias Bergström liczył.

– W sumie pięć razy. Mniej więcej co trzy lata. I zawsze w tym samym dniu.

Karin uniosła brwi i pochyliła się nieco do przodu.

– Zawsze w tym samym dniu, mówi pan? A kiedy dokładnie?

– Przyjeżdżał dwudziestego pierwszego lipca, a wyjeżdżał dwudziestego trzeciego. I tak za każdym razem.

– Dziwne, to raczej nie przypadek. Czy wie pan, dlaczego przyjeżdżał właśnie wtedy?

– Nie, pojęcia nie mam. A teraz można już tylko spekulować na ten temat. Już niestety za późno, żeby go o to spytać.

– Czy ma pan tam również niejakiego Petera Bovide?

Nadzorca wyjął inną teczkę i poszukał nazwiska.

– Mamy tutaj Anette Bovide oraz Stiga i Katarinę Bovide, ale Petera nie ma.

– Kiedy tu byli?

– Anette gościła u nas ze swoim mężem Andersem Erikssonem w czerwcu trzy lata temu, a Stig i Katarina Bovide byli na wyspie dwa razy. Po raz pierwszy w sierpniu 1991 roku, a drugi raz w zeszłym roku w maju.

– Czy ma pan listę innych osób, które były tutaj podczas ostatniego pobytu Morgana Larssona?

– Oczywiście.

Karin przebiegła wzrokiem wykaz nazwisk. Nic jej nie mówiły.

Porównała go z wykazami z wcześniejszych wizyt Morgana. Żadne nazwisko się nie powtarzało.

– Czy mogę dostać kopię?

– Tak, chwileczkę.

Wstał i poszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Słychać było stamtąd trzaski i rżenie kopiarki. Po dość długiej chwili powrócił z pobrudzoną tonerem kopią.

– Dziękuję – powiedziała Karin. – Czy może mi pan opowiedzieć, jakie wrażenie zrobił na panu Morgan Larsson i czym on się tu zajmował?

Nadzorca wyciągnął się do tyłu i skrzyżował ręce.

– Zawsze, kiedy go spotykałem, był tu sam. Nie zwróciłem uwagi na nic szczególnego

oprócz tego, że wydawał się dość zamknięty w sobie.

– Czy zachowywał się jakoś dziwnie?

– Nie, raczej nie. Chociaż wyglądał na prawdziwego rutyniarza. Każdego następnego ranka po przyjeździe opuszczał pole namiotowe o ósmej z pakunkiem na plecach, tak więc podejrzewam, że robił to, co większość pozostałych turystów, czyli spacerował wokół wyspy.

– Ile czasu na to potrzeba?

– Cóż, obwód wyspy liczy ponad trzydzieści kilometrów, tak więc nie wszyscy obchodzą ją dookoła. Można wybrać kilka wariantów. Niektórzy zaczynają od przejścia przez las i wracają potem plażą. Inni zaczynają od latarni i idą wzdłuż wybrzeża albo skręcają przy cyplu Tärnudden po drugiej stronie i wracają leśną ścieżką.

– A jeżeli ktoś zdecyduje się obejść całą wyspę, to ile to trwa?

– Dziewięć, dziesięć godzin. Nawet jeśli ktoś jest przyzwyczajony do chodzenia. Miejscami plaża jest dość kamienista, więc trudno się tam idzie, a gdzie indziej trzeba nadłożyć drogi, jak na przykład koło cypla Säludden, gdzie jest rezerwat.

– Czy są tam foki?

– Tak, foki można tam zobaczyć prawie zawsze. Największą szansę na to ma się rano albo wieczorem, kiedy foki odpoczywają na kamieniach w wodzie.

– Czy wie pan, którą trasę wybrał Morgan Larsson?

– Nawet natknąłem się na niego w zeszłą sobotę wczesnym rankiem na ścieżce, która prowadzi przez las na plażę Las Palmas na wschodnim wybrzeżu. Wiem od innych, że widzieli go, jak wracał wieczorem z południa wzdłuż zachodniego wybrzeża. Ponieważ wyglądał mi na typowego rutyniarza, podejrzewam, że szedł jedną z częściej wybieranych tras, której pokonanie zajmuje siedem, osiem godzin.

– Czy może mi pan pokazać ją na mapie?

– Oczywiście.

Ponownie wstał i przeszedł do drugiego pokoju, po czym wrócił z mapą z napisem „Zarząd wojewódzki”. Wskazał drogę.

– Jeżeli będę chciała pójść jutro tą samą trasą, to o czym muszę pamiętać?

– Niech pani wstanie wcześniej rano i zje porządne śniadanie. Proszę nie zabierać zbyt wielu rzeczy, ale koniecznie pamiętać o wodzie i jedzeniu na cały dzień. Trzeba założyć porządne buty, szorty i czapkę na głowę. Radzę też wziąć strój kąpielowy. Może być ciężko, jeżeli dzień będzie tak słoneczny jak dziś. W południowej części, o tutaj – długopisem zatoczył koło wokół jednego z miejsc na mapie – jest punkt poboru wody z pompą. Jest tam zimna woda zdatna do picia. To miejsce leży mniej więcej w połowie drogi, więc może pani

uzupełnić tam zapas wody.

– Dziękuję, to bardzo miłe z pana strony. Czy jest jeszcze coś, co mógłby pan powiedzieć o Morganie Larssonie?

– Tak, była jeszcze jedna rzecz, którą zawsze robił. Zaglądał do kaplicy.

– To na wyspie jest jakaś kaplica? – zapytała Karin ze zdumieniem, wstydząc się zarazem, że nic o tym nie wie.

– Tak, blisko pola namiotowego. Będzie ją pani mijać, idąc tą trasą. Jest zawsze otwarta. A jeżeli chce pani zajrzeć tam wieczorem, to o dziewiątej jest nabożeństwo.

– Dziękuję.

– Jeśli chce pani dowiedzieć się czegoś więcej o samej wyspie, to piętro wyżej jest muzeum i biblioteka. Proszę tam pójść i zapoznać się z tutejszą roślinnością – zaproponował uczynny nadzorca.

Karin podziękowała mu i wyszła z pokoju.

Postanowiła pójść śladami Morgana Larssona.

Wyspa Gotska Sandön,
noc z 22 na 23 lipca 1985 roku

Poszukiwania Tanji trwały całą noc. Ludzie mieszkający obok pola namiotowego powychodzili ze swoich domków, aby pomóc w szukaniu zaginionej dziewczyny. Znajdujący się na wyspie zarząd stowarzyszenia regionalnego zdołał zgromadzić grupę ludzi, którzy sami zgłosili się do pomocy. W sumie kilkaset osób wzięło udział w różnych akcjach poszukiwawczych, których punktem wyjścia było pole namiotowe. Policja miała zjawić się o świcie.

Vera była w grupie, która prowadziła poszukiwania po lewej stronie. Czowała się oszołomiona. Przemieszczała się mechanicznie, gapiała na ziemię, świeciła latarką po rowach i zagajnikach. Chciała, a zarazem nie chciała znaleźć siostry. Z każdym krokiem bała się coraz bardziej. Oleg i Sabina szli ramię w ramię jakieś dziesięć metrów przed nią, szukając u siebie nawzajem wsparcia i pocieszenia. Ona zaś była pozostawiona samej sobie. Wyglądało to tak, jakby jej w ogóle nie widzieli albo nie chcieli się do niej przyznać. Było to niesprawiedliwe i bolało ją. Jakby to wszystko była jej wina. Rodzice karali ją, zamykając się we własnym kokonie, przez który nie mogła się przebić. Tak byli pochłonięci poszukiwaniem swej młodszej córki, iż prawie w ogóle nie dostrzegali starszej. A ona kroczyła dalej z niespożytą energią, nawołując ochryłym głosem. Szła i szła po lasach, plażach i skałach.

Nagle potknęła się o jakiś kij leżący na ziemi, którego wcześniej nie zauważyła. Upadła, załkała i leżała dalej w ciemnościach. Nie miała siły wstać. Ogarnęło ją okropne przeczucie, że nigdy już nie zobaczy swojej młodszej siostry. Może więc lepiej zrezygnować? Najchętniej weszłaby od razu do wody i utopiłaby się w morzu. Byleby tylko stąd zniknąć.

– Co się stało?

Mężczyzna pojawił się znikąd i pochylał się nad nią. Najpierw się przestraszyła, lecz uspokoiła się, gdy tylko dostrzegła wyraz jego oczu.

– *I'm sorry, I don't understand.*

– Okej.

Mówił dalej po angielsku. Chciał wiedzieć, jak się czuje i czy może jakoś jej pomóc. Nie wiedział, kim ona jest. Wziął ją pewnie za zwykłą turystkę biorącą udział w

poszukiwaniach. Pomógł jej wstać. Byli w samym środku lasu, całkiem sami. Cała reszta poszła już do przodu. Białe światło księżyca wdzierало się pomiędzy drzewa, których cienie straszyły niczym duchy.

– Czy coś cię boli? – zapytał.

– Nie, wszystko w porządku.

Strzepnęła z siebie ziemię, która przykleiła się do jej ubrania.

– Zimno ci?

Kiwnęła głową.

– Skąd jesteś? Z Niemiec?

– Tak, z Hamburga. Przyjechaliśmy tutaj kilka dni temu. To właśnie moja siostra zaginęła.

Nie powiedział nic, tylko objął ją ramieniem.

– Czy jesteś w stanie dalej jej szukać?

– Tak, oczywiście.

Szli tak obok siebie w milczeniu. O nic ją nie pytał, za co była mu wdzięczna. Czowała się bezpiecznie, idąc tak i mając kogoś u swego boku.

Mijały godziny. Od czasu do czasu siadali, by trochę odpocząć. Miał ze sobą plecak z wodą i ciasteczkami. Zaczęło już wschodzić słońce, więc pora była wracać na pole namiotowe.

Kiedy tam dotarli, z różnych stron zaczynali schodzić się ludzie. Przybyło wielu policjantów z psami na smyczy, którzy właśnie zajmowali się organizowaniem dalszych poszukiwań. Olega i Sabiny nie było widać.

– Musisz odpocząć – powiedział jej nowo poznany przyjaciel. – W którym domku mieszkacie?

– Nie chcę tam iść.

Przerażała ją myśl, że będzie musiała położyć się w pokoju, który dzieliła z Tanją.

– Czy chcesz pójść ze mną?

– Tak. Chętnie.

Przechodząc koło pola namiotowego, Vera czuła na sobie spojrzenia ludzi. Natomiast żaden z policjantów nie wiedział chyba, kim ona jest.

Szybko minęli gromadę turystów. Wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę domków stowarzyszenia regionalnego. Zatrzymali się przed czerwonym drewnianym domkiem z białymi węglami, który znajdował się na samym końcu. Vera była tak zmęczona, że ledwie trzymała się na nogach.

Na górne piętro prowadziły ciasne schody. Przygotował jej gorącą czekoladę i poczęstował kanapkami, do których zjedzenia musiał ją namawiać. Siedzieli naprzeciwko siebie przy małym stoliku. Nagle usłyszeli za oknem jakiś warkot. Wyrzwał na zewnątrz.

– To helikopter policyjny.

Vera nawet nie była w stanie mu odpowiedzieć.

Kiedy Karin weszła do muzeum, było puste. Składało się zaledwie z dwóch pomieszczeń. W jednym mieściła się wystawa przedmiotów wydobytych z morza i znalezionych na wyspie oraz tablice objaśniające ich historię. Drugie pomieszczenie wykorzystywano w charakterze biblioteki. Wzdłuż ścian stały regały z rzędami książek o wyspie, latarniach i rybach. Na stole leżały teczki opatrzone różnymi nagłówkami: dzienniki latarników, wycinki prasowe z różnych okresów, fakty ogólne. Karin przewertowała je pobieżnie i przyłapała się znowu na tym, jak mało na ten temat wiedziała, zanim tu przybyła. Usiadła i zaczęła wnikliwiej studiować poszczególne teczki. Czytając dzienniki latarników, zrozumiała, jak ciężkie musiało być ich życie. Przeraziła ją duża liczba statków, które od wielu już lat rozbijały się w pobliżu wyspy. Był nawet taki cmentarz na wyspie koło zatoki Franska Bukten, gdzie pochowano rosyjskich marynarzy, którzy zginęli tu w katastrofie morskiej.

Nagle jej wzrok padł na teczkę z nagłówkiem „Przestępczość na wyspie”. Na pierwszej stronie zamieszczony był wycinek prasowy z początku XX wieku o pewnym asystencie latarnika podejrzanym o to, że otrul swego zwierzchnika, dosypując arszenik do jego zapiekanki makaronowej. W teczce była też mowa o kradzieżach, plądrowaniu rozbitych statków oraz o pewnym mężczyźnie, który podczas przeprawy na wyspę zepchnął z pokładu swojego wroga.

Jej uwagę przykuł artykuł o zaginięciu młodej dziewczyny. Tekst donosił o poszukiwaniach jakiejś Niemki, która w latach osiemdziesiątych XX wieku zaginęła podczas wycieczki w okolicach zatoki Franska Bukten, gdzie razem z siostrą nocowały. Ich rodzice powiadomili o tym policję wieczorem dzień po jej zaginięciu, a patrol policyjny przybył następnego ranka. Zorganizowano całą sieć grup poszukiwawczych, co jednak nie przyniosło rezultatu. Kolejny artykuł nosił tytuł „Zaginiona kobieta znaleziona martwa”. Karin czytała z coraz większym zainteresowaniem. Do akcji włączono wtedy helikopter, z którego dostrzeżono ciało Tanji Petrov w wodzie w pobliżu zatoki Franska Bukten.

Od samego początku panowało przekonanie, że był to typowy nieszczęśliwy wypadek,

że dziewczyna się utopiła. Potem opublikowano serię artykułów o dalszym ciągu tej historii. Okazało się, że nastolatka wcale się nie utopiła. Została zamordowana, a następnie jej ciało wrzucono do wody. Badania wykonane przez lekarzy sądowych wykazały, iż zabito ją, uderzając czymś tępym w głowę, że była duszona o prawdopodobnie zgwałcona. Karin aż się zatrzęsała, czytając to. Policja rozpoczęła w całym kraju poszukiwania łodzi z dwoma mężczyznami pochodzącymi prawdopodobnie ze Sztokholmu. Po przesłuchaniu siostry zamordowanej okazało się, że obie dziewczyny poznały mężczyzn, którzy przyплыли żaglówką do zatoki Franska Bukten. Wszyscy bawili się razem na plaży, po czym starsza siostra poszła spać. Gdy się rano obudziła, nie było już ani jej młodszej siostry, ani też obu mężczyzn i ich łodzi. Jakiś dzień później zwłoki dziewczyny odnaleziono w wodach zatoki.

Popołudniówki dokopały się do całej historii rodziny Petrov i pisały o tym, jak to ojciec denatki wyemigrował ze Związku Radzieckiego i rozpoczął nowe życie na Zachodzie. Jak to Tanja tęskniła za kolegami i koleżankami z klasy i jak to historia szczęśliwej rodziny, która nareszcie mogła spełnić swoje marzenie i przyjechać na wyspę Gotska Sandön, zakończyła się wielką tragedią.

Mimo intensywnego śledztwa nigdy nie udało się schwytać tamtych dwóch mężczyzn. Z czasem umorzono sprawę.

Karin dalej wertowała teczkę, usiłując znaleźć jeszcze jakieś artykuły. Co stało się z tą rodziną? Jak przez mgłę przypomniła sobie, że słyszała kiedyś, jak mówiono o tym przypadku, kiedy sprawa była jeszcze głośna. Pojawiły się mgliste wspomnienia tytułów artykułów w popołudniówkach oraz zdjęcia z wyspy. Było to w 1985 roku, a więc jeszcze zanim poszła do szkoły policyjnej.

Zamknęła teczkę i wyszła z muzeum, odczuwając pewien niepokój.

Wtorek, 25 lipca

Kiedy obudził się obok Emmy w łóżu małżeńskim w Roma, myślał, że śni. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to jednak prawda. Dopiero teraz, kiedy tak leżał, zrozumiał, jak bardzo za nią tęsknił. Leżała na boku, odwrócona do niego plecami. Powoli przejechał dłonią po jej wąskich plecach. Była taka delikatna. Krucha zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Nagle poczuł się silny. I tak bardzo tęsknił za Elin. Najchętniej chciałby zaraz po nią pojechać. Czekala go jednak ciężka praca. Nie przysłano jeszcze żadnego innego reportera ogólnokrajowego, więc nadal sam odpowiadał za relacje w sprawie morderstwa Morgana Larssona.

Biorąc prysznic, wciąż myślał o tym morderstwie. Nieprzypadkowo zamordowano Morgana Larssona w okolicy fabryki „Cementa” w Slite, tak blisko portu, w którym handlowano alkoholem bez akcyzy. Alkoholem, który kupował również Peter Bovide. Musi być jakiś związek między cementownią, handlem w porcie i Rosją. Wszystko się zgadzało. Wiele wskazywało na to, że to właśnie w porcie tkwił klucz do odgadnięcia motywu morderstwa. Pierwszą rzeczą, której musi się dowiedzieć, są związki Petera Bovide z Morganem Larssonem.

Jego rozmyślania przerwało pojawienie się Emmy w drzwiach łazienki. Zsunęła z siebie szlafrok. Ależ ona była piękna! Choć szczuplejsza niż zwykle. Wyciągnął do niej rękę.

– Chodź.

Nigdy nie było mu tak trudno wymknąć się od niej. Wyglądało na to, że ten czas, który spędzili osobno, jeszcze bardziej scementował ich związek.

– A cóż to się stało z twoimi ustami? – śmiał się, kiedy całowali się, idąc do samochodu. – Nic tylko je całować!

– I kto to mówi?

Wziął jej głowę w swoje ręce.

– Kocham cię, Emmo.

– Kocham cię.

– Tęsknię za Elin. Kiedy będziemy mogli zabrać ją od twoich rodziców?

– Pojadę po nią dzisiaj, więc jak chcesz, to możesz przyjść do nas po pracy, no i

przenocować tutaj.

– Kiedy mogę się wprowadzić?

– Teraz.

– Na pewno?

– Na pewno.

Wyglądała tak poważnie, że aż go to rozbawiło.

– Szkoda że nie możemy pobrać się jutro.

Budzik zadzwonił o wpół do szóstej. Karin czuła się tak, jakby spała tylko z godzinę. Wstanie z łóżka okazało się dla niej niezmiernym wysiłkiem. Zza okna nie dobiegał żaden dźwięk. Spakowała plecak, wypila filiżankę kawy i wcisnęła w siebie kilka kanapek. Zdecydowanie nie lubiła wczesnych śniadań, a przełknięcie czegoś o takiej porze było dla niej wprost męczarnią, ale miała w pamięci słowa, jakimi ostrzegał ją nadzorca. Czekala ją długa wędrówka, a po drodze nie można było kupić niczego do jedzenia.

Promienie wschodzącego słońca zaczynały wciskać się pomiędzy drzewa, ale kiedy wyruszała, na dworze nadal jeszcze było szaro. W lesie panowała cisza, słyszała tylko swoje własne delikatne stapanie.

Sprawdziła wcześniej na mapie, gdzie leży kapliczka, którą faktycznie ujrzała już po kilku minutach. Drzwi stały otworem, więc weszła do środka. Usiadła w ławce w jednym z najdalszych rzędów i wodziła wzrokiem po drewnianych ławkach pomalowanych na niebiesko. Wyposażenie było bardzo skromne. Promienie słoneczne wpadały przez okna do wnętrza, pięknie je rozświetlając. Zastanawiała się, czy była jakaś specjalna przyczyna, dla której Morgan Larsson zawsze tutaj przychodził.

Zapaliła jedną ze świeczek, które były wystawione wzdłuż rzędów ławek, przyglądała się jej jakiś czas, po czym zdmuchnęła ją i wyszła z kapliczki.

Wędrówka przez las trwała dłużej, niż się spodziewała. Po wyjściu z lasu ujrzała plażę zwaną Las Palmas. Przeczytała, że nazwa ta wzięła się od pewnego hiszpańskiego statku, który wyrócił się do góry dnem dawno, dawno temu.

Plaża była kamienista i nierówna, dlatego dość trudno się po niej szło. Kiedy dotarła do cypla Säludden, musiała stoczyć wewnętrzny bój, by móc podjąć ważną decyzję. Mogła bowiem albo zastosować się do poleceń na tabliczce i skrócić w prawo, aby nie przeszkadzać fokom, albo udawać, że nie widzi tabliczki i jakby nigdy nic iść dalej wzdłuż brzegu. Decyzja była łatwa. Jeśli ma teraz okazję, być może jedyną w życiu, widzieć foki na wolności, to chciałyby zobaczyć je z bliska.

Już kiedy się zbliżała, zobaczyła wielkie, niezgrabne kolosy poruszające się powoli tam i z powrotem w połyskującej w słońcu wodzie. Podniosła lornetkę do oczu i zdziwiła się, kiedy naliczyła piętnaście pulchniutkich, szarych fok, które leżały i wygrzewały się na porannym słońcu. Po chwili mogła je już zobaczyć gołym okiem.

Na samym końcu cypla usiadła ostrożnie na kamieniu, wyjęła zabrane na drogę kanapki i nalała kubek kawy. Foki pływały, bawiły się i kąpały oświetlone promieniami słonecznymi. Mimo iż miała świadomość, że złamała prawo, nie żałowała tego ani przez chwilę. Przez pół godziny siedziała tak bez ruchu, ujęta tym widowiskiem. Była tu tylko ona i foki.

Po trzygodzinnym marszu jej oczom ukazała się zatoka Franska Bukten. Trudno było sobie wyobrazić, że w tym spokojnym miejscu zgwałcono i zamordowano młodą dziewczynę.

Na samym środku plaży Karin zatrzymała się, rozebrała i weszła naga do wody. Wiedziała, że jest tutaj sama. Prawdopodobnie wyruszyła o wiele wcześniej niż inni, a z pola namiotowego idzie się tu jakieś trzy godziny. Nikt więc nie powinien pojawić się tutaj wcześniej niż za godzinę.

Po kąpieli położyła się na plaży, żeby obeschnąć. Wypiła butelkę wody i spojrzała na mapę. No, oczywiście, to tutaj gdzieś były te rosyjskie działa z rozbitego okrętu. Rozejrzała się dookoła, ale nie dostrzegła żadnego z nich. Według mapy miały być gdzieś nieco powyżej plaży, koło rosyjskiego cmentarza.

Włożyła podkoszulek i szorty, po czym poszła kawałek w górę ku skrajowi lasu. No i zobaczyła go tam. Powoli kielkowała jej pewna myśl w głowie. Zwolniła kroku. Rosyjski cmentarz. No oczywiście. Morderstwo nie ma nic wspólnego z robotnikami nielegalnie zatrudnionymi na budowie czy też z rosyjskimi dostawami węgla. Klucz do zagadki był tutaj, na wyspie Gotska Sandön. Tuż przed oczami. Jak mogła być tak głupia? Zbiegła na plażę i pozbierała swoje rzeczy.

Pomyślała o regularnych podróżach Morgana Larssona na wyspę. Kiedyż on tu przyjeżdżał? Zawsze w tych samych dniach, w regularnych odstępach czasu przez piętnaście lat. Wyciągnęła z plecaka notes. A więc bywał zwykle między dwudziestym pierwszym a dwudziestym trzecim lipca. A kiedy zamordowano Tanję? To było latem, ale nie pamiętała dokładnej daty. Była wściekła na siebie, że jej nie zanotowała. Wyjęła telefon komórkowy, aby zadzwonić do nadzorca. Nie było jednak sygnału. Brak zasięgu. Cholera! Zatem do Knutasa też się nie dodzwoni.

Sprawdziła na mapie, w jaki sposób można najszybciej wrócić na pole namiotowe.

Kiedy Karin dotarła wreszcie na pole namiotowe, była spocona i umierała z pragnienia. Oddałaby wszystko za kubek wody, ale nie było na to czasu. Musi zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, skontaktować się z Knutasem. Po drugie, dowiedzieć się, którego dokładnie dnia zamordowano Tanję. Poza tym chciała jak najszybciej wrócić do domu. Telefon komórkowy wciąż nie działał. Przy rzędach toalet natknęła się na kilku młodych chłopaków, którzy akurat wymieniali pojemniki. Dowiedziała się od nich, że najbliższy statek na Gotlandię odpływa za piętnaście minut.

Popędziła do domku i powrzucała swoje rzeczy do plecaka. Pośpieszyła do muzeum, które na szczęście było otwarte. W pobliżu nikogo nie było. Wbiegła szybko na piętro i zabrała teczkę, o którą jej chodziło. Pięć minut do odejścia statku.

W drodze na plażę zauważyła, że zasięg znów się pojawił. Zadzwoiła więc do Knutasa. Odebrał od razu.

– Cześć – powiedziała zziębnięta. – Wiem już, co łączy wszystkie elementy w naszym śledztwie. Morderstwo jest związane z pewną starą sprawą. Chodzi o dziewczynę z Niemiec, która była z rodzicami na wakacjach na wyspie, o niewyjaśnione morderstwo z 1985 roku.

Telefon komórkowy sygnalizował piskiem, że bateria niebawem się wyczerpie.

– Cholera. Jeśli nam przerwie, to zadzwonię ze statku. Właśnie pędzę do niego, bo odpływa dosłownie za kilka minut. Myślę, że to jej ojciec jest mordercą. To Rosjanin.

– Okej. Powtórz tylko jeszcze raz, bo nie rozumiem.

– Znasz chyba tamtą sprawę, nie? To było w środku lata. Niemiecka rodzina, a ich córka została zamordowana, 1985 rok.

– Tak, przypominam sobie. Chociaż pracowałem wtedy w oddziale interwencyjnym, więc nie pamiętam wszystkiego. O Boże, poza tym to już dwadzieścia lat temu. Ale wiem, że sprawy nie wyjaśniono.

– No właśnie, ale teraz...

Połączenie zostało przerwane, gdyż bateria całkiem się rozładowała. Karin zaklęła i

pobiegła w kierunku statku, na który już wsiadali pasażerowie.

– Zaczekajcie – wołała, wymachując rękami.

Chłopak, który stał na plaży i prznosił na pokład ostatnią torbę, dał znak kapitanowi.

Karin podziękowała mu, kiedy, potykając się, wbiegała zdyszana na pokład.

Ulżyło jej, gdy rozpoznała kapitana Stefana Norrströma, z którym płynęła na wyspę, i szybko skierowała się ku sterówce.

– Witam ponownie. Czy mogę skorzystać z pańskiego telefonu komórkowego?

– Oczywiście. Czy coś się stało?

– No, można tak powiedzieć – odpowiedziała Karin, otwierając teczkę ze starymi wycinkami prasowymi.

Chciała sprawdzić datę śmierci Niemki, zanim jeszcze połączy się z Knutasem. Kapitan zaintrygowany zaglądał jej przez ramię do teczki.

– Muszę zadzwonić na policję, a ten cholerny telefon komórkowy nie działa.

– Niekoniecznie. Czasem może być kłopot z zasięgiem.

– Nie, skończyła mi się po prostu bateria. A ładowarka leży u mnie w domu, w Visby – powiedziała, czyniąc przy tym gest rezygnacji.

Patrzyła właśnie na stronę z wycinkiem mówiącym o morderstwie Tanji Petrovej. W głowie porządkowała sobie te wszystkie informacje, które już знаła. Morgan Larsson wyjeżdżał na Gotska Sandön zawsze w tym samym czasie. Bywał na wyspie w kilkuletnich odstępach czasowych w ciągu ostatnich piętnastu lat, za każdym razem między dwudziestym pierwszym a dwudziestym trzecim lipca.

Jej wzrok padł na datę morderstwa. Tanję zamordowano w nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziestego drugiego lipca 1985 roku. Ciało odnaleziono dwudziestego trzeciego. Karin zrobiła głęboki oddech. Związek był oczywisty.

– Co pani tu ma? – zapytał zaintrygowany kapitan, podając jej swój telefon komórkowy. – Czy to o tej dziewczynie, którą znaleźli tu wtedy zamordowaną?

– Tak – ucieła Karin i chwyciła za telefon. Nie miała ani czasu, ani ochoty informować teraz żadnej osoby postronnej o tym, co znalazła.

Zaczęła wybierać numer telefonu Knutasa.

– Czy ma pan może trochę wody?

– Oczywiście.

Stefan Norrström wstał z krzesła i odwrócił się, żeby wyciągnąć butelkę wody z lodówki. Karin zdążyła jeszcze dostrzec wyraz jego twarzy. A ten się zmienił.

W wydziale kryminalnym w Visby Knutas skontaktował się z policją niemiecką i poprosił ją o sprawdzenie, co też przydarzyło się rodzinie z Hamburga, która spędzała urlop na wyspie Gotska Sandön w lipcu 1985 roku. Urlop, który zakończył się tragicznie. Czy to możliwe, że ojciec zamordowanej, Oleg Petrov, pomścił w końcu śmierć swej córki?

Czekając na odpowiedź strony niemieckiej, wezwał do swojego pokoju tych członków grupy dochodzeniowo-śledczej, którzy akurat byli na miejscu. Poinformował ich o tym wszystkim, co Karin zdążyła wykrztusić z siebie, zanim połączenie zostało przerwane.

– Czyżby to jej ojciec był mordercą – powiedział Kihlgård z powątpiewaniem w głosie. – Po tak długim czasie? Dlaczego?

– Tak, to trochę dziwne – powiedział Wittberg. – Ale coś musi być przyczyną tego wszystkiego.

– Pamiętam tamtą sprawę – wtrącił prokurator Smittenberg. – Dziewczyna najpierw zaginęła, więc zorganizowano grupy poszukiwawcze, w których brało udział mnóstwo przebywających tam ludzi. Potem znaleziono ją na brzegu na wyspie Gotska Sandön, zgwałconą i zamordowaną. Okropna historia. Coś tam było z dwoma facetami, którzy przybili łodzią do brzegu, a potem znikli. Nigdy ich nie złapano.

– Nie rozumiem, dlaczego Karin nie dzwoni – powiedział poirytowany Knutas. – Miała zadzwonić zaraz po wejściu na statek.

– To sam zadzwoń – zaproponował Wittberg. – Poproś, żeby ją zawołali przez głośniki.

– No jasne...

Knutas wyglądał na nieco speszzonego, ale wybrał numer centrali, która połączyła go ze statkiem „M/S Gotska Sandön”. Ktoś odezwał się niskim głosem pośród trzasków na linii.

– „M/S Gotska Sandön”, kapitan Stefan Norrström.

Knutas się przedstawił.

– Czy istnieje możliwość odszukania pewnej osoby znajdującej się na pokładzie, na

przykład za pomocą głośnika?

- A o kogo chodzi?
- To policjantka. Nazywa się Karin Jacobsson.
- Czy zaczeka pan przy telefonie, czy zadzwoni za jakiś czas?
- Chętnie poczekam.
- W porządku.

Knutas usłyszał, jak kapitan podaje przez megafon nazwisko Karin i prosi ją, aby niezwłocznie przysłała do sterówki. Wkrótce potem odezwał się znowu w słuchawce.

- Cóż, jeśli z nami płynie, to powinna zjawić się tu za minutę. Statek nie jest taki duży.
- W porządku.

Upływały kolejne minuty.

- Chyba powinna już tu przyjść, prawda?
- Tak. Najwyraźniej nie ma jej z nami na pokładzie.
- Czy może pan wezwać ją jeszcze raz?

Kapitan nie bardzo się do tego kwapił.

- Czy to faktycznie konieczne?
- Moim zdaniem tak. Dla pewności.

Kapitan ponownie podał nazwisko Karin przez megafon. Po upływie kilku kolejnych minut Knutas zrezygnował.

- A więc chyba jednak nie zdążyła.
- Pewnie tak było.
- Dziękuję za pomoc.
- Nie ma za co.

Podczas tej rozmowy Knutasa ogarniał coraz większy niepokój. Karin znalazła jakiś związek pomiędzy morderstwem na Gotska Sandön i dwoma ostatnimi morderstwami. A teraz nagle zaginęła. Poprosił centralę o telefon do nadzorca na Gotska Sandön i po uzyskaniu połączenia wyjaśnił mu, w jakiej sprawie dzwoni.

– Nie ma jej, popłynęła statkiem, który odpływał o wpół do trzeciej. Najwyraźniej coś ją nagle skłoniło do tak szybkiego wyjazdu.

– Czy jest pan pewien, że zdążyła na ten statek?

– Oczywiście. Sam tam byłem i pomagałem przy pakowaniu bagaży. Widziałem, jak wchodziła na pokład.

– Czy jest pan tego pewien na sto procent? To znaczy, czy wie pan na pewno, jak Karin wygląda? Niewysoka, szczupła, prawie czterdzieści lat, choć wygląda na młodszą,

ciemne, krótkie włosy, brązowe oczy, duża szpara między przednimi zębami, bardzo miła...

Usłyszał, jak nadzorca wzdycha niecierpliwie.

– Tak, oczywiście że wiem, jak ona wygląda. Wypytywała mnie wczoraj o tego Morgana Larssona, którego zamordowano.

– W takim razie wszystko jasne. Kiedy statek dotrze do Fårösund?

– O wpół do piątej. Rejs trwa dwie godziny.

Ledwo tylko Knutas zdążył odłożyć słuchawkę, gdy centrala zgłosiła, że na linii są Niemcy. Chwilowo przestał się martwić o Karin.

Niemiecki rozmówca z uwagą słuchał tego, o czym im opowiadał swoją łamaną angielszczyzną. Knutas zrobił dziwną minę, kiedy powoli odkładał słuchawkę.

– To byli nasi koledzy z Niemiec. Oleg Petrov nie może być sprawcą, bo dawno nie żyje. Trzy miesiące po znalezieniu swojej zamordowanej córki popełnił samobójstwo, rzucając się pod pociąg.

Wszystkie osoby, które znajdowały się w pokoju Knutasa, spojrzały na siebie zaskoczone.

– A matka i siostra, co się z nimi stało i gdzie teraz są? – zapytał Wittberg.

– Matka nadal mieszka w Hamburgu, ale siostra Vera – słuchajcie tylko uważnie – mieszka, co ciekawe, na Gotlandii. Wyszła tu za męża i mieszka w Kyllaj.

– Kyllaj – powtórzył Wittberg, spoglądając tępych wzrokiem. – Ta kobieta na promie, na pierwszym porannym promie w dniu, kiedy popełniono morderstwo. Mieszkała w Kyllaj. Miała męża i była w ciąży. Ale miała alibi i dlatego zostawiliśmy ją w spokoju. Alibi od swego własnego męża.

Knutas pochylił się do przodu.

– Jej mąż, no tak. Jest żoną człowieka, którego nazwisko brzmi Stefan Norrström. To ten kapitan, z którym przecież dopiero co rozmawiałem.

Mózg Knutasa pracował na najwyższych obrotach. Kapitan twierdził, że Karin nie było na pokładzie. A teraz zaginęła.

Wszystko zaczęło się owego dnia na początku czerwca, kiedy pojechała do supermarketu ICA na zakupy. Był to ciepły, piękny dzień, przedsmak lata. Przyjechała do Slite i zaparkowała samochód jak zwykle na parkingu przed sklepem. Wzięła jeden ze stojących na zewnątrz wózków na zakupy i zaczęła swoją rundę po sklepie.

Wieczorem mieli urządzić grilla. Co dziwne, szczególnie teraz, kiedy była w ciąży, smakowało jej dobrze przyprawione mięso. Wybrała kilka dużych ziemniaków, które chciała upiec ze specjalnym masłem ziołowym własnej roboty, tak jak to lubił Stefan. Najwięcej czasu spędziła przy stoisku z warzywami, przebierając je i wybierając paprykę, pomidory i świeże pieczarki. Mogli upiec na grillu gotowe steki ze sklepu i podać do nich warzywa z różna. Wybrała kilka jasnych kolb kukurydzy. I wtedy nagle poczuła najpierw jedno kopnięcie, a zaraz potem kolejne. Przystanęła na chwilę. Uwielbiała wyczuwać ruchy dziecka żyjącego w jej łonie. Odpoczęła chwilkę, opierając się o wózek na zakupy i delikatnie gładziła się jedną ręką po brzuchu. Jakoś ciągle jeszcze do niej nie docierało, że naprawdę będzie mamą. Że w końcu wyglądało na to, iż to życie jakoś się jej ułoży. Tyle razy już w to wątpiła. Ale Stefan przekonywał ją za każdym razem. Oczywiście, że będą razem. Dobrze to rozumiała. Nie mam wcale zamiaru protestować – powiedział. – Absolutnie nie.

Aż w końcu zaczęła mu wierzyć. Naprawdę wierzyć. Całym swym sercem. Spostrzegła zdumiona, że faktycznie zaczyna się czuć zupełnie bezpieczna. Patrząc z boku, można by powiedzieć, że dorastała w spokojnych warunkach. Ale zawsze towarzyszył jej ból i niepewność. Rodzice porównywali ją ciągle z jej siostrą, którą faworyzowali. Nigdy nie czuła się tak do końca dobrze, jakby umarła już za życia. Ani razu nie poczuła się też w pełni bezpieczna. Brakowało jej całkowitej pewności, niezależnej od tego, jak wyglądała, co robiła i co się wokół niej działo. Stefan kochał ją tak, jak nikt inny nie czynił tego wcześniej. Mimo to bolały zadane jej kiedyś rany, z którymi będzie musiała żyć do końca swoich dni. Bardzo pomagała świadomość tego, że on o wszystkim wiedział, a nawet sam się jeszcze zaangażował wtedy, gdy wydarzyło się najgorsze. Dostrzegał ją i rozumiał. Jak nikt inny.

Kiedy dziecko przestało na chwilę kopać, wróciła do zakupów. Włożyła do wózka kilka piw dla Stefana, bo sama piła tylko wodę mineralną.

Do obu kas była długa kolejka. Piątek po południu, więc wszyscy oczywiście robią zakupy. Stała w kolejce. Roztargnionym wzrokiem rozglądała się po ludziach stojących spokojnie i czekających na swoją kolej, trzymających w rękach wyładowane towarami kosze i wózki. Niektórzy gawędzili ze sobą, a od czasu do czasu ktoś wybuchał śmiechem. Wielu ludzi się znało, gdyż Slite nie było takie duże.

Ona sama nie miała jeszcze żadnych przyjaciół, bo nie odczuwała takiej potrzeby. Spotykali się czasem z krewnymi i znajomymi Stefana. Te spotkania oraz jej znajomi z kursu języka szwedzkiego i wizyty w poradni macierzyńskiej wystarczały jej aż nadto.

Nagle dostrzegła w kolejce mężczyznę, który wydał się jej znajomy. Rozmawiał ze stojącym obok niego chłopcem, który miał nie więcej jak pięć, sześć lat. Utkwiła w nim wyteżony wzrok. Przesunęła spojrzeniem po jego twarzy, jakby ją skanowała.

Mężczyzna wydawał się nieco starszy od niej. Miał niecodzienny wygląd: wysokie, wypukłe czoło, jasne oczy i wydawało się, że nie ma rzęs ani brwi. Dało się zauważyć lekką tendencję do przodozgryzu. Był krótko ostrzyżony i ubrany w kombinezon, jaki noszą stolarze. Sprawiał wrażenie zakłopotanego i nieco nerwowego. Może z powodu nieustannych pytań dziecka, a może z jakiegoś innego.

Stał kilka metrów przed nią w kolejce do drugiej kasy, ale widziała go wyraźnie, gdyż obrócił się, rozmawiając z chłopcem, który – jak przypuszczała – był jego synem. Nagle spojrzał do góry, a ona odwróciła wzrok. Pewnie dostrzegł, że stała tam i go obserwowała. Może pomyślał, że tylko flirtuje.

Nie mogła oprzeć się pokusie, aby znów na niego nie spojrzeć. On patrzył jej prosto w twarz, odpowiadając jednocześnie na jakieś pytanie syna. Kiedy ich spojrzenia się spotkały i jednocześnie usłyszała jego głos, aż ją zmroziło. Kiedyś słyszała już ten wysoki, lekko nosowy głos. Dawno, dawno temu. Przy zupełnie innej okazji.

Poczuła na czole palącą czerwoną pręgę, jakby ją ktoś uderzył biczem. Zamknęła oczy, po czym znów je otworzyła. Stał tam nadal i nieprzerwanie rozmawiał ze swoim synem. Spojrzał w jej stronę i lekko się uśmiechnął. Nie poznał jej. Nie było to zresztą wcale takie dziwne. Ostatni raz spotkali się dwadzieścia lat temu, a ona zmieniła się dużo bardziej niż on.

Dostała mdłości i zawrotów głowy. Ledwo trzymała się na nogach i nie była w stanie dłużej stać. Musiała szybko wyjść na zewnątrz, więc odeszła z kolejki i z trudem precyzyjnie się koło kasy. Przed sklepem była ławka, na której usiadła. Pod powiekami poczuła piekące łzy. Starła się za wszelką cenę powstrzymać od płaczu. Oddychała z trudem, robiąc dłuższe

przerwy. Ścisnęło ją mocno w klatce piersiowej, więc przestraszyła się, gdyż miała wrażenie, że zaraz umrze. Zaczerpnęła dużo powietrza.

Jakaś młoda kobieta podeszła do niej i zapytała, co się stało. Wydusiła z siebie, że to nic poważnego. Kobieta przyniosła jej trochę wody i dopytywała się, czy coś ją boli. Czy ma zadzwonić po pogotowie?

Nie, nie. Nic ją nie boli. Musi tylko trochę odpocząć. Kobieta usiadła obok i chwyciła ją za rękę. Była taka troskliwa.

W jej głowie rozgrywała się prawdziwa gonitwa myśli. To był on. Na sto procent. Co on tutaj robił?

Nadal trudno jej było oddychać i doceniała to, że ta obca kobieta po prostu tylko z nią siedzi. W zupełnej ciszy, nie zadając żadnych pytań.

Nagle drzwi sklepu otworzyły się i wyszedł z nich on. Nie dostrzegł jej i ją minął, idąc z synem i trzymając w rękach zakupy. Siedząca obok kobieta pomogła jej wstać z ławki, a ona powiodła za nim wzrokiem. Podeszedł do białej furgonetki, na której był napis „Slite Bygg” oraz numer telefonu.

To jej wystarczyło.

Kiedy Karin odzyskała przytomność, wokół panowała zupełna cisza. Nie było słychać żadnego odgłosu silnika. Leżała w bardzo niewygodnej pozycji. Pochylona do przodu, ze zgiętymi plecami i z głową wciśniętą pomiędzy nogi. Usta miała naprężone, bo były zaklejone taśmą. Swędziały ją nadgarstki i kostki. Była mocno związana. W tym niewielkim pomieszczeniu było całkiem ciemno. Miała obolałe ciało. Ból rozsadzał jej głowę, a w ustach czuła krew. Musiał ją porządnie uderzyć. Dopiero po dłuższej chwili spróbowała się trochę poruszyć. Było to jednak prawie niemożliwe. Tkwiła tu niczym ściśnięta w imadle.

– Uspokój się – pomyślała. – Uspokój się i zachowaj zimną krew. Jesteś zamknięta i musisz znaleźć jakiś sposób, żeby się stąd wydostać.

Zastanawiała się, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy ją uderzono. Kilka minut, pół godziny czy też może kilka godzin?

Z wielkim trudem próbowała cokolwiek dostrzec w ciemności. Udało jej się podnieść głowę na tyle, że znalazła się w pozycji pionowej. Ból głowy przypominał bóle migrenowe i był niemal nie do wytrzymania. Łokciem wymacała ścianę. Powierzchnia wydawała się twarda i gładka. Domyśliła się, że nadal jest na statku, ale z tej ogromnej ciszy wnioskowała, że pewnie nie było już pasażerów i prawdopodobnie dotarli do portu w Fårösund. Jak długo statek mógł stać przy kei – może dobie? Ile czasu upłynie, zanim Knutas zacznie się zastanawiać, czemu nie dzwoni do niego i zanim on albo też ktoś inny pojmie, że coś się jej stało?

Kim był kapitan Stefan Norrström i co go łączy z tą sprawą? Czemu ją uderzył, a następnie zamknął tutaj? Myśli krążyły jej po głowie, nie wiążąc się ze sobą.

Karin rozpaczliwie próbowała poruszać mocno skrępowanymi rękoma i nogami. Pęta ani drgnęły. Kapitan statku wie oczywiście, jak robić porządne węzły. Wydawało się, że nie ma żadnych szans na uwolnienie się z uwięzi. Próbowała poruszyć całym ciałem. Obok niej było trochę wolnego miejsca, więc usiłowała uderzyć bokiem w ścianę, ale nic to nie dawało.

Na domiar złego chciało jej się siusiać.

Wsluchiwała się w otoczenie, by wychwycić jakikolwiek dźwięk. Nie była w stanie określić, w jakim miejscu statku się znajduje.

Nagle usłyszała jakiś hałas po drugiej stronie ściany. Drzwi się otworzyły i oślepiło ją mocne światło. Na wprost niej stał w nich on. Popatrzył na nią przez kilka sekund, po czym ponownie zamknął drzwi. Usłyszała dźwięk przesuwanej na zewnątrz zasuwki zamka.

Czy nie zamierzał wypuścić jej nawet do ubikacji? Ani dać czegoś do picia? Była zupełnie odwodniona po tej długiej wędrówce po wyspie w pełnym słońcu. Tak jej się spieszyło z powrotem na pole namiotowe, że nie zdążyła napełnić bidonów. Sama nie wie, jak dawna nie piła, nie wspominając już o jedzeniu. Głowa jej ciążyła i zaczęła odczuwać zawroty. Czy on chce, aby tutaj umarła? Próbowwała poluzować pęta, poruszyć palcami, rękoma i nogami. Nic nie pomagało.

Przez dłuższą chwilę po zamknięciu drzwi próbowała wychwycić jakiś dźwięk. Nie było jednak słyhać zupełnie nic. Panowała absolutna cisza. Pragnienie oraz zawroty głowy sprawiły, że poczuła mętlik w głowie. Zamknęła oczy, a jej ciało zdretniało.

Knutas z Kihlgårdem jechali na przodzie, a tuż za nimi kolejne dwa samochody. Pędzili na północ w kierunku Kyllaj. Kihlgård zdążył zabrać ze sobą podsumowanie tego, co policji udało się dotychczas dowiedzieć o dochodzeniu w sprawie śmierci Tanji Petrov.

– Dawaj wszystko, co wiesz – Knutas wydał mu to polecenie przez zaciśnięte w napięciu usta. Tak był skoncentrowany na prowadzeniu samochodu.

– Zaczniemy zatem po kolei – powiedział Kihlgård. – Jakiś tydzień po zabójstwie Tanji rodzina wróciła do Hamburga. Vera przerwała studia na wydziale filologicznym i zaczęła pracować w sklepie spożywczym. Oboje rodzice, Sabine i Oleg Petrov, przebywali na zwolnieniu lekarskim. Kiedy nadeszła jesień, a dokładnie dwudziestego drugiego października 1985 roku, Oleg popełnił samobójstwo. Rzucił się pod pociąg ekspresowy, który wjeżdżał na Dworzec Główny w Hamburgu. Zginął na miejscu.

– O Boże, co za okropna śmierć.

– Po tym wszystkim i z matką było nie najlepiej. Zaczęła nadużywać leków i nigdy już nie wróciła do pracy. Rok później, w lutym 1986, przeszła na rentę. Przeprowadziła się do mniejszego mieszkania na przedmieściach Hamburga, ale jej córka nie przeniosła się razem z nią. Vera nadal mieszkała w mieście, choć kilka razy zmieniała adres, i nadal pracowała w sklepie. Dwa lata po tym morderstwie, w sierpniu 1987 roku, ponownie podjęła studia na uniwersytecie i tym razem je ukończyła. Potem pracowała przez kilka lat jako nauczycielka w pewnej hamburskiej szkole. Trwało to aż do momentu, gdy dwa lata temu przeprowadziła się do Szwecji.

– Dlaczego się tu przeprowadziła? – zapytał Knutas.

Właśnie wyprzedzał jakiegoś nieskończenie długiego TIR-a, mimo że widoczność była szalenie ograniczona. Kihlgård aż jęknął, ale kontynuował:

– No cóż, przyjechała tutaj chyba po to, aby poślubić Stefana Norrströma.

– Gdzież oni się, do licha, poznali?

– Pojęcia nie mam. Wiem tylko, że pobrali się rok temu w lecie. I najprawdopodobniej

spodziewają się dziecka.

– Ach tak? No, prawie jesteście.

Kyllaj, oddalone zaledwie o dziesięć kilometrów od Slite, było zapadłą dziurą, położoną nad samym morzem. Teraz przebywali tu głównie urlopowicze, ale przez wieki Kyllaj było ważnym ośrodkiem wydobywania wapnia oraz portem. Na brzegu znajdowało się wiele szop i przystani rybackich. Ponad domami, które zbudowano na stoku opadającym w kierunku portu oraz zatoki Valeviken, wznosiło się jałowe, kamieniste wzgórze, z którego roztaczał się urzekający widok na morze i wysepki Klausen, Fjögen i Lörgeholm. Już w siedemnastym wieku wypalano tutaj wapno w piecach, których pozostałości widać do dzisiaj.

Kiedy samochody policyjne wjeżdżały kolejno do Kyllaj, zakłócając tutejszą sielankę, oczywiście wzbudziły zainteresowanie.

Dom, w którym Stefan Norrström mieszkał wraz z żoną, stał samotnie na wzgórzu, królując majestatycznie na ładnej, dużej działce, schodzącej łagodnie w kierunku morza. Pomalowany na biało duży dom z kamienia wapiennego był otoczony rozległym trawnikiem, na którym rosły w starannie przemyślanym porządku krzewy i drzewa. Pewnie to odziedziczył – pomyślał Knutas. Wszystko wydawało się raczej zbyt wytworne jak na zwykłego kapitana.

Zaparkowali samochody w stosownej odległości, rozdzielili się i otoczyli dom. Mieli do czynienia ze sprawcą dwóch morderstw, więc nie wiedzieli, co ich czeka.

Knutas i Kihlgård poszli przodem i przemknęli się do wejścia. Knutas zadzwonił do drzwi. Żadnej reakcji. Zadzwonił ponownie.

Odczekali chwilę. Knutas pocił się na słońcu. Napięcie również robiło swoje. A ponieważ nadal nic się nie działo, więc wydał rozkaz wejścia.

Jeden z policjantów wyważył drzwi i wszyscy wbiegli do środka.

Karin popadała w rozpacz. Zdrzemnęła się przez chwilę, diabelnie wycieńczona, głównie z powodu odwodnienia. Nie była w stanie zmienić pozycji, mogła tylko przesunąć się parę centymetrów w bok. Robiła to od czasu do czasu, aby do reszty nie zeszywnieć. Zastanawiała się, jak długo jeszcze uda jej się tak wytrzymać. Zaczęła tracić nadzieję, że kiedykolwiek ją tu znajdą. Statek nadal stał bez ruchu, a z zewnątrz nie dobiegały żadne dźwięki. Straciła poczucie czasu, więc nie wiedziała też, jak długo leży tutaj związana i oklejona taśmą niczym paczka.

Pomyślała o Knutasie. Dlaczego on nic nie robi? Chyba już w końcu zrozumiał, że była na pokładzie, skoro powiedziała mu, że zadzwoni do niego ze statku? Być może kapitan wcisnął mu jakąś historyjkę i teraz już nikt nie przyjdzie jej z pomocą.

Dziwne, że jakoś nie chciało jej się już siusiać. Tak jakby organizm przeszedł już w stan spoczynku. Jego reakcje osłabły, a on pracował na wolniejszych obrotach, by niebawem zatrzymać się na dobre. Nie, w ten sposób nie może myśleć.

Miejsce, w którym tu siedziała z mocno podkurczonymi nogami i rękoma, złożonymi niczym do modlitwy, było ciemne jak smoła.

Nagle usłyszała jakiś głuchy odgłos. Najpierw sądziła, że tak jej się tylko zdawało. Potem jednak usłyszała jeszcze jeden głuchy odgłos, a po nim kolejny. I jakieś wołanie. Próbowała kilka razy uderzyć własnym ciałem o ścianę, aby wytworzyć jakikolwiek dźwięk. Na ile się dało, trącała też stopami drzwi pomieszczenia.

Myślała, że zdarzył się jakiś cud, kiedy usłyszała, że ktoś po drugiej stronie przekręca zamek w drzwiach. Kiedy drzwi się otworzyły, poraziło ją tak silne światło, że aż musiała zmrużyć oczy.

Dom w Kyllaj był pusty. Przeszukano ogród i pomieszczenia w pobliżu domu, ale najwyraźniej Norrströmowie byli już gdzieś w drodze. Knutas wyciągnął telefon komórkowy, aby powiadomić o tym centralę. Chwilę później ktoś do niego zadzwonił.

– Cześć, tu Thomas. – W słuchawce zabrzmiał podekscytowany głos Wittberga. – Właśnie znaleźliśmy Karin. Siedziała związana i zamknięta w jednym z pomieszczeń ładowni na statku „Gotska Sandön”. To Stefan Norrström ją pobił i tam zamknął.

– Cholera jasna, jak ona się czuje? – zaniepokoił się Knutas.

– Jest wyczerpana, ale nie wygląda na to, żeby doznała jakichś poważniejszych obrażeń. Tyle że jest kompletnie odwodniona. Właśnie jedziemy z nią do szpitala. A wy co robicie?

– Jesteśmy w domu Norrströmów w Kyllaj, ale nikogo tu nie ma. Podejrzewam, że chcą uciec z wyspy, więc muszę skontaktować się z centralą. Usłyszymy się potem.

– Okej, odezwę się, gdy dowiozę Karin do szpitala.

Knutas natychmiast wydał polecenia kolegom. Mieli zawiadomić lotnisko oraz przystań promową. Nagle zauważył, że nie ma Kihlgårda, ale zaraz potem dostrzegł go wychodzącego z kuchni ze słuchawką telefonu bezprzewodowego w ręku.

– Lotnisko możecie sobie darować. Sprawdziłem ostatnio wybierane przez nich numery. Okazało się, że kontaktowali się z armatorem „Destination Gotland”. Następny statek odchodzi o ósmej, czyli za dwadzieścia minut.

Prom na kontynent na szczęście jeszcze nie odpłynął, ale całe półtora tysiąca pasażerów było już na pokładzie. Aby uniknąć paniki, poinformowano pasażerów, że opóźnienie związane jest z jakąś niewielką usterką techniczną, która niebawem zostanie usunięta. Policjanci, którzy weszli na pokład, byli ubrani po cywilnemu. Statek miał dwa pokłady pasażerskie oraz jeden samochodowy, a więc policjanci się rozdzielili.

Knutas i Kihlgård stali koło recepcji i czekali na odpowiedź, jak mogą skontrolować kabiny. Kobieta z obsługi promu, stojąca po drugiej stronie kontuaru, wyszukała cztery karty, które pełniły funkcję kluczy. Jednocześnie Knutas kątem oka dostrzegł kilka osób, które zbliżały się szybkim krokiem. Odwrócił się i nieźle się zdziwił, kiedy zobaczył, że byli to Wittberg i Karin.

– Co wy tu robicie? – zapytał. – Nie powinniście być w szpitalu?

Karin wyglądała wprawdzie na wyczerpaną, ale na rozmowę miała jeszcze siłę.

– A co? Czy myślisz, że zamierzam przegapić najlepszą część? Jestem tylko trochę odwodniona. Po drodze w samochodzie wlałam w siebie litr wody i tyle samo soku. Starczyło aż nadto.

Wittberg rozłożył ręce.

– Nie chciała jechać do szpitala. Co teraz robimy?

– Okej. Na razie się rozdzieliliśmy. Jesteśmy właściwie pewni, że są na pokładzie. Cały terminal jest obstawiony, tak więc nie mają szansy, by nam zwać. Teraz musimy ich tylko odnaleźć. Ja i Martin zaczynamy właśnie przeszukiwać kabiny.

Każdy z nich wziął po jednym kluczu, a następnie się rozdzielili. Karin zaczęła od kabin na lewej burcie na górnym pokładzie. Nie bawiła się w pukanie, tylko od razu otwierała drzwi.

– Policja – krzychała, trzymając broń w wyciągniętej przed siebie ręce.

Pierwsza kabina była pusta, podobnie druga. W trzeciej spał jakiś starszy mężczyzna. Czwartą kabinę zajmowało kilku młodych chłopaków pijących piwo i grających w karty. Ze

zdumieniem popatrzyli na Karin stojącą w drzwiach. Dalej był już tylko cały szereg pustych kabin.

Wreszcie znalazła się na końcu korytarza. Zostały jej jeszcze tylko dwie kabiny do skontrolowania. Po tym wysiłku ledwo mogła złapać oddech. W głowie nadal jej huczało. Kiedy miała wsunąć kartę, zamek się zaciął. Spróbowała jeszcze kilka razy, ale bez skutku. Nie udało jej się otworzyć drzwi.

Wtem usłyszała jakiś głos dochodzący z kabiny. Ktoś w środku jęczał. Brzmiało to jak stłamszony krzyk, jakby ktoś miał zakneblowane usta. Do licha – pomyślała. Była zupełnie sama na tym pokładzie, koledzy byli na dolnym. Wyciągnęła telefon komórkowy, żeby zadzwonić do Knutasa. Cholera, przecież jest rozładowany.

Przez kilka sekund zastanawiała się, co ma robić. Czy pobiec na dół i ściągnąć resztę, ryzykując, że Norrströmowie znikną, jeżeli to oni ukryli się w tej kabinnie? Musieli przecież słyszeć jej wołanie i to, że próbowała otworzyć drzwi.

Raz jeszcze sprawdziła zamek i wsadziła kartę do szczeliny w drzwiach. Wreszcie zamek się odblokował, więc nacisnęła klamkę.

Kiedy ujrzała przerażony wzrok Very Norrström, pojawiły się jej przed oczyma różne obrazy. We fragmentach, niepowiązane za sobą, ale mocno utrwalone w jej świadomości. Atakowały ją bez pardonu, gwałtownie. Jak zawsze. Stała jak głaz w wąskich drzwiach. Oddychała ciężko i czuła silny ucisk w skroniach. Jej nogi zrobiły się jak z waty, więc z trudem mogła się na nich utrzymać. To były dobrze znane obrazy. Towarzyszyły jej każdego poranka, gdy się budziła, a potem skrywały się w siatkówce oka i nie dawały zasnąć wieczorem. Każdego dnia przez dwadzieścia pięć lat walczyła, by się ich pozbyć.

Vera Norrström leżała na dole wąskiego łóżka piętrowego. Miała białą jak kreda twarz wykrzywioną z bólu. Do ust włożyła ręcznik frotte, którym tłumiała głośny krzyk. Nogi miała szeroko rozłożone, a jedna z nich zwisała do połowy z łóżka. Zapierała się nią o krzesło, które stało obok. Bawełniane prześcieradło ledwo ją przykrywało. Lada chwila będzie rodzic.

Karin wiedziała, jak to jest. Dopiero co skończyła piętnaście lat. Zwija się z bólu. Niewiele rozumie z tego, co ma się zdarzyć. Ani jej matka, ani ojciec nie chcą być przy rozwiązaniu. Czekają na zewnątrz, aż będzie po wszystkim. Tak jakby udawali, że jest ciężko chora. Że ma coś, co trzeba zoperować. Wyrzucić niczym tkankę rakową.

Siostra w zielonym kitlu stoi blisko niej. Karin chce wziąć ją za rękę, lecz nie ma odwagi. Boi się, że ją rozerwą. Przestraszona. Tylko dziecko.

Ostatni gwałtowny skurcz. Niepewny, drżący głos noworodka zastępuje jej własny ryk. Nawet nie krzyk, a zaledwie nawoływanie. W ciemnym pomieszczeniu czuje ciepło,

żywe ciało na swojej nagiej skórze. Kawałek siebie samej w innym człowieku. Córeczkę.

Karin nadaje jej w duchu imię Lydia. Zamyka oczy i ostrożnie kładzie dłoń na karku maleńkiej istoty. Czas zatrzymuje się, świat przestaje wirować, ustaje wszelki ruch. Tylko ona i Lydia, nikt inny. One dwie.

Nie wie, ile czasu upłynęło do chwili, kiedy ubrana na zielono położna zabrała od niej dziecko. Już jej nigdy nie zobaczy. Zawsze będzie odczuwać jej brak. Zawsze będzie tęsknić.

Koło Very siedział jej mąż, Stefan, który obezwładnił Karin kilka godzin wcześniej. Jego oczy były pełne strachu i rozpacz. Karin przełknęła mocno ślinę, próbowała pozbierać się, opanować zawroty głowy.

Weszła do kabiny i zamknęła za sobą drzwi.

Poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Po przeczesaniu promu policjanci powrócili do saloniku na rufie, gdzie zgromadzili się, aby podsumować sytuację. Karin przyszła jako ostatnia. Stała w drzwiach, wyjaśniła, że źle się czuje i musi jechać do domu. Nikt nawet nie zdążył zareagować, a jej już nie było.

Niepokój Knutasa mieszał się z tkliwością. Zawsze była taka twarda i silna. A teraz musiała jednak w końcu dać za wygraną. Sam również miał ochotę udać się do domu i przebrać w jakieś stare ciuchy. Rozczarowanie bolało go dotkliwie. Wkurzał się na samego siebie, że Norrströmom udało się zniknąć.

Przejechał dłonią po włosach i zwrócił się do kolegów z wyczuwalnym w głosie zmęczeniem:

– Poszukiwany przez nas samochód Norrströma znaleziono niedawno na parkingu przy lotnisku. Prawdopodobnie wsiedli do ostatniego wieczornego samolotu lecącego do Sztokholmu. Wygląda na to, że cała nasza akcja na promie poszła na marne.

Być może rozmowa telefoniczna Norrströmów z firmą „Destination Gotland” była tylko manewrem mającym zwieść policję. A może po prostu analizowali wszystkie możliwe drogi ucieczki, kiedy odkryli, że policja jest na tropie Stefana Norrströma. Ogarnęło go poczucie gorzkiej porażki, bo już niemal schwytali sprawcę, a jednak musieli wracać z pustymi rękoma ze statku, który z dwugodzinnym opóźnieniem wypłynął w końcu w kierunku Nynäshamn.

W jakiś sposób cała ta historia wyciekła do prasy i na nabrzeżu czekała już znana mu grupka dziennikarzy. Mieli nadzieję, że zrobią zdjęcia schwytanej pary, ale tak się nie stało. Zasypali za to policjantów pytaniami w sprawie podjętej interwencji. Knutas przecisnął się przez tłum, nie zaszczycając dziennikarzy ani jednym spojrzeniem.

Trudno było nie myśleć o tym, co się nie udało. Nie powinien był oczywiście stawiać wszystkiego na jedną kartę, tylko trzeba było wysłać połowę sił na lotnisko, bo przecież i tak była to najbardziej prawdopodobna droga ucieczki. Patrol policyjny za późno odnalazł

samochód Stefana Norrströma i zawiadomił ich o tym. Teraz mógł już tylko czekać na potwierdzenie z policji na sztokholmskim lotnisku Arlanda, że para została ujęta.

Kiedy Knutas wszedł do swojego pokoju na komisariacie, zadzwonił telefon komórkowy. Wzrosło mu tętno.

– Tak?

Koledzy z lotniska Arlanda zaskoczyli go, mówiąc, że Vera i Stefan Norrström nigdy nie weszli na pokład samolotu lecącego do Sztokholmu. Po odprawie znikli bez śladu.

Knutas kłął. Przeklinał raz jeszcze siebie samego. Myśli krążyły mu po głowie, nie znajdując żadnego punktu zaczepienia. Czy miał nie wypuszczać promu na morze? Przeszukano wszystkie pomieszczenia, ale może jednak... Tak czy inaczej było już za późno, aby zawrócić statek do portu, ale na wszelki wypadek postanowił skontaktować się z policją sztokholmską, aby zajęła się poszukiwanymi, gdyby wbrew wszelkim oczekiwaniom byli jednak na pokładzie.

Pozostawała jeszcze możliwość, że nadal są na Gotlandii. To rozpałiło w nim iskierkę nadziei i dodało na nowo energii. Zarządził przeszukiwanie kolejnych promów, które miały odpływać z Gotlandii następnego ranka i oddelegował część sił na lotnisko w Visby. We współpracy z Centralnym Biurem Śledczym zawiadomiono też pozostałe szwedzkie lotniska i przejścia graniczne. Very i Stefana Norrströmów poszukiwano już w całym kraju, a dzięki policji do poszukiwań włączyli się taksówkarze i kierowcy autobusów. Ponieważ Vera była w trzydziestym szóstym tygodniu ciąży, poinformowano również izby przyjęć w szpitalach i oddziały położnicze. Silny stres mógł przecież wywołać przedwczesny poród.

Być może nadal istniała szansa na schwytanie Stefana Norrströma. Jak długo trzeba było podejmować jeszcze jakieś kroki i czekać na zadania do wykonania, tak długo Knutas nie mógł się zdecydować na powrót do domu. Ogarnęło go zmęczenie, ale udało mu się je pokonać za pomocą kawy i dymka z rzadko zapalnej fajki.

Otworzył okno. Stał przy nim i wypuścił dym z fajki. Patrzył na pogrążone w nocnych ciemnościach Visby i rozmyślał nad swym niepowodzeniem. Czy był ślepy? Karin zrozumiała, co łączyło wszystkie te sprawy, gdy pojechała na Gotska Sandön. Czy to nie on powinien był wpaść na to wcześniej? Policja sprawdziła wszystkich Rosjan mieszkających na Gotlandii. Z drugiej strony nie było łatwo dociec rosyjskiego pochodzenia Very Norrström. Przyjechała przecież z Niemiec i nosiła szwedzkie nazwisko.

Powinien pojechać do domu. Można by go złapać równie dobrze i tam, gdyby coś się

stało. Ale jakoś nie chciał. Opanował go niepokój. Zgasił fajkę i podszedł z powrotem do swego biurka. Ze stosu dokumentów związanych z tą sprawą wyciągnął jakieś na chybił trafił i zachodził w głowę, co takiego mógł przeoczyć.

O godzinie drugiej w nocy zdezorientowany poderwał się na krześle. Najwyraźniej zdrzemnął się trochę, ale błyskawicznie oprzytomniał, kiedy zrozumiał, że zbudziło go podzwanianie telefonu. I znów wzrosło mu tętno, kiedy sięgał po słuchawkę.

– Witam, mówi kierowniczką recepcji na statku „Destination Gotland”, Ewa Dahlberg. Spotkaliśmy się wczoraj wieczorem, kiedy byli tu państwo i przeszukiwali statek.

– Tak, tak.

– Przepraszam, że dzwonię w środku nocy, ale dał mi pan swoją wizytówkę, a wydaje mi się, że to, o czym chcę powiedzieć, może być istotne. Szukali państwo między innymi kobiety, i to kobiety w ciąży, prawda?

– Tak, zgadza się.

– Otóż przy wyjściu ze statku sprzątaczką znalazły w koszu coś, co wygląda na łożysko. Leżało tam zawinięte w plastikowej torebce.

Knutasa całkiem zmroziło.

– Czy jest pani pewna?

– No cóż, ja też rodziłam dzieci i wydaje mi się, że jest to zwyczajne łożysko.

– W porządku.

Knutas szybko rozważał w duchu, co należy dalej robić. Musiał znowu wszystko przemyśleć:

– Trzeba ewakuować ze statku wszystkich pasażerów i musi on pozostać przy nabrzeżu w Nynäshamn.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale” – wrzeszczał. – No i, na litość boską, nie wyrzucajcie tego łożyska. Na razie włóżcie je w plastikowej torebce do lodówki.

– Cholera! – pomyślał, gdy odłożył słuchawkę. – Czyli jednak popłynęli statkiem.

Całe dochodzenie przeniesiono szybko do Nynäshamn i w okolice Sztokholmu. Para miała ze sobą niemowlę i prawdopodobnie była bez samochodu, więc na pewno będzie im trudno się ukryć.

Zmęczenie przeszło mu niczym ręką odjął. Tej nocy rozczarowanie tak szybko przeradzało się w nadzieję, że Knutas praktycznie nie zdążył się nawet niczym zdziwić.

Erik Sohlman zadzwonił z domu w Kyllaj, który ogrodzono i sprawdzono dokładnie pod kątem ewentualnych śladów. Mówił, że znaleźli broń w skrytce pod podłogą w piwnicy. Ich podejrzenia sprawdziły się, gdyż był to rosyjski pistolet wojskowy typu Korowin, wyprodukowany w latach dwudziestych i nosił ślady niedawnego użycia.

Potem zapadła cisza. Przez kilka godzin nie pojawiło się nic nowego w sprawie poszukiwanej pary. O godzinie piątej Knutas poddał się i pojechał do domu. Miał zupełną pustkę w głowie. Od razu poszedł do łóżka, przytulił się do swojej śpiącej żony i objął ją ramieniem.

Miało upłynąć jednak jeszcze trochę czasu, zanim w końcu zasnął.

Sobota, 19 sierpnia

Zatoka Kyrkviken w środkowej części wyspy Fårö skąpana była w czerwono-żółtym blasku popołudniowego słońca. W promieniach słońca połyskiwały łąki i pastwiska. Johan dotarł do kościoła wraz ze swym najlepszym kolegą, Andreasem Eklundem, który również był dziennikarzem Telewizji Szwedzkiej.

Był on drużbą Johana. Ostatnią godzinę przed uroczystością spędzili, pijąc piwo w ogrodzie należącym do restauracji Fåröhus oraz filozofując na temat kawalerskiego życia Johana, które teraz już definitywnie się kończyło. Emma nie chciała, aby widział ją przed ślubem. Jeśli już mieli pobierać się w kościele, to wszystko powinno się odbyć tak, jak należy.

Kiedy wcześniej rozmawiali o małżeństwie, Emma była przeciwna uroczystej ceremonii ślubnej w kościele, ponieważ już raz to przerabiała, ale tym razem ani trochę nie protestowała. Mieli więc wziąć ślub w kościele na wyspie Fårö, a potem wyprawić wesele w restauracji Fåröhus. Miało być wino, cielęcina z grilla oraz tańce przez całą noc. A następnego dnia udawali się w podróż poślubną na włoską Riwierę.

Johan zobaczył wszystkich odświętnie ubranych ludzi czekających na wzgórzu przed kościołem. Miał wrażenie, że to jakiś sen. Stała tam jego mama w popielatej sukni z jedwabiu i śmiała się razem z rodzicami Emmy. Jego bracia mieli na sobie smokingi i czuli się swobodnie wśród tutejszych krewnych Emmy. Pia Lilja upięła swe kruczoczarne włosy w kok. Była ubrana w jaskrawoczerwoną, obcisłą sukienkę i lakierki na niebotycznie wysokich obcasach. Rozmawiała z Peterem Bylundem, a Johan rozradowany pomyślał, czy coś przypadkiem nie zaiskrzyło między nimi. Elin miała na sobie różową sukienkę z jedwabnym paskiem. Córka Emmy, Sara, była druhną i miała podobną sukienkę.

Filip biegał dookoła i łobuzował z kilkoma innymi małymi chłopcami, rzucając kamieniami wygrzebanymi z ziemi na wzgórzu kościelnym. Johan patrzył przez chwilę na Sarę i Filipa. Jego przyrodnie dzieci, czy jak to się teraz będzie mówić. Uważał, że dotychczas dogadywał się z nimi dobrze, zwłaszcza z Sarą, więc chyba jakoś to będzie. A dokładniej mówiąc, to on postara się o to, żeby jakoś to było. Nic nie może stać na przeszkodzie.

Razem w Andreasem prześlizgnął się obok stojących na wzgórzu gości i wszedł do zakrystii. Przywitał się z panią pastor, sympatyczną kobietą koło pięćdziesiątki. Kościelny poklepał go po ramieniu.

– A tu jest fotograf.

– Co takiego? Skąd?

– Z Telewizji Szwedzkiej. Zastanawia się, czy będzie mógł filmować.

Johan przeszedł do kościoła, żeby zobaczyć, kto jest fotografem. Stał tam Peter Bylund z kamerą na ramieniu.

– Dobrze będzie? – zapytał. – To Grenfors uznał, że powinniśmy utrwalić to wielkie wydarzenie na filmie. Może to być fajna pamiątka, nie?

– Ja zajmę się kamerą, żeby wszystko wyszło tak, jak trzeba!

Pia stała obok i uśmiechała się z przekąsem.

Johan wzruszył się ogromnie. Żałował teraz, że nie zaprosił na ślub redaktora naczelnego.

– Oczywiście, wszystko w porządku. Jasne.

Goście zaczęli tłumnie wchodzić do środka i zajmować miejsca w ławkach. Anders Knutas wszedł trzymając pod ramię Line. Johan podszedł do nich.

– Witam. Cieszę się, że państwo przyszli.

– Nam też jest miło, że możemy być tu z panem.

Na twarzy Knutasa widać było zażenowanie. Kiedy ostatnio się widzieli, stali na nabrzeżu w Slite i wrzeszczeli na siebie. Johan cieszył się, że komisarz zdecydował się jednak przyjść. Zastanawiał się, jakie uczucia muszą teraz towarzyszyć Knutasowi jako kierującemu dochodzeniem, skoro nie udało im się schwytać Norrströmów. Ale może jeszcze nie wszystko stracone? Zarówno Stefan, jak i Vera Norrström byli obecnie poszukiwani międzynarodowym listem gończym, ale nadal nie było po nich śladu.

Za dziesięć minut dzwon kościelny miał zacząć wybijać godzinę czwartą. Emma i on już teraz powinni byli wchodzić do kościoła. Zaczął się więc denerwować. Andreas wyciągnął go na dwór i wyjął z kieszeni buteleczkę whisky.

– Masz, weź trochę.

– Dzięki. Kurcze, cały się trzęsę.

– Nie dziwota. Przecież w końcu się żenisz. A to wielkie wydarzenie.

W ciągu ostatniej godziny Johan spoglądał na zegar chyba już ze sto razy. Jeszcze pięć minut. Powinna już tu być.

Nie widać było żadnego samochodu.

– Gdzie oni są, do cholery?

Johan wyciągnął papierosa i zapalił go. Na wzgórzu kościelnym było zupełnie pusto. Zostało jeszcze tylko kilka minut.

Teraz już i Andreas zaczął się niepokoić.

– Lepiej zadzwoń do niej. Może faktycznie coś się stało.

Wybrał numer telefonu komórkowego Emmy, ale nie odbierała.

Zaczęły bić dzwony kościelne. Była szesnasta. Dlaczego jej jeszcze nie ma?

Pani pastor wyszła na wzgórze i uśmiechnęła się zadowolona.

– Już czas.

Dokładnie w tej samej chwili na ulicę Fårövägen podjechał jakiś samochód.

Johan odetchnął z ulgą.

Epilog

Karin wędrowała samotnie po pustej plaży. Sezon turystyczny się skończył. Miała na sobie dzinsy z podwiniętymi nogawkami i podkoszulek. Na ramionach zawiesiła sweter. Szła boso, trzymając sandały w jednej ręce, więc czuła, jak ciepła woda oblewa palce jej stóp. Tegoroczne lato było długie i gorące, dlatego też woda morska nagrzała się do rekordowych dwudziestu sześciu stopni. Taka temperatura podana była na tablicy wetkniętej na środku plaży. Kto teraz mierzy tę temperaturę? – pomyślała. I kto zadaje sobie trud odnotowywania jej na tablicy? Przecież i tak nikt już tego nie czyta.

Powietrze było nadal ciepłe, chociaż nad morzem zbierały się chmury. Mała turkusowa budka z lodami była zamknięta, dobrze zaryglowana na czas martwego sezonu. Otworzą ją dopiero następnego lata. Zatrzymała się, odwróciła plecami do morza i powiodła wzrokiem wzdłuż wydm oraz skraju lasu. Na obrzeżu pola namiotowego stała przyczepa kempingowa Petera Bovide. Po tej właśnie plaży biegał owego feralnego ranka prawie dwa miesiące temu. I to tutaj natknął się na swojego mordercę.

Wydawało jej się, że było to już tak dawno. Czuła się tak, jakby się postarzała, zmieniła. Skrywała w swoim sercu tajemnicę i nie wiedziała, czy da radę dalej dźwigać jej ciężar, czy też powinna raczej podzielić się nią z kimś innym.

Vera urodziła dziewczynkę w kabinie na statku. Dobrze im poszło. Poród nie trwał dłużej niż dziesięć minut.

Zanim Karin wyszła z kabiny z dzieckiem i świeżo upieczonymi rodzicami, zażądała, żeby wyznali jej całą prawdę.

Sprawcą, którego cały czas poszukiwała policja, była kobieta. Do tego jeszcze będąca wówczas w zaawansowanej ciąży. Kto by się tego spodziewał?

W ciasnej kabinie z nowo narodzonym, zakrwawionym dzieckiem przy piersi Vera przyznała się, że zastrzeliła zarówno Petera Bovide, jak i Morgana Larssona. Zanim ich jednak zabiła, zmusiła ich jeszcze do tego, aby padli na kolana i błagali o przebaczenie. Peter Bovide błagał o litość i modlił się. Twierdził, że był to nieszczęśliwy wypadek. Że Tanja

krzyczała głośno, gdy ją molestowali, więc Morgan uderzył ją w głowę czymś ciężkim, aby ją uciszyć. Nie zamierzał uderzać jej aż tak mocno. Tanja zmarła od razu, a oni po prostu spanikowali i wyrzucili ją za burtę, zanim zdążyli pomyśleć, co dalej. Potem było już za późno, więc czym prędzej uciekli do Nynäshamn.

Jego wyjaśnienia nic nie pomogły i niczego nie były w stanie zmienić. Vera uczyniła to, co sobie postanowiła.

Stary wojskowy pistolet jej ojca, który przeschowała z innymi swoimi rzeczami, gdy przeprowadzała się tu z Niemiec i który przechowywała jako pamiątkę po nim, znalazł teraz zastosowanie. Przez te wszystkie lata była przekonana, że ci dwaj mężczyźni, których spotkały na wyspie Gotska Sandön, pochodzili ze Sztokholmu i że nigdy więcej już ich nie spotka. Przypadek sprawił jednak, że rozpoznała Petera Bovide w supermarkecie ICA w Slite, a niedługo potem odnalazła również Morgana Larssona. Domyśliła się, że on też pochodził ze Slite, więc rozpoczęła swoje poszukiwania od największych miejscowych zakładów pracy. Znalazła go na liście pracowników cementowni. Nie zmienił się.

Niczego nie mówiąc mężowi, realizowała swój plan. Po zabójstwie Morgana Larssona Stefan odkrył jednak, że pistolet zniknął z zamykanej na klucz szafy w salonie. Zapytał ją o niego, a kiedy wyznała mu prawdę, nie potępił jej za to, co zrobiła. Rozumiał motywy jej działania i postanowił jej wybaczyć. Kochał ją, a poza tym mieli przecież zostać rodzicami.

Wspólnie doszli do wniosku, że policja najprawdopodobniej nigdy nie zacznie podejrzewać, że za morderstwem stoi ciężarna kobieta z Kyllaj. Mogli więc spokojnie żyć sobie dalej tak jak do tej pory.

Na wypadek, gdyby zaczęto jednak podejrzewać Verę o morderstwo, opracowali plan ucieczki. Kiedy Karin z wycinkami ze starych gazet weszła na pokład statku płynącego z wyspy Gotska Sandön, Stefan zrozumiał, że przepadli z kretesem. Zadzwoił do Very, która zabrała go z Fårösund, kiedy statek tam przycumował. Wzięła ze sobą pieniądze, paszporty i wszystko to, co było im potrzebne. Aby zmylić policję, pojechali na lotnisko, gdzie kupili bilety na ostatni wieczorny lot do Sztokholmu. Zaparkowali samochód i przeszli nawet przez odprawę paszportową. Zamiast jednak udać się później do kontroli bagażu, pojechali taksówką z lotniska na prom, który miał odpłynąć do Nynäshamn o ósmej. Stamtąd zamierzali dostać się na lotnisko Arlanda i polecieć gdzieś dalej. Karin nie chciała wiedzieć dokąd.

Usiadła na piasku i patrzyła na morze. Zastanawiała się, jak umknęli przed policją i co teraz robią.

Zresztą ona też powinna uciec. Pozwoliła, aby kobieta, która zamordowała dwie osoby, pozostawała na wolności. Sama nie wie, dlaczego podjęła taką decyzję. Może to przez tę tragiczną historię o dwóch młodych dziewczynach, które chciały się tylko przespać na plaży pod gołym niebem tamtej ciepłej lipcowej nocy dwadzieścia lat temu. Nocy, która zniszczyła całą rodzinę. Ojciec popełnił samobójstwo, a matka zaczęła nadużywać leków i zerwała kontakt z Verą. Zostawiła ją zupełnie samą z poczuciem winy.

Może Karin była głęboko przekonana, że tak właśnie powinna postąpić. Może łatwiej jej było podjąć tę decyzję dlatego, że asystowała przy rozwiązaniu, ale głównie chyba dlatego, że sama przeżyła podobną traumę, o której do tej pory nie może zapomnieć. Swojej własnej córki prawdopodobnie nigdy już nie spotka. Chyba że ona sama zechce odszukać kiedyś swoją biologiczną matkę. Jak na razie jeszcze tego nie zrobiła. W tym roku skończy dwadzieścia pięć lat. Karin nie wiedziała, kto ją zaadoptował ani gdzie mieszkała. Wiedziała jedynie, że nie ma jej już na Gotlandii.

Zastanawiała się, co jej córka wie na temat swojego pochodzenia. Miała nadzieję, że nikt nie powiedział jej prawdy.

Karin myślała o niej jako o Lydii, gdyż takie właśnie imię nadała w myślach swojej córeczce na ciemnej sali porodowej w szpitalu w Visby. To była najszcześniejsza chwila w jej życiu.

Przez te wszystkie lata nie wybaczyła swoim rodzicom. Kiedy zaczęła żałować swojej decyzji i chciała zatrzymać dziecko, powiedzieli jej, że nie jest to możliwe, bo wszystkie dokumenty były już podpisane. Właściwie to w ciągu całej ciąży nie zapytali, czego ona by chciała i czy chce tego dziecka. Założyli po prostu, że dziecko zostanie oddane do adopcji.

Było czwartkowe popołudnie. Karin jechała konno sama po lesie. Koń upadł i nie mógł dalej biec. Musiała go jakoś zaprowadzić do domu. Przechodziła akurat koło leżącego na odludziu gospodarstwa nauczyciela jazdy konnej, więc wstąpiła do niego, aby skorzystać z telefonu i sprowadzić pomoc.

Nauczyciel był sam w domu. Wyjaśnił jej, że żona i córka wyjechały. Odstawili konia do stajni i weszli do domu.

Zaproponował, by usiadła w salonie i nalał jej szklankę soku, kiedy zaczęła telefonować.

Po chwili znalazł się nad nią zerwał z niej sweter i bryczesy, a potem zgwałcił ją na ich czerwonym jak wino dywanie. Do dziś jeszcze pamięta, jak otarła sobie o dywan swoje nagie

plecy.

Potem w końcu pozwolił jej zadzwonić. Ojciec przyjechał po nią i po konia. Nauczyciel jazdy konnej był wesoły i opanowany, zachowywał się tak jak zwykle.

Karin nic nikomu o tym nie powiedziała, nawet rodzicom. Czasem natykała się na tego nauczyciela we wsi, na poczcie czy w sklepie Konsum. Niedobrze jej się robiło na jego widok. Zachowywał się tak, jakby nigdy do niczego między nimi nie doszło.

Nie przyznała się też do niczego, kiedy nie dostała kolejnego okresu i zaczęło ją mdlić każdego ranka. Za bardzo się wstydziła. W końcu nie mogła już tego dalej ukrywać. Mimo że nosiła luźne swetry, matka dostrzegła, że urósł jej brzuch i poszła z nią do przychodni lekarskiej. Była wtedy w piątym miesiącu, więc było już za późno na aborcję.

Na początku ulżyło jej, gdy opowiedziała rodzicom o wszystkim. Wstydziła się wprawdzie i miała wyrzuty sumienia, lecz w głębi serca wiedziała, że nie ponosi żadnej winy za to, co się stało. Ale już sama świadomość tego, że on dobierał się do niej i wszedł w nią, powodowała, że było jej w pewnym sensie wstyd. Chociaż liczyła jednak na to, że rodzice jej pomogą, kiedy już dowiedzą się o wszystkim. Że zajmą się wszystkim, że zgłoszą sprawcę na policji i zadbają, aby ukarano nauczyciela. Chciała, żeby ujawniono, że ją zgwałcił, żeby musiał wytłumaczyć się przed swoją rodziną i żeby trafił do więzienia za ten czyn. Że sprawiedliwość w końcu jednak zwycięży.

Jednak reakcja rodziców ją zaszokowała. Nie chcieli ani zgłaszać tej sprawy na policji, ani nawet rozmawiać o tym, co się stało. Zamierzali udawać, że nic się nie wydarzyło, tak jakby naprawdę jej nie wierzyli. Tego Karin nigdy im nie zapomni. Powiedzieli, że skoro jej ciąża jest już tak zaawansowana, pozostaje tylko oddanie dziecka do adopcji. Nawet nie rozważali żadnego innego wariantu. Karin nie sprzeciwiała się, gdyż chciała się pozbyć wszelkich śladów gwałtu i dalej cieszyć się młodością.

Wszystko zmieniło się po porodzie. Najbardziej oszukana poczuła się wtedy, kiedy zaczęła żałować swojej decyzji i chciała zatrzymać swoje dziecko. Rodzice powiedzieli jej wówczas, że nie jest to możliwe, bo wszystkie dokumenty były już podpisane. Potem okazało się, że ją okłamali. Owego dnia, kiedy urodziła swoje dziecko tylko po to, aby zaraz potem je stracić, coś w niej pękło.

Tę tajemnicę Karin skrywała w sercu przez całe swoje dorosłe życie. Po ukończeniu dziewiątej klasy wyprowadziła się do Sztokholmu, gdzie zamieszkała u krewnych i chodziła do gimnazjum.

Potem poszła do szkoły policyjnej. Kiedy otrzymała ofertę pracy jako aspirantka na Gotlandii, najpierw się wahała, ale w końcu jednak przystała na tę propozycję. Uznała, że musi iść dalej, że najgorsze już przeszła. Minęło już prawie dziesięć lat od tamtego wydarzenia. Nauczyciel jazdy konnej, który ją wtedy zgwałcił, od dawna już nie żył, więc nie musiała się przynajmniej obawiać, że będzie go znowu widywać. Jej starzy rodzice nadal mieszkali w Tingstäde, a ona od czasu do czasu ich odwiedzała. Z grzeczności.

Nigdy więcej nie rozmawiali już o tej sprawie.

To, że pozwoliła uciec Verze Norrström, zepsutej kobiecie, która była w stanie zastrzelić dwie osoby, może mieć katastrofalne skutki. Bo jakąż matką okaże się ona dla swojej nowo narodzonej córki? Ale teraz udało jej się w ten sposób pomścić śmierć swojej siostry. Karin życzyła Verze, aby umiała zapomnieć o tym wszystkim i być mimo wszystko szczęśliwa, razem ze swoim mężem i dzieckiem.

Zastanawiała się nawet, czy nie powiedzieć o wszystkim Knutasowi, lecz doszła do wniosku, że nie może tego zrobić. Przekreśliłaby tym samym swoją karierę w policji. Czy po takim incydencie może w ogóle nadal być policjantką? Na razie nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Miała tylko kolejną skrywaną na dnie swojego serca tajemnicę.

Położyła się na piasku i zamknęła oczy. Słuchała szumu fal rozbijających się na brzegu. Od strony morza nadciągała burza, słysząc już było, jak grzmi. Stopniowo zaczynał padać deszcz i co chwila jakaś jego kropla spadała jej na twarz.

Podziękowanie autorki

Historia ta jest w całości zmyślona. Wszelkie podobieństwa pomiędzy postaciami występującymi w powieści a prawdziwymi osobami są przypadkowe. Czasami korzystałam z prawa pisarza do zmiany opisywanych realiów z korzyścią dla narracji. Dotyczy to między innymi nadzoru Telewizji Szwedzkiej na Gotlandii, który w mojej książce sprawowany jest przez redakcję w Sztokholmie. Wielka chwała należy się jednak lokalnemu programowi informacyjnemu Östnytt, który zajmuje się problemami Gotlandii i jest realizowany przez stały zespół redakcyjny, mający swoją siedzibę w Visby.

Środowisko naturalne opisano w książce w takiej formie, w jakiej rzeczywiście występuje, z małymi tylko wyjątkami.

Ja sama ponoszę pełną odpowiedzialność za ewentualne błędy, które zakradły się do tekstu.

Przede wszystkim chciałabym podziękować mojej największej podporze, czyli mojemu mężowi i dziennikarzowi, *Cennethowi Niklassonowi*, który stale mnie dopinguje.

Serdeczne podziękowania wyrażam także:

Göście Svenssonowi – byłemu komisarzowi policji kryminalnej w Visby.

Ulfowi Åsgårdowi – lekarzowi psychiatrze.

Magnusowi Frankowi – komisarzowi policji kryminalnej w Visby.

Martinowi Csatlosowi – z Wydziału Medycyny Sądowej w Solna.

Johanowi Gardeliusowi – technikowi kryminalistyki z policji w Visby.

Sonny'emu Björkowi – komisarzowi policji kryminalnej w Oddziale Techniki Kryminalnej w Wojewódzkim Biurze Śledczym w Sztokholmie.

Staffanowi Lindblomowi – kapitanowi portu w firmie „Cementa” w Visby.

Torstenowi Lindqvistowi – kapitanowi „M/S Gotska Sandön”.

Stowarzyszeniu regionalnemu na wyspie Gotska Sandön Nadzorcom na wyspie Gotska Sandön.

Chciałabym również podziękować moim droгим kolegom pisarzom za to, że po prostu są.

Moim czytelnikom za ich cenny wkład:

Lenie Allerstam – dziennikarce Telewizji Szwedzkiej.

Liliane Andersson – redaktorce z „Bonnier Utbildning”.

Kerstin Jungstedt – konsultantce ds. organizacji z „Provins fem”.

Bossemu Jungstedt z „Surrea Design”.

Wydawnictwu Albert Bonniers, a przede wszystkim mojemu wydawcy *Jonasowi Axelssonowi* oraz redaktorce *Ulricie Akerlund* za ich wsparcie, zachętę i pracę nad moimi książkami. Moim agentom, *Bengtowi Nordinowi* i *Marii Enberg* z „Nordin Agency”. Mojemu projektantowi, *Johnowi Eyre*, za świetną okładkę.

Wreszcie moim cudownym dzieciom, *Rebecce* i *Sebastianowi*, za ich wyrozumiałość i wiele słów zachęty.

Älta, maj 2007

Mari Jungstedt

www.jungstedtsgotland.se

www.marijungstedt.se

chob